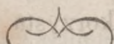
HOENE WROŃSKI.



CZĘŚĆ PIERWSZA.

O téj umysłowéj potędze, nasze piśmiennictwo nie ma dostatecznéj wiadomości; a mieć powinno. Jakikolwiek sąd o nim wydany być może, H. Wroński zajmuje właściwe sobie a zawsze okazałe miejsce między uczonymi polskimi i europejskimi. Nie moglibyśmy wymienić żadnéj nauki, któréjby nie poruszył, któréjby nie zapytał, któréjby nie chciał udzielić pewności i doskonałości. Jest to umysł rzeczywiście powszechny, który mniema, a nawet mocno wierzy, że posiada sposoby odkrycia tajemnic których dotąd człowieczeństwo odsłonić nie umiało. H. Wroński przyrzeka rozwiązać wszystkie zadania położone ludzkiemu umysłowi. Przezeń wszystko ma być spełnione. Jeżeli mówi że ogłasza naprawienie ludzkiéj wiedzy — naprawienie ma być bezwarunkowe. Jeżeli religie dotąd nie zbawiły człowieka, H. Wroński przez swoje pomysły ukaże ostateczne spełnienie religii, ostateczne moralne urządzenie świata. Błąd na zawsze przepadnie, a sama prawda i sama światłość odtąd przyświecać będzie życiu naszemu. Nie rozbieramy na teraz wartości istotnéj tych najświetniejszych zapowiedzeń. Wypisujemy je — jako je przedstawia H. Wroński, najmniéj nie wątpiący, że człowieczeństwu przynosi nowe, stanowcze zbawienie. Sam nie przybiera godności Messiasza, ale udziela Messianizm. Jednakże piękne, smętne wyrazy, które odnosi ku sobie, ku swoim walkom, a często rozdzierającym usiłowaniom, zapowiadają, że powątpiewa czyli będzie widział spełnienie, uznanie przez świat prawd które odkrył, przez które jedynie człowiek zrozumie i osiągnie swoje prawdziwe przeznaczenie.

Dein Orakel zu verkünden
Warum du warfst mich hin
In die Stadt der ewig blinden.

Okropność, którą czuł nawet Bóg - człowiek konający na krzyżu: — „Panie, Panie dla czegożeś mnie opuścił?“ To uczucie nie zgaśnie nigdy. Umysły najwyższe, najpoświęceńsze, błogosławione, mie-

wały takie chwile samotności, — utracały wiedzenie związku z Bogiem. Męczarnia do któréj przyznaje się naiwnie H. Wroński, nie zadziwia nas ani przeraża. Raczéj podnosimy się na jéj widok, albowiem kto jéj nie znał i duchowo nie nosił cierniowéj korony, ten prawdziwéj wielkości nie osiągnął. Nie śmiemy naganiać téj niezmierzonéj boleści ducha który widzi odsuwające się swoje oczekiwania, mamy dla niéj życzliwe wymiarkowanie, -- ale mniemamy, że H. Wroński do takiéj unoszący się wzniosłości, wierzący że dopełnił ludzkiéj wiedzy, mógłby był nadać swojemu niepokojowi objawienie łagodniejsze, poważniejsze. Małoż było takich, którym ledwie nad grobem zajaśniało ich słońce? Ludzkość korzysta z tych prac, a ich twórcom nie ma wdzięczności — często nawet ich imienia wymienić nie umie. H. Wroński nadaremnie odkryłby swoje bezwarunkowe prawdy, gdyby nie znał téj strony człowieczeństwa.

Sam H. Wroński nakreślił główne rysy swojego życia, swojéj nieprzerwanéj walki o ustanowienie téj zasady, która wszystkim niepewnościom i poszukiwaniom miała dać czyli ma dać wytłumaczenie, zaspokojenie, zakończenie [1]). H. Wroński mówi: „cel mego życia „osiągniony -- umiejętność przezemnie spełniona.“ Szczerości i głę-

1) ***Manifest historyczny*** pisany 1843 — wydany 1848. Znamy dwa pisma polskim językiem mówiące o H. Wrońskim. — ***Hoene Wroński i jego udział w rozwinieniu ostatecznėm wiedzy ludzkiéj.*** Paryż 1844. — i drugie — ***Odezwa do narodów słowiańskich względem przeznaczeń świata.*** Paryż 1848. Czytaliśmy je, a wyznajemy ze nie mogliśmy z nich korzystać. H. Wroński wykłada swoje myśli prosto, wyraźnie, jasno ukazuje je pod różnemi wyrażeniami i postaciami, może za zbytecznie. Mistrz, swego daru jasności i wyraźności, nie udzielił uczniowi, któremu przecież nadał godność „uczonego i filozofa Polski.“ Temu, nie pozwalamy sobie zaprzeczać. Trzeba rzeczywiście sztuki, aby czytającemu odebrać możność zrozumienia polskiéj mowy. Upraszamy czytać co następuje, i jeżeli można wytłumaczyć sobie. „Po do„konanym akcie zadania nieśmiertelności pojęciowéj przez Greków, wykonał się akt „rozwiązania téjże dla rodu ludzkiego. Pozostałe dopełnienie tego zadania, to jest „przejście do sumienia skroijistnego absolutnego. Ja w oderwaniu, jako do tożsamo„ści pierwotnéj dwóch różnorodnych pierwiastków świata, a z tąd do obudzenia w czło„wieku, w sposób niezależny uczucia jego moralności bezwarunkowéj, to jest, su„mienia przebywającego w nim slowa, ziścił Schelling. Prawda; jest wyraz ogólny, „albo szczebel dowolny nieskończonego szeregu urzeczywistniony jako spółczynnik „zadeterminowany w samoistném Prawie.“ — To z pisma ***Hoene Wroński.*** Teraz ustępy ***Odezwy:*** „Na dowód tego przytoczym tu wszystkie te dziwaczne tłómaczenia omatłowe jakie chcieli podać o twórczodzielnym umoświcie nieskończoności przez zgrubiały umoświt skończoności, a zwłaszcza przytoczym ową pierwszą nagrodę dziesięcioletnią, przez którą akademia nauk paryska uwieńczyła ***Theorią funkcij analyticznych Lagrange'a***, przeznaczoną na wykorzenienie w ten sposób z mathematik tego uprzykrzonego umoświtu nieskończoności, który, przy chlubnych uroszczeniach upowszechnianych do bydlęctwa, obwieszczał w człowieku przyrodzenie albo stan podnioślejszy. — Co większa rażeni zarówno płodnym umochodem składni, który doprowadził był do wszystkich odkryć dawniejszych, lecz który, swoją koleją, dozwalał przedzierać się uprzykrzonéj władzy twórczéj rozumu samojistnego, ziemiomiercy cywilizowani wygnali go zarówno z swojéj nauki, by go zastąpić umochodem rozbiorowym, co daje li odkrycie pierwiastków czyli części składowych umoświtu przedstawionego lub przedmiotu danego, i który, jako taki, pożyteczny jest w chemii i w jin-

bokości tych przekonań zawierzamy — szanujemy je. Lecz to nie wystarcza. Dotąd, dla tych szczerych i głębokich przekonań H. Wroński nigdzie nie wyjednał uznania; — owszem, napotkał opory, wywołał nienawiść, i można powiedzieć, sam tylko posiada i zna skarb prawdy, któréj ostateczne odkrycie okazale i najpewniéj opowiada. Prawda nieprzyjęta, nawet niezrozumiana, niewprowadzona w świat duchowy, nie ma jeszcze istnienia — nie wpływa na życie, na rozwinienie człowieczeństwa. Jest to potęga, ale potęga zaklęta. Lecz właśnie takie nieszczęście towarzyszy wszystkim pomysłom i wynalazkom, które przedstawił H. Wroński. Nigdzie, u nikogo przyjęcia nie znalazły.

Nie widzimy cokolwiek poważniejszéj liczby wierzących. Z Polaków, szczęśliwym, a doskonale mistrza swego pojmującym uczniem, ma być Pan Bukaty, który ze zwyczajnym sposobem pojmowania i przedstawiania rzeczy, nie chce mieć żadnéj styczności. Wskazujemy czyn, nie pozwalamy sobie wynurzać ani zadumienia, ani nagany. Być to może skutek naszéj słabości. Niezmierności i wszechstronności nauki widzianéj przez mistrza i przez ucznia — my nie widzimy. Czytamy upewnienie, że wszystko rozwiązane i do umiejętnéj wzniesione pewności. Lecz my, wahamy się. Z tych poszukiwań pracowitych, śmiałych, bardzo często zajmujących, i którym względnéj, wysokiéj ważności odmówić niemożna, może się wydobyć ostatnia prawda, — a właściwie jéj pewniejsza wiedza. Lecz ujęcie saméj prawdy, jéj wszystkich stron, jéj całéj treści — jest to zadanie, którego ostatni wyraz podobno nigdy oznaczony nie będzie. Jest w nas Bóg, ale Bogiem samym nie jesteśmy, być nim nie możemy. Takie uczucie ma, zdaje się nam, sam H. Wroński. Jakże często mówi — że uznanie prawd które wynalazł, bardzo trudno i bardzo późno nastąpi; że zupełne i dokładne odsłonienie tych prawd, mogłoby ich urzeczywistnienie na zawsze zniweczyć. H. Wroński zawsze ma coś, co teraz, co pośród danych okoliczności powiedziane być nie może, co tajemniczém pozostać musi — przyczyna zapewne główna, dla któréj umysły chcące poznawać, prawd podobnie wykładanych poznać nie mogły. Całości swego ducha, H. Wroński podobno jeszcze nikomu nie ukazał, nawet, może samemu sobie.

H. Wroński jest synem Wielko-Polski — przyszedł na świat r. 1768 — swoje pochodzenie wyprowadza z czeskiéj rodziny, zapewne protestanckiéj, która u nas znalazła schronienie. Była chwila r.

---

nych umiejętnościach doznawczych, ale jałowy — w mathematice, ponieważ niezdoła w swém zastosowaniu ścisłém, nic odkryć po za tém co, jako pierwiastek czyli część składowa umoświtu danego, już jest objęte w tym umoświcie, i ponieważ, w mathematice; umoświt dany jest zawsze utworem z naczoła ze wszystkiemi swemi pierwiastkami czyli częściami składowemi.“ Jeszcze Quintilian powiedział *Non vis intelligi debes negligi.* Oto są niektóre nowe wyrażenia téj filozofii. „Ujistń omiarotliwy — umochody samoistne — prawo śmiałotliwe kręgotoczności ruchów — z pośladu — z naczoła — przeciwshrara — wiarosad przejistała — chodoznawczy umoświt — omatło, wiedzowiedza — wytwor — otrzym — wiedzozornia — całkotliwość — po umnia.“ —

1794, zaraz po upadku Polski, kiedy przyjął wojskowe moskiewskie znaki. Te czyny dosyć obojętne, a ostatni może niedosyć usprawiedliwiony w obec względów narodowéj godności, H. Wroński nazywa *opatrznościowemi*. Czech przez pochodzenie, Polak przez urodzenie, Moskal przez dobrowolne uznanie, ma wyobrażać dążenie tajemnicze przeznaczenia, i zlanie się tych trzech dotąd najwyższych słowiańskich narodowości — zlanie się atoli takie, które Rosyi zostawia wszystko, a Polsce bardzo podrzędne, a może i żadne znaczenie. H. Wroński mówi jednak, że narodowość polska, jako dzieło Stworzyciela, nie powinna przepaść i nie przepadnie. Są to wahania się i niepewności, spólne wszystkim panslawistom, jeszcze niezdolnym jasno zrozumieć znaczenia Polski i Rosyi. H. Wroński mógłby być nazwany duchowym rodzicielem panslawizmu i messyanizmu. Naśladowce nie wskazali początku, z którego wyszli, — umysłu, z którego wyjęli swoje najświetniejsze czyli najfałszywsze widoki. Mickiewicz messyanizmu nie wynalazł, — powtórzył i przerobił to, co przed nim, umiejętniéj, głębiéj i wszechstronniéj wyrozumowano.

H. Wroński był żołnierzem wojny r. 1794. Podczas oblężenia Warszawy, zapalił składy prochów nieprzyjacielskich, co zdjęcie oblężenia i cofnięcie się Prusaków sprowadzić miało. Pod Maciejowicami, kierował działami postawionemi na prawém skrzydle. 5000 Polaków pokonało 15,000 Moskwy, a klęska wyniknęła ztąd jedynie, że ściganie przedwcześnie zaczęto. H. Wroński był wzięty na polu bitwy. Wszedł do wojsk tych, przeciw którym tylko co walczył. Ale prawie zaraz opuścił nowe sztandary, i 1797 wyjechał do Francyi, gdzie się ukazywały więcéj honorowe i pewniéj rozumowe nadzieje. Kościuszko i Dąbrowski pięknie mówili o H. Wrońskim, który mógłbył zająć wysokie stanowisko dyplomatyczne albo wojskowe. To przecież co zdziałał, ku czemu się posuwał, nie miało ważności. H. Wroński nie znał siebie, nie pojmował swojéj natury i swego przeznaczenia, celu, który miał zdobyć we swojém życiu; ujrzał nakoniec, że byłby się był omylił, gdyby szedł po drodze wojennéj albo dyplomatycznéj, że tylko przez umiejętność ma służyć człowieczeństwu i Polsce. Odtąd, 1800—1810, H. Wroński oddał się wyłącznie odkryciu i ustanowieniu bezwarunkowéj prawdy powszechnéj, takiéj któraby była ostatniém słowem ludzkości, prawem jéj bytu i przyszłości. Wszystko miało bydź naprawione. Człowiek miał odebrać to, co dotąd ciemno przeczuwał, co miał ciemno ukazane przez proroctwa, przez religijne symbola. Nic odtąd jemu zakryte być nie miało. H. Wroński zupełnie siebie odosobnił, wstąpił głęboko do duchowéj ciszy, zerwał wszystkie stosunki, nawet rodzinne, poświęcił środki materyalne utrzymania się, składając stałe sekretarstwo przy Towarzystwie naukowém Marsylii. W 1803. H. Wroński zrobił najważniejsze, stanowcze odkrycie, swoje prawo powszechne, które dotąd rozwija, które stanowi grunt całéj naszéj wiedzy, a określił je następnie: „treść nie-„skończona tego co ma bydź bezwarunkowe, jako pierwszéj zasady

„wiedzy ludzkiéj.” Lecz wstrzymał ogłoszenie swego odkrycia; nie był czas po temu, nie byłby był zrozumiany. H. Wroński postanowił częściowo okazywać swoje odkrycie, zbawienie, które przynosił człowieczeństwu. Ostrożność niejako stracona, albowiem H. Wroński wywołał nienawiści i prześladowania, których dotąd nie pokonał, które mu nieraz dały uczucie zwątpienia, rozpaczy nawet; r. 1843 miał chwilowe postanowienie wnieść do grobu swoje wielkie odkrycie, nierozumiane, odpychane przez świat.

Ta strona życia H. Wrońskiego chociaż przeraża, ale zajmuje, i podnosi męża który się dobrowolnie poddał nieopisanym przykrościom, aby nie opuścić poszukiwania prawdy w któréj widział zbawienie ludzkości. Przed takim heroizmem, przypuściwszy nawet, wierzącym złudzeniu wielkiemu, składamy cześć. Podobno w r. 1811 stracił dziecię przeto jedynie, że nie miał za co lekarstwa kupić. Były chwile, że jemu samemu groziła śmierć przez głód; nie miał obuwia, nosił saboty. Często przyjmował jałmużny i cierpiał, jako się wyraża, najbardziéj brutalskie poniżenia. H. Wroński wyrzuca Polakom zamożnym obojętność ku naukowym pracom, dla ludzi poświęcających się umiejętnościom, temu co jedno ma wartość i nieśmiertelność. U rodaków nie znalazł pomocy, zachęcenia, szacunku, nawet chrześciańskiéj litości. Nie bez zawstydzenia wyznajemy, że dotąd nic nie zaszło, coby temu żalowi moc i prawdziwość odejmowało. Mamy nawet smutniejsze uczucia. H. Wroński nie był pierwszym i nie będzie ostatnim przykładem.

Przeszkody i nienawiści przeciw prawdom i wynalazkom podawanym przez siebie, H. Wroński napotkał między uczonymi, a głównie między uczonemi stowarzyszeniami. Skargami i zarzutami najdotkliwszemi na nie, przepełnił swój manifest historyczny. Temu żalowi nie odmawiamy słuszności. Ludzi zasłużonych, jenialnych, których po skonie ogłoszono dobroczyńcami człowieczeństwa, liczymy za wiele. Historya odkryć, wznowień i wynalazków, przedstawia zarazem dzieje prześladowania tych, którzy je dali. Świat ich nie widział, pogardzał nimi, ogłaszał marzycielami i szaleńcami. Możnaby powiedzieć, że każdemu wyższemu duchowi, towarzyszy nieszczęście i przekleństwo. Przetoż, niemożna czytać bez wzruszenia, bez czci, tego co mówi H. Wroński o sobie, o swoich zajściach z uczonymi. Wielka, chociaż niewiemy czy ugruntowana, ale zawsze prawdziwa boleść, nie dozwoliła umiarkować, ułagodzić wyrażeń, często najpogardliwszych i najobelżywszych. Każda boleść, jeżeli ma pozostać moralną, powinna zachować uczucie swojéj godności i świętości.

H. Wroński, uczonych patentowanych uważa za urodzonych nieprzyjaciół prawdy, a naukowe stowarzyszenia za barbarzyństwo najwygórowańsze, — odkrycia zasadnicze były zawsze samodzielnemi czynami człowieka, ale nigdy uczonych stowarzyszeń. Człowiek stwarza, — ale nie związek. H. Wroński objaśniony własném doświadczeniem i przykładami mnogiemi, twierdzi nawet, że stowarzyszenia naukowe

są niebezpieczne wynalazkom i prawdom nowo odkrytym. W swych przeciwnikach dostrzegł H. Wroński „szarpania się, wściekłości i wycia publiczne” — ma bydź w nich „głęboka niemoralność” — a za przeciwników miał i ma H. Wroński, najświetniejsze naukowe imiona we Francyi. My podobno będziemy bliżéj prawdy, kiedy powiemy że niewiadomość, niemożność ujrzenia nowéj prawdy, uszanowanie ku podaniom dawnym, przybiera pozory złości, a czasami przyjmuje jestestwo najwyrachowańszéj i najszaleńszéj nienawiści. Nieraz umysły najpoważniejsze, serca prawdziwie czyste i umiarkowane, dawały początkowanie prześladowaniom. Błąd, złudzenie, łatwo prowadzi do zbrodni. Jest to opłakana, zasmucająca strona duchowéj słabości. H. Wroński wyrzuciwszy tyle zażaleń na uczonych, na stowarzyszenia naukowe, czegoż przecież sam wymaga? ku czemu zwrócił swoje wszystkie usiłowania? Aby założył stowarzyszenie umiejętne, to właśnie, co sam jako szkodliwe i niebezpieczne przedstawił. Rozumiemy, że stowarzyszenie umiejętne, któremu H. Wroński chciałby dać życie, nie wyda żadnych niebezpieczeństw, albowiem on posiada prawdy ostatnie, bezwarunkowe, pewne. Téj śmiałéj, téj pięknéj, téj pobożnéj nadziei, nie śmiemy podzielać. Ostatecznéj prawdy, żaden człowiek nie wymówi, nie wyczerpie wiedzy, któréj całéj w nim nie ma. H. Wroński warunków naszéj duchowéj natury nie zmieni, po najświetniejszém, po najdalszém rozwinieniu siebie, zawsze ona napotka coś, czego rozwiązać i ustanowić nie będzie mogła. Ostatni wyraz, Bóg, wiecznie zasłoniony będzie. Jest to słońce niewyczerpnione, jest to tajemnica nieskończona. Stworzenie nigdy zupełnie nie wsiąknie Stworzyciela, a przecież to zadanie niepodobne, sprzeczne we swojém założeniu, H. Wroński rozwiązać i urzeczywistnić zamierzył. Myśl ludzka większéj śmiałości wymówić nie mogła. Jest to coś na kształt wywrócenia dziszejszych wyobrażeń o Bogu, o człowieku, a zaiste dosyć naturalne wytłumaczenie, dla czego H. Wroński swojéj nauce przekształcającéj zupełnie warunki stworzenia, dotąd nie wyjednał uznania. Przybytek który naszemu wzrokowi ukazuje, spanialszym być nie może, ale doń niema przystępu; mocy wzniesienia się ku temu przybytkowi nasz duch nie posiada. Przy całéj wielkości naszéj, jesteśmy złamani. Historya ludzkości, historya każdéj duszy, téj prawdzie dają najwyraźniejsze świadectwo. Temu świadectwu H. Wroński nie wierzy. Jest to wielkość albo słabość podawanéj przezeń nauki, — to, co osiągnioném być nie może. Początek i zakończenie wszech rzeczy, na zawsze pozostanie po za człowiekiem. H. Wroński naszemu duchowi przyznaje za wiele, więcéj aniżeli duch przyjąć i dać może. Boga pojmujemy, ale nie obejmujemy. Téj ogromnéj różnicy H. Wroński nie widzi, miesza co wiecznie rozdzielonêm być musi.

Ilekroć H. Wroński ze swojemi wielkiemi zmianami matematycznemi albo filozoficznemi, zbliżył się ku akademiom, ku uczonym, znalazł spór, nie był przyjęty, nie był zrozumiany, a czasami, jako twierdzi, metody przezeń wynalezione przywłaszczono sobie. H. Wroński naj-

wyższe powagi naukowe zaczepiał, poniżał i wywracał. Zbijał, a jako mniema, zbił teorye funkcyi analitycznych przez Lagrange, wykazywał niedostateczność dzieła Laplace: *Mécanique céleste*. Lalande składał podziękowanie za uwagi nad swém dziełem o astronomii, a H. Wroński przyrzeka własne pismo, mające bydź wykończeniem i dopełnieniem wszystkich jego poszukiwań: ***Réforme de la mécanique céleste***, lecz dotąd swego przyrzeczenia nie urzeczywistnił. H. Wroński 1812 podał ogólne rozwiązanie równań wszystkich stopni, a 1827 równanie 5 stopnia wykonał, — przedsięwzięcie wedle przyjętych wyobrażeń niepodobne. Poisson odrzucił je i wyszydził, a paryzka akademia umiejętności, grubo „prawdziwém marzeniem" nazwała. H. Wroński ani akademii umiejętności ani Poissonowi nie ustąpił. Zarzuca uczonym mającym przywiléj, „oszustwa systematyczne i umiejętne zgłupienie." U akademików paryzkich ma bydź jedynie nizka władza pojmowania, a ztąd ich niemoc pojmowania syntetycznie. Poisson „nieumiał się wznieść nigdy po za najgrubszy mechanizm umiejętności." Znalazł się atoli jeden umysł, który prawo wynalezione przez H. Wrońskiego zrozumiał i wykonał. „Pan Bukaty, uczony filozof polski, rozwiązał równania wszystkich stopni, praca bardzo ważna i niejako stanowczo wyjaśniająca ważne pytanie równań. [2])" Niemamy powagi, abyśmy mogli zaprzeczać mistrzowi i szczęśliwemu uczniowi. Życzylibyśmy atoli, aby takie wielkie, takie nieogarnione matematyczne prawo, między właściwymi znawcami pojmujących i wierzących znalazło, aby rzeczywiście zastosowaném i upowszechnioném być mogło. Prawda umiejętna tylko dwom umysłom udzielona i przystępna, jeszcze nie istnieje. H. Wroński mówi „chociaż to zdaje się być nieoczekiwaném i nie do uwierzenia, jednakże oznajmiamy, bez żadnéj przesady a najrzeczywiściéj, że nakoniec umiejętność jest spełniona." Uchylamy się przed tém ogłoszeniem, tyle pewném i tyle wyniosłém, ale to niedosyć. Samo ogłoszenie prawdy nie wystarcza; prawda koniecznie do sumienia, do umysłu wszystkich wstąpić powinna. Jest to warunek jéj działania, jéj życia, jest to znak jéj rzeczywistości. To nastąpić może; ale to jeszcze nie nastąpiło. My, tém

---

2) Lagrange i Poisson a z nimi wszyscy matematycy, rozwiązanie równań wszystkich stopni uznali za niepodobieństwo. Akademia paryzka umiejętności nazwała wyraźnie: *pleine rêverie*. Wedle nas, takich bezwarunkowych wyrokowań prawdziwa umiejętność wydawać niepowinna. Ponieważ są zadania, których teraz rozwiązać nie można, — jeszcze nie wynika, że ich rozwiązanie nigdy nie nastąpi. Poznawaniu rzeczy stworzonych nie wypada naznaczać granicy. Zuchwałość ma swoje niebezpieczeństwa — ale ma je niezawodnie fałszywa skromność. Kramp we swéj arytmetyce powszechnéj, wydanéj 1808, bardzo słusznie uważa, że rozwiązania równań wszystkich stopni za niepodobieństwo nie można ogłaszać, albowiem nie wiemy czyli trudność rozwiązania jest złożona w saméj rzeczy, czyli tylko w przyjętéj dotychczas metodzie. Mogłoby bydź bardzo łatwo, że H. Wroński właściwie pojmuje. Każda nowa, wielka prawda, wychodzi z pojedynczéj myśli — obraża wszystkich. Świeży wynalazek sympatycznéj bussoli, zdaje się dawać człowiekowi panowanie nad czasem i przestrzenią, cuda o których się ludziom nie śniło. To prawda. Ale także prawda, że nie ma tajemnic w stworzeniu, które wyjaśnionemi byćby nie mogły.

nie jesteśmy ani zdumieni, ani zgorszeni. Świat stoi za nizko a H. Wroński za wysoko. Przerwa między temi przestrzeniami jest tyle ogromna, że z padołu na którym jesteśmy, wzrok nasz duchowy, prawdy okazywanéj na takiéj wysokości objąć nie może. Nie mamy narzędzi i metod, które H. Wroński sam dotąd wyłącznie posiada, a chociaż je udziela, użyć ich nie umiemy. Niedostatek związku między nim a światem umysłowym obecnym, widzi sam H. Wroński, i przeczuwa, że niezmierzoną ważność najwyższych praw podanych przezeń, tylko potomność oceni i przyjmie, — wnioskowałby przeto i wnioskowaćby upoważnił, że teraz zastosowanie i urzeczywistnienie tych najwyższych praw nastąpić nie może. Jeszcze nie nadszedł czas zdjęcia ślepoty obecnie żyjącemu człowieczeństwu. H. Wroński byłby przeto prorokiem, opowiadaczem i nowym Messyaszem, który nie wstąpi nigdy do widzianéj przezeń obiecanéj ziemi. Nam się zdaje, że należałoby mieć szlachetne wymiarkowanie dla tych którzy nie odebrali zmysłu widzenia prawdy. Sokrates pogodnie wypił kielich śmierci. Słodycz jest to ostatnie wykończenie i namaszczenie duchowe. „Często, — mówi H. Wroński panu Arago 2. kwietnia 1848, — byłem blisko „śmierci z głodu." Jest to okropne, ależ godzi się pamiętać na słowa Zbawiciela: ***a syn człowieczy nie ma kamienia na którymby skłonił głowę.*** [3])

1803. H. Wroński przedstawił paryzkiéj akademii umiejętności swoje naczelne odkrycie: ***Technie des mathématiques — loi suprême des mathématiques.*** Podaném przez siebie prawem, H. Wroński przyrzekał rozwiązać to wszystko, co dotąd matematyka za trudne, za niepodobne uważała. Jego prawo, miało być prawem wszystkich metod dawnych i przyszłych. Swoje prawo H. Wroński określał: ***indétermination absolue***,— nieoznaczoność, która wszystko miała obejmować pod któréj formuły wszystko podciągnione być mogło. To coś wygląda na nihilizm, na panteizm, na dyalektyczne cedzenie, między bytem, a nicestwem, na nieskończone przeczenie i twierdzenie. Sam H.

---

3) H. Wroński ogłosił 1847, Tom trzeci swego ***Messianisme ou réforme absolue du savoir humain*** — gdzie zamieścił ***Résolution générale des équations algébriques de tous les dégrés.*** Za odkrycie i wyjaśnienie téj tajemnicy, któréj dotąd usiłowania wszystkich uczonych ani rozwiązać ani zrozumieć nie mogły, H. Wroński żądał narodowéj ze strony Francyi nagrody. Nieszczęście ciągle mieć chciało, że téj tajemnicy i innych, dotąd niezatwierdziło doświadczenie. Teorya jest podana, ale nie ma jéj zastosowania i urzeczywistnienia, co przecież niestanowi dowodu, jakoby teorya istotnie fałszywą, tylko marzeniem być miała. My raczéj opisujemy i przedstawiamy, aniżeli sądzimy. Lecz H. Wroński za wiele cnoty wymaga po uczonych i akademiach, którym najkrwawsze robi zarzuty, naprzykład — „niebezpieczny wpływ i przewrotność uczonych na patencie." Daleko dolegliwsze jeszcze czytaliśmy przymiotniki. H. Wroński poróżnił się ze wszystkiemi naukowemi zakładami z któremi tylko miał styczność — miał w nich widzieć: ***une profonde ignorance ou une profonde immoralité.*** — Po co żądać przyznania nagrody albo uznania prawdy u tych, których H. Wroński ogłaszał urodzonymi nieprzyjaciołami postępu i umiejętności!

Wroński, swój wynalazek, swoje myśli nazwał: *à peu près incroyables*, a głównie opierał się na tém przeświadczeniu, że rozum człowieka ma istotnie potęgę stworzenia, że jest stworzycielem prawdziwym, — moc, któréj dotąd duchowi człowieczemu nie przyznawano. Metoda analityczna, przeważająca między uczonymi Francyi, nie ma warunków stwarzania, odkryć i postępu. Te warunki H. Wroński widzi w swéj metodzie, analitycznéj i systematycznéj razem, w swojém prawie, stwarzającém rzeczywiście, wydającém ze siebie prawdziwe stworzenie.

Akademia umiejętności powierzyła Lagrange'owi i Lacroix ocenienie tych wielkich odkryć. Z Lagrange'm H. Wroński przedtém miał spór, wykazał niedostateczność podawanych przezeń metod. Ci dwaj mężowie wahali się; nie wiedzieli dobrze, jakieby mieli wyrzec zdanie. Lacroix przedstawiał nawet H. Wrońskiemu, czyliby się nie zrzekł o swoim wynalazku sprawozdania, które bardzo delikatne byćby musiało; uprzejmie opowiadał, że w tém co podał H. Wroński, nie ma wielkości, nie ma nowości, nie ma odkrycia. Lagrange był nieco wyraźniejszy, upraszał o dowody przekonywające że prawo podane przez H. Wrońskiego zastosowaném, urzeczywistnioném być może; upraszał tém słuszniéj, że sam H. Wroński ukazawszy swoje prawo, dowodzenie na późniéj zachował. Mógł mieć ku temu ważne powody. Lecz zdaje się, Lagrange i Lacroix są niejako wymówieni, jeżeli prawa któremu H. Wroński odjął dowodzenie, jasno widzieć nie mogli, chociaż pierwszy miał wyznać, a akademia jeszcze 1800 potwierdzić, że H. Wroński wynalazł bezwarunkowe prawo matematyki.

Sprawozdanie uczyniono nakoniec 1810. Lecz jakie? H. Wroński przyjmuje je jako pochlebne, jako uznanie że odkrycie zrobił. My, sprawozdanie znajdujemy dwuznaczném, niemówiącém nic. Sprawozdanie mniemało że to co podaje H. Wroński jest „ogólność bez granic, ogólność przerażająca; że wszystkie znane metody matematyczne, są jedynie czynami bardzo szczególnemi prawa," które przedstawił H. Wroński. My pozwalamy sobie nadmienić, że we wszystkich odnogach wiedzy, ogólność bez granic, *indétermination absolue*, chociaż może być najwyżéj ujmująca i świetna, nie ma wartości, przez wzgląd prosty że ogólność bez granic, że ogólność prawdziwa, rzeczywista, żyjąca, to powszechne prawo tłumaczące i obejmujące wszystko, jedynie w Bogu się znajdzie, jest samym Bogiem. H. Wroński jeżeli się myli, myli się kolosalnie. Zmienia zupełnie dotychczasowe pojęcia o Bogu, o człowieku, a wyraźnie przymioty Boga nadać pragnie i nadaje duchowi naszemu. Nie jesteśmy zdumieni, że Lagrange i Lacroix nie mieli odwagi do téj posunąć się wysokości. Sam H. Wroński mówi grubo, że umysł paryskich uczonych stoi nieskończenie niżéj. Lecz jeżeli tak, mogłoż między nimi a H. Wrońskim nastąpić porozumienie? Zmysłu umiejętności nie posiada akademia paryzka, mówi śmiało H. Wroński. Poco

zatém przedstawiać odkrycie uczonym pozbawionym zmysłu umiejętności, uległym mimowolnéj a koniecznéj ślepocie? To co Lagrange i Lacroix zostawiali wątpliwém, Arago i Legendre w sprawozdaniu 1811 uczynili bardzo wyraźném; wyznali, że H. Wroński odkrycia nie zrobił, że nie był: *capablè de les démontrer.* Prawo czytali, ale dowodów nie widzieli. H. Wroński między dwoma sprawozdaniami 1810 i 1811 widzi sprzeczności, wyrzuca akademii że sama siebie nie rozumie i zbija. My, nie. My obadwa sprawozdania znajdujemy bardzo zgodnemi, twierdzącemi jedno i toż samo. Ani Lagrange, ani Arago odkrycia nie uznali; ale zapominać nie trzeba, że pierwszemu H. Wroński dowiódł niedostateczność jego funkcyi analitycznych, a o drugim nie waha się wyznać, że to jest: *savant d'un ordre très inférieur.* Byłaż roztropność u takich uczonych szukać przyznania swym naukom? Po 1811, nic nie zaszło, coby odkryciu podanemu przez H. Wrońskiego wyjednało jakiekolwiek znaczenie. Rozwiązanie równań wszystkich stopni, najwyższe prawo matematyki, prawo wszystkich metod, dawnych i przyszłych, jeszcze nie straciły swéj tajemniczości. Są sfinxami. Prawda z umysłu H Wrońskiego jeszcze nie wyszła. Nie ma jéj w świecie umiejętnym i duchowym, co przecież nie stanowi dowodu, aby nigdy doń przejść nie miała. Jako zaraz poznamy, jest to los spólny innym odkryciom jakie H. Wroński miał uczynić, czyli rzeczywiście uczynił w filozofii, religii i historyi.

Dotychczasowe urządzenie dróg żelaznych Wroński uważa jako początkowe, jako barbarzyńskie; że byłoby „dowodem głębokiéj niemoralności," obstawanie przy tém co istnieje, a odrzucenie tych ulepszeń czyli odkryć które przedstawił. Wroński przyrzekał zmienić gruntownie drogi metaliczne, a nawet uczynić je niepotrzebnemi — zapowiedzenie wyglądające niejako na cud. Ruch miał być samoistny — *locomotion spontanée* — we wszystkich pochyłościach, na każdém miejscu. H. Wroński w swoim systemie nie potrzebuje budowy dróg i pary, pod każdym względem wynalazek nieoszacowany, dobroczynny, jeżeli tylko prawdziwy, jeżeli umiejętnie mogący być wykazanym, a praktycznie wykonanym. Tych warunków Wroński nie odmawia swemu systemowi. Uważa je za najpewniejsze, za dowiedzione. Jest to prawda bezwarunkowa.

H. Wroński złożył Radzie dróg i mostów we Francyi cztery tomy, plany i karty, dał wzory swoich nowych machin, swego *rond accompli,* swéj dramady, swego *rail de sûreté*, które oddalać miało stanowczo wszystkie fatalne przypadki, niejako koniecznie związane z dzisiejszemi drogami metalicznemi. Rada wyznaczyła trzech członków swoich, którym poruczyła rozpoznanie wynalazku. Pan Villiers, członek rady i komisyi, widział się z H Wrońskim, i może szkoda, że posiadamy sprawozdanie jednéj strony. Skutek, jako zawsze, nie był pomyślny H. Wrońskiemu. Pan Villiers wprawdzie żądał, jakich ze strony rządu ustąpień i nadań wymagałby Wroński, i oznajmiał, że rząd byłby skłonny udzielić znaczny nakład, aby zrobić na wielki

rozmiar sprawdzenie metody podanéj przez H. Wrońskiego, który zdaje się, ze swéj strony dawał wszystkie łatwości, nic nie ukrywał, a głównie wzorów. Pan Villiers uczynił nierównie ważniejsze przyznanie; pojmował materyalne urządzenie, urządzenie wzoru machiny (*modèle*) obdarzonéj samodzielnym ruchem, ale nie widział ich matematycznie wykazanéj prawdy i zasady, chociaż przedtém Rada dróg i mostów umiejętnych dowodów nawet słuchać nie chciała. Samo materyalne wykonanie dla niéj wystarczającém być miało. Wnioskowaćby przeto należało, że Rada jasno nie pojmowała przedmiotu, nie śmiała wynalazku nazwać fałszywym, ale nie miała dosyć wiedzy aby ogłosić prawdziwym. Wahała się i przyznawała, i to co przyznała zaraz wyłudzała, niweczyła; dla nas prawie dowód, że był czas kiedy Rada miała przekonanie o prawdziwości wynalazku. H. Wroński był za stanowczy, za wymagający, za dumny może ogromem swego pojęcia. Chciał mieć wszystko, albo nic. Odrzucił wszelkie wynagrodzenie, dopókiby Rada nie wyrzekła o saméj prawdziwości wynalazku. Co gdyby dla niéj niepodobném być miało, życzył, aby Rada uznała swoją niewłaściwość rozpoznawania odkryć téj natury. Długie rozpoznawanie nie przyniosło skutku. Tomy, plany i karty H. Wrońskiego zwrócono 1848, i oświadczono że wynalazek praktycznie wykonany być nie może. H. Wroński wymienił powody odmówienia, wahania się, a poźniéj pewności że odkryciu zbywa na praktyczności. Ruch samodzielny uczyniłby niepotrzebnemi dzisiejsze drogi żelazne. Ich przedsiebiercy, rząd czy towarzystwa, straciłyby gwałtownie i bez przejścia ogromne, przerażające nakłady. Rozległości następstw tych strat trudno przewidzieć. Ztąd postanowienie Rady, ztąd „nienawiść śmiertelna" tych wszystkich, którym H. Wroński swoje pokazywał odkrycie. Obrażał potężne pieniężne stosunki i naukowe przesądy, mniemające, że taki wynalazek jest prostém marzeniem. Zajęci raczéj opowiadaniem aniżeli sądzeniem, pozwalamy sobie przecież nadmienić, czyli przypadkiem H. Wroński nie ma słuszności? Za cesarza Napoleona, umiejętne francuzkie zgromadzenia wynalazek machin parowych, parowéj żeglugi, uznały za przywidzenie. Największy jeniusz wieku nie ujął podawanéj mu najogromniejszéj potęgi, niejako niweczącéj czas i przestrzenie. Każda nauka ma swoich starowierców, swoich krótkowidzów, nigdy niewychodzących po za swój ograniczony widnokrąg, po za którym wedle nich nie istnieje światło i prawda.

H. Wroński mniema daléj, że ulepszył system metryczny, że oznaczył prawdziwy kształt ziemi, że wynalazł prawdziwe przyczyny opadania i wznoszenia się morza. Pan Leverier rachunkiem wykazał byt i bieg planety dotąd niewidzialnéj, a wpływającéj na nieporządek ciał niebieskich objętych systematem słonecznym. H. Wroński zaraz twierdzi, że pan Leverier użył tych metod, które dawniéj on ogłosił. Po 40 latach prac olbrzymich, wzbudzających podziwienie

i uszanowanie dla autora [4]), po 40 latach walki przeciw obojętności albo niechęci, H. Wroński co do wszystkich odkryć swoich matematycznych znalazł zaprzeczenie, a jako mniema, szalone, zbrodnicze nienawiści. Były atoli i chwile podnoszące: francuzki bankier Arcon, ofiarował nakład na druk pism filozoficznych. Inny Francuz przyrzekał H. Wrońskiemu znaczne pieniądze za odsłonienie tajemnicy, na której udzielenie wahał się, odwoływał przyrzeczenie. H. Wroński wydał pozew, a zostawił oskarżonemu wolność cofnięcia się, jeżeli tylko publicznie wyzna, że to co miał odkryte, jest fałszem. Oskarżony natychmiast zapłacił co przyrzekł. Trudno przypuścić, aby

---

4) H. Wroński wydał następujące pisma filozoficzne:

1. Tome I. Prodrome du Messianisme. Révélation des destinées de l'humanité (Septembre 1831.)
2. Tome II. Métapolitique messianique; Désordre révolutionnaire du monde civilisé (Mai 1839 à Juin 1840).
3. Prospectus du Messianisme (Mai 1831).
4. Bulletins messianiques (Mai 1832).
5. Tableau de la philosophie de l'histoire (Juillet 1840.)
6. Tableau de la philosophie de la politique (Juillet 1840).
7. Secret politique de Napoléon, comme base de l'avenir moral du monde (Juin 1840).
8. Le faux napoléonisme, comme interprétation funeste des idées napoléoniennes (Août 1840).
9. Le destin de la France, de l'Allemagne et de la Russie, comme Prolégomènes du Messianisme (Août de 1842 à 1843)

Pisma o umiejętnościach matematycznych:

1. Philosophie des mathématiques (1811).
2. Résolution générale des équations de tous les degrés (1812).
3. Réfutation de la Théorie des fonctions analytiques de Lagrange (1812).
4. Philosophie de l'infini (1814).
5. Philosophie de la Technie Algarithmique, première section, contenant la solution suprème des Mathématiques (1815).
6. *Idem*, seconde section, contenant les lois des séries, comme préparation à la réforme des mathématiques (1816 et 1817)
7. Critique de la Théorie des fonctions génératrices de Laplace, contenant, pour le cas fondamental, l'intégration générale des équations aux differences et aux differentielles, totales et partielles, de tous les ordres. (1819).
8. Introduction à un Cours de Mathématiques (en anglais) offrant un aperçu de la présente réforme des mathématiques (1821).
9. Canons des Logarithmes, où est donné la solution du cinquième degré. (1827)
10. Loi teléologique du Hasard, comme base de la réforme du calcul des probabilités (1833).
11. Machines à vapeur, où leur théorie est fondée sur les nouvelles lois des fluides (1839)
12. Nouveaux systèmes de machines à vapeur, contenant les nouvelles lois physiques (1834 et 1835).
13. Prospectus historique de la réforme scientifique de la locomotion fondée sur de nouvelles lois du mouvement spontané des corps (1840).
14. Réforme des mathématiques, comme prototype de l'accomplissement final des sciences (1847).

Samo wejrzenie na te prace pokazuje, że H. Wroński rozbierał najważniejsze zagadnienia matematyki i filozofii.

wynagradzał to, coby za złudzenie albo za kłamstwo uważał. We wszystkich sporach umiejętnych jakie miał H. Wroński, zawsze było coś, co za nim przemawiało.

H. Wroński nie wszystkie swoje prawdy drukiem ogłasza, ma podobno tajemnice których dotąd nie objawił publicznie, które najbliższym uczniom ustnie podaje, objaśnia. Ostatnie słowo swoje H. Wroński przed światem zakrywał i jeszcze zakrywa, przekonany, że istnieje piekielny jakiś związek, spikniony przeciw niemu i przeciw jego nauce. Całe objawienie swéj nauki, a może tylko częściowe, H. Wroński uczynił dwukrotnie i bardzo nieszczęśliwie. Był zawiedziony, powierzył się niegodnym. Jednemu uczniowi, 9. października 1814 w St. Cloud, odkrył *l'essence de l'absolu*. Lecz to był „uczeń fatalny," który widział, że H. Wroński będzie *flambeau de la terre*. R. 1817, bliski śmierci, objawił swoje wielkie prawo innemu uczniowi, ale i ztąd wyniknęły zgorszenia, fałszywe sądy, które H. Wroński musiał łagodzić i prostować swemi Trzema Sfinxami, wydanemi 1818 i 1819. Możnaż tak gorżko i tak gwałtownie ubolewać nad nieprzyjęciem, czyli nad niezrozumieniem nauki, kiedy objawiciel swoich wszystkich jasności w niéj złożyć sam nie chciał?

H. Wroński odrzucony przez uczonych we Francyi, prześladowany nawet, u angielskich uczonych nie znalazł więcéj szczęścia. H. Wroński przyznaje sobie, że ugruntował *nouvelle mécanique céleste*, a priori, z rozumu, wedle tychże samych praw, jakich użył, jakie wydał ze siebie Stworzyciel. Dotąd uważano umiejętność astronomii empirycznie, analitycznie: metoda, która czyni niepodobném pojęcie tajemnicy stworzenia, budowy i ruchu światów. Newton, Laplace, mimowolnie błądzili. H. Wroński odkrył *faits éternels*, posiada siedm zasadniczych a nieomylnych praw stworzenia światów.

Z tych praw dwa, jeszcze 1821 udzielił H. Wroński towarzystwu królewskiemu londyńskiemu: a głównie swoje uważanie budowy ziemi, ciał niebieskich, i rzecz o płynach. Towarzystwo królewskie o tych prawdach przedstawionych jemu, ani wspomniało. Parlament angielski wyznaczył świetne wynagrodzenie temu, któryby poprawił tablice refrakcyi. H. Wroński wykonał i przesłał swoje prace *au Bureau des Longitudes*. Rękopisma przejrzano i zwrócono jako nieużyteczne; ale późniéj, metodami podanemi przez H. Wrońskiego, rzeczywiście poprawiono tablice refrakcyi. Członkowie *du Bureau des Longitudes*, prace skradzione H. Wrońskiemu drukowali pod własném imieniem, a téjże saméj chwili druki H. Wrońskiego, na rynku paryskim funtami sprzedawano. Czyny nie do uwierzenia, gdyby téj kradzieży H. Wroński nie popierał świadectwami, których nam trudno sprawdzić.

Na tém zamykamy rys umiejętnych prac, odkryć i sporów. Wynalazki i wznowienia, a wznowienia i wynalazki ważniejszemi byćby nie mogły, sąż rzeczywiście takiemi, za jakie uważa je H. Wroński?

My nie mamy ani prawa, ani powagi twierdzić, albo przeczyć. Pragniemy tylko, aby jaki polski matematyk zgłębił prace H. Wrońskiego i powiedział, czyli jest w nich wartość i wielkość. Pan Bukaty ma rozumieć najlepiéj swego mistrza. Nieszczęście tylko mieć chce, że styl którym się posługuje, ani polskim ani zrozumiałym nazwany być nie może. My nie mamy daru ani ochoty odgadywać naukowych zagadek. Bardzo trudno ufamy myśli, która nie umie przedstawić siebie, jeżeli nie pięknie, przynajmniéj przyzwoicie.

Sami sobie zakazujemy wydawać sąd o wynalazkach i metodach podanych przez H. Wrońskiego. Znaleźliśmy przecież dwa świadectwa, jedno najprzychylniejsze H. Wrońskiemu, a drugie przeciwne. Przedstawiamy je w skróceniu. Jeżeli Montferrier przyznaje H. Wrońskiemu najpiękniejsze odkrycia i poszukiwania, Gergonne odmawia tym odkryciom i poszukiwaniom jakiéjkolwiek wartości i powagi. Jeden i tenże sam przedmiot uznany i fałszywym i prawdziwym. Jako widno, matematyka nie stanowi wyjątku. I o niéj dowolnie rozumować można, twierdzić i rozumować na wszystkie strony. Podobno Pascal wyznał, że matematyka nie ma tyle pewnéj podstawy, aby jéj zaprzeczyć nie można.

Przepisujemy prosto sąd o H. Wrońskim wydany przez P. Montferrier[5]).

Vandermonde, Kramp, Arbogast, oznaczyli i stopniowo rozwinęli umiejętność liczb. Wroński posunął ją ku wyższemu stopniowi, uważając ją pod widokiem zupełnie nowym. Uogólnienie dokonane przezeń, stanowi teraz najważniejszą część umiętności liczb. Funkcye ustanowione przez siebie, H. Wroński nazwał *facultés algarithmiques*. Piękne prawo rozwiązane *sur des facultés minimes*, matematyka winna H. Wrońskiemu, którego dzieło: *Réfutation de la Théorie des fonctions analytiques*, pan Montferrier uwielbia. Ułożenie metod analitycznych i naturę pewności jaką dać może ich zastosowanie, dotąd filozoficznie nie rozpoznawano. To wykonał pierwszy H. Wroński, w swojém dziele tyle okazałém: *Philosophie de l'Infini*. Odeń zaczyna się nowa epoka matematycznych umiejętności. Wroński wykazał niewłaściwość metod matematycznych użytych przez Carnot'a i Lagrange'a, a filozofia matematycznych umiejętności powinna wykazać a priori wszystkie zasady matematyki, i wprowadzić do téj umiejętności systematyczną jedność. To miał na celu Wroński, kiedy 1821 ogłosił: *Introduction à la philosophie des mathématiques;* ale zamiast odebrania czci, wbudził ku sobie uczone nienawiści. Ztąd oburzenie członków *Institut de France*, nad którymi H. Wroński, może za dumnie użył swéj wyższości. System okazały i zdumiewający, który nakoniec do umiejętności matematycznych zaprowadził jedność, czego żadnym innym sposobem dokonaćby nie można. Z swéj bezwarunkowéj nauki, Wroński wyprowadził swoje

---

5) *Dictionnaire des Sciences mathématiques*, Paris. II, 7, 3 i 4. 331, 483, 549.

wszystkie odkrycia, czyny najgłębsze i najwyższe do jakich wzniósł się umysł ludzki. System algarytmicznych wiadomości czyli nauk, jest zupełnie wykończony. Montferrier powiada, że swojemi pracami chciał ułatwić tylko zrozumienie dzieł Wrońskiego i wykazać ważność jego filozofii, która wytłumaczyła i spełniła umiejętność matematyki.

Montferrier przyznaje Wrońskiemu ustanowienie prawa seryi i wykazanie że teorya ustaw ma nie matematyczny ale algebraiczny początek. Pierwsze początki technii zakreślił Bernouilli, a jéj świetny wywód należy jeszcze Wrońskiemu. Montferrier kończy swoje pochwały wyznaniem, nad które okazalszego pomyśleć nie można. „I Wroński „jako Keppler może wyrzec o sobie: Oddaję moje dzieła; czyli zro-„zumie je wiek dzisiejszy albo następny? mniejsza o to. Bóg przez „6000 lat nie czekałże na wytłumaczenie swego stworzenia[6])?“ Przy tém ocenieniu nadmienimy, że między matematykami jakich emigracya wydała we Francyi, Wroński uchodzi za marzyciela, za szarlatana nawet. Jest to lekkość. Wroński sądzony najzimniéj, napisał więcéj dzieł aniżeli inni czytali, a jako znawca matematycznych umiejętności, niezawodnie zajmuje miejsce wysokie. Mniéj więcéj powszechnie chorujemy na wstręt do uczczenia umysłowych wielkości.

Montferrier obejmował i uwielbił wszystkie matematyczne poszukiwania H. Wrońskiego. Gergonne, jeden z najuczeńszych matematyków we Francyi, rozpoznawał tylko jeden przedmiot: równania wszystkich stopni, których rozwiązanie H. Wroński, jako pewność, jako

---

6) H. Wróński sam o sobie twierdzi, że jego filozofia, że jego architektura *est celle-là même, dont s'est servi le Créateur pour bâtir les mondes.* s. 247. To niedość; jego filozofia ma być umiejętnością stwarzania tego co nigdzie przedtém nie istniało, czego podobno sam Bóg nie znał. H. Wroński nie uznaje żadnéj dotychczasowéj powagi: ani umiejętnéj, ani religijnéj. Jego Messyanizm oparty na *l'essence intime de l'absolu n'a pas besoin d'aucune garantie extérieure ni réligieuse, ni même scientifique.* Nawet religia, widocznie nowa i lepsza, zupełniejsza, wyjdzie z Messyanizmu. s. 237. Takich twierdzeń o samym sobie moglibyśmy przytoczyć za wiele a jednak połączonych ze zwątpieniem. „*Après quarante années, il est encore problématique, si les vérités absolues peuvent être reconnues par les hommes* (s. 125)“

Ponieważ dotąd żadnych odkryć matematycznych, filozoficznych i religijnych podawanych przez H. Wrońskiego albo nie przyjęto, albo nie rozumiano; zapewne darowane nam będzie, jeżeli my dokładnie ujrzeć nie możemy téj za wysoko postawionéj jasności. H. Wroński sam pisze usprawiedliwienie i dla nas i dla innych. H. Wroński swojém prawem przyrzeka rozwiązać wszystko, czego dotąd niezdołały rozwiązać umiejętności. Nic przed nim nie jest zakryte. Tego nie wyszydzamy. Lecz H Wroński twierdzi, że „*de si hautes considérations intellectuelles, sont encore étrangères à l'esprit humain*“ Na wykazanie prawd swoich H. Wroński potrzebowałby kilku tysięcy lat, prawd, o których sam mówi, że na pozór są dziwaczne i nie do uwierzenia. Czemu H Wroński nie naśladuje Zbawiciela, który swoim uczniom pokazował takie światło, że oni wzrokiem jaki mieli, przyjąć je i zrozumieć mogli. Chrystus był małym dla małych; a H. Wroński dla nas, dla świata jest wielkim i chce nim pozostać Cośmy wyjęli znajduje się w liście do papieża s 414, 418. Ten list zaraz niżéj obszernie przedstawimy.

swój wielki wynalazek ogłosił [7]). Gergonne nie podziela uwielbień nakreślonych najokazaléj przez Montferriera. Uderzyło nas, że w swoim sądzie nie zachował jednostajności, bezstronności; że się wahał, przyznawał bardzo wiele a późniéj odwoływał, co niejako upoważnia domniemanie, że metoda rozwiązania równań wszystkich stopni niekoniecznie jest marzeniem, niepodobieństwem; że cokolwiek bądź, zawsze mogłaby być uważana jako umiejętne usiłowanie.

Nasamprzód Gergonne odejmuje Wrońskiemu zaszczyt wynalazku. Jego metoda nie ma być nowa; jest prosto powtórzeniem metody pokazanéj przez Bézoût. Gergonne atoli uczynił ciekawe przyznania, których późniejszemi cieniowaniami sam nie zdołał wywrócić. „Wroński swoją metodę wyłożył jasno i dokładnie, za jéj pomocą można zupełnie rozwiązać równania trzeciego stopnia.” Gergonne na czwartym stopniu nie sprawdzał metody, a nie przypuszczał, aby ktokolwiek chciał czynić jéj zastosowanie do równań piątego stopnia — co przecież, jako zaręcza H. Wroński, szczęśliwie wykonał pan Bukaty, mający rozumieć wszystkie tajemnice swego mistrza. „Gdyby Pan Wroński nie był złożył dowodów swojéj głębokiéj wiedzy, należałoby się obawiać czyli się nie pozwolił złudzić przez analogiczne wnioskowanie, czyli nie uwierzył za lekko: że *les termes affectés aux radicaux*, znikające same przez siebie w stopniu trzecim, powinny również znikać w stopniach wyższych.” H. Wroński nic nie zmienia w swéj metodzie odnesionéj do równań czwartego stopnia — i „zdaje mi się, mówi Gergonne, że w tém myli się“ — ale czyli się H. Wroński myli rzeczywiście, sam Gergonne nie umie, nie śmie twierdzić. Albowiem zaraz następne przedstawia swoje rozumowanie: „Zadanie rozwiązania równań algebraicznych mogłoby być uważane za dowiedzione, atoli pod warunkiem, jeżeliby forma pierwiastków pozostała niezmienna w równaniach wszystkich stopni.“ Sprawdzenie metody Wrońskiego wymagać miało saméj mechanicznéj pracy: nie podjął się jéj Gergonne, a przecież mówił, chociaż niewyraźnie, że metoda miała warunki wymagane przez umiejętność. Nie był to przeto sen.

Odtąd Gergonne zmienia swoje uważanie. Zkądinąd pokazał on swój własny sposób rozwiązania, który mieni „krótszym i może stosowniejszym.“ Metoda Wrońskiego zawikłańsza i niepotrzebna być miała. Wywinął się przeto spór osobisty, walka o zaszczyt wynalazku prawdziwéj metody. Gergonne upraszał: „aby Wroński jasno ukazał zasady, na których opiera swe metody“ — a nawet znalazł, że swoje wątpienie o prawdziwości metody Wrońskiego uważał i uważa za przekonanie; że wyrazu wątpienie użył tylko przez grzeczność.

---

7) Doutes et refléxions sur la méthode proposée par H. Wroński, pour la résolution générale des équations algébriques de tous les degrés. *Annales des Mathématiques* III, 51 i 37 206

przez delikatność; że Wroński unika sądu znawców, że zanosi odwołanie do ludzi obcych matematycznym umiejętnościom; że Wroński przypuszcza różnice między formą a naturą pierwiastków, czego przecież on, Gergonne, nie pojmuje; że Wroński „zabarykadował się swemi *équations fondamentales*, do których nikt szturmu przypuszczać nie myśli.“ Jednak Gergonne lękał się tych śmiałych twierdzeń; albowiem mniema, że metoda byłaby prawdziwa jeżeli Wroński ustanowi une *reduite rationelle pour le cinquième degré;* że chętnie pokonanym być pragnie, że sam sobie życzy poniżenia a chwały Wrońskiemu, albowiem umiejętność odniosłaby zysk i wydoskonalenie. „Jeżeli pan Wroński będzie i nadal oblekał się ciemnościami; jeżeli będzie dawał tylko obietnice; jeżeli jako zwykł dotąd, zechce tłumaczyć swoje zagadki innemi zagadkami;“ naówczas Gergonne uzna, że ma cele, których umiejętność nie ma potrzeby rozpoznawać[8]).

Gergonne sam siebie nie zaspokoił temi sądami, temi przyznaniami, temi odwołaniami. Rozumiał, że był sobie sprzeczny. Po długiéj przerwie, odnowił poszukiwania. Nie śmiał twierdzić pewnie, że metoda Wrońskiego nie może być stosowana do równań przechodzących po za trzeci stopień; ujrzał, że czasami metoda Wrońskiego może rozwiązać równania czwartego stopnia; że był za nadto przyjaźnie usposobiony dla téj metody; że „ta metoda, tyle pompatycznie zapowiedziana, na czwartym stopniu równań próby wytrzymać nie może. Nigdy nie będziemy odmawiali czci rozległym matematycznym wiadomościom które posiada Wroński, ale poczekamy jeszcze, nim udzielimy jemu zaufanie, jako wynalazcy. Niechaj udowodni swe posłannictwo innemi cudami[9]).“ Z téj polemiki okazuje się widocznie, że Gergonne sam sobie rachunku zdać nie umiał: o naturze, o prawdziwości albo fałszu metody podanéj przez Wrońskiego.

Zamykamy niniejsze wystawienie matematycznych usilowań Wrońskiego powtórzeniem życzenia, aby jaki Polak, znawca matematycznych umiejętności, odczytał i ocenił głębiéj to co Wroński oglosił. Pan Bukuty ma szczęście rozumieć swego mistrza, ale nie ma daru, ani siebie ani swego mistrza wytłumaczyć. Gergonne mógł się unieść, mógł nie pojąć czyli nie obejrzeć dokładnie metody, ale przecież powiedział o Wrońskim, że jest w nim głęboka wiedza, że posiada rozległe wiadomości matematyczne. Wroński przeto ma prawo być postawionym między naszemi najpierwszemi duchowemi znakomitościami.

H. Wroński nie ograniczył się samemi matematycznemi poszukiwaniami i wynalazkami. Jest to wielka i okazała część, ale nie całość jego nauki, jego messyanizmu, który ma otworzyć duchowi ludzkiemu nowe światy, nowe stworzenie, doskonąlsze nad te które widzimy te-

---

8) Wroński wydał *Réfutation de la théorie des fonctions analatiques Lagrange'a.* Gergonne ujmuje się za swoim rodakiem, i nie przypuszcza aby teorya Lagrange'a wywrócona być mogła. To przecież nastąpiło.

9) *Annales des Mathématiques* IX. 213.

raz. Człowiek mä być nowym a prawdziwym stworzycielem, ma udoskonalić, naprawić wszystko; najściślej siworzyć prawdy, które dotąd rzeczywiście bytu nie miały, które największéj pod symbolami przeczuwała i szanowała ludzkość. H. Wroński widzi, czyli ma widzieć, siebie, ducha naszego i Boga, bez zasłony. Nie sama matematyka ma swoje ciemności, swoje głębie, swoje otchłanie, do których jeszcze myśl ludzka nigdy nie zstępowała. H. Wroński wstąpił do tych otchłani i wszystko rozświecił, oswobodził — odkrył prawdziwe znaczenie wszech rzeczy. Temu on mocno wierzy.

Jesteśmy, my Polacy, katolikami chrześcianami. Rzecz przeto bardzo zajmująca i ważna, co H. Wroński mniema o katolicyzmie, o chrystyanizmie. Polska prowadzi historyczny, najwyżéj tragiczny i religijny spór przeciw Rosyi, przeciw temu co nazwano kościołem wschodnim. O Rosyi, o kościele wschodnim, o stosunku Polski i Rosyi H. Wroński powiedział także swoje slowo, a powiedział najwyraźniéj takim sposobem, na który Polska, bez zniesienia swéj natury historycznéj, nigdy zezwolić nie może i nie powinna. Tym dwom przedmiotom, poruszonym najśmieléj przez H. Wrońskiego: katolicyzmowi i panslawizmowi, poświęcimy nasze bliskie uwagi. Są to zaiste przedmioty najważniejsze, dotykające nas najżywiéj, wchodzące do najdalszych skrytości naszego polskiego ducha. Na tych przedmiotach zatém wyprobujem wartość mesyanizmu objawionego przez H. Wrońskiego, a mocno wątpimy czyli próba dlań szczęśliwa będzie.

WYJĄTEK Z PIEŚNI IX. POEMATU

POD TYTUŁEM

STEFAN CZARNIECKI.

———

(Stefan Czarniecki w pogoni za Szwedami, bierze w niewolę żony, i córy szwedzkich dowódzców. — Przez wzgląd na bohaterstwo małżonki Izraela, która odrzuciła ze wzgardą namowę aby męża skłoniła do poddania Zamku Czerskiego, wódz Polski wraca im wolność. — One łzy wdzięczności leją, i rzucają się na kolana przed zbawcą swoim).

Gdy odchodzą, jedna z nich, krok chwiejący zwłóczy
Odkrywa twarz, zalane łzami spuszcza oczy,
A gdy jéj towarzyszki już mijały progi,
Wśród łkania Czarnieckiemu rzuca się pod nogi.
„Wodzu! — mówi — Broń nędznéj ofiary od zguby,
„Ja Polka, a z najezdzcą Polski weszłam w śluby,
„Jedyna ma ucieczka i nadzieja w Tobie,
„Każ mnie zamknąć za kratą, w więzieniu, lub grobie,
„A nie wydawaj Szwedom na srom i na męki,
„Na ofiarę krwią ziomków opluskanéj ręki.
„Na tę hańbę lat młodych, ohydę u świata,
„Więcéj się, wodzu, wzdrygam, niżli na miecz kata."
Była ona z znanego z bogactw i zaszczytów
Ostatnią plemienniczką rodu możnych Kmitów,
Ojciec jéj w młodocianéj wchodząc w śluby dobie,
Innéj wiary wspólniczkę życia przybrał sobie,
Ztąd trucizna w pożyciu, ztąd niezgód przyczyna.
Matka pragnęła córki, ojciec życzył syna

Przyszła na świat, i nowych trosk wniosła zadatki,
We łzach rozpaczy ojca, w łzach radości matki;
Rzekł ojciec, po raz pierwszy biorąc ją w objęcia:
Innéj wiary w mym rodzie nie chcę mieć dziecięcia;
I w rzymskiego kapłana powierzając dłonie,
Zdrojem zbawienia kazał obmyć wątłe skronie.
Odtąd, zaledwie pieluch rzuciła powicie,
Ojciec pieścił, lecz matka złorzeczyła skrycie.
Mawiała nie raz do niéj: córko ulubiona,
Gwałtem cię od mojego oderwano łona,
A ja odtąd w łzach tonę odkąd wspomnę sobie
Że po zgonie nie będziem w jednym leżeć grobie.
Ach! jabym takiéj wiary stokroć się wyrzekła,
Któraby wskazywała mą córkę do piekła,
Lub rzuciła się za nią w bezdenne otchłanie.
A w tobie czucia córki stłumiło wyznanie,
Odpychasz jak wyklętą twą matkę od siebie,
Bez niéj żyjesz na ziemi, bez niéj chcesz żyć w Niebie.
Ach! Bóg jest litościwszy, on matkę przygarnie!
Nie tam jest dla mnie piekło — tu jego męczarnie! . . .
Gdy to żałośnie mówiąc łzy obfite roni,
Płakała wraz z nią córka, tuliła się do niéj;
Spostrzegł ojciec, i z smutku wniósł o serca zmianie;
Zkąd ci, zapytał, córko, to w wierze wahanie?
Ach, niezadawaj krwawéj sercu memu blizny
Nie czerpaj z łona matki kacerskiéj trucizny,
Do mnie należy córko uchronić cię zguby,
Którą życie me dręczą różnowiercze śluby.
I zacząwszy podzierać skryte matki sprawy,
Naradził się z kapłanem, zwierzył mu obawy
I pomimo łez córki, i matki oporu,
Oddał na wychowanie za mury klasztoru.
W ustroniu pobożności i świętéj pokory
Kształciła się w tych cnotach, których miała wzory,
Poznawała nowego żywota różnicę
Od tego, jaki wiedli niezgodni rodzice,
I z każdym dniem silniejszym mierzyła nałogiem
Jak gorzkie z ludźmi życie, a jak miłe z Bogiem.
Odwiedzał ojciec kratę, w Niebo wznosił dłonie,
Błogosławił pobożność, czerpaną w zakonie.
Rzekła: Wszak pragniesz, ojcze, duszę moją zbawić,
Racz mnie na zawsze w błogim przybytku zostawić;
Chcesz mego szczęścia, uwieńcz ołtarz jego kwiatem
Wszak szczęście mieszka w Niebie, a pokój za światem.
Odpowiedział jéj na to: O córko jedyna,
Gdybym miał drugą ciebie, lub w miejscu jéj — syna,

Wszelką by szczęście moje przechodziło miarę,
Oddałbym cię z rozkoszą Bogu na ofiarę;
Lecz Bóg odmówił syna, nie wyrzekam na to...
Tyś jest moją nadzieją i trosków odpłatą,
Zaczęłaś wiosnę wieku i wchodzisz w tę porę,
W któréj wiek mój od ciebie czeka na podporę,
Winnaś mi córko wnuki, aby w méj dziedzinie
Zachowały krew Kmitów, gdy już imię ginie;
I na ten zakład, jutro z ojcem twym pospołu,
Do tajemnic Pańskiego przybliżysz się stołu;
Ale nim cię Zbawiciel nakarmi swém ciałem
Staniesz wprzódy przed świętym skruchy trybunałem.
Wzięła na siebie postać pokutnéj grzesznicy
Ale jaki mógł skazić grzech serce dziewicy?
Jakoż jedną się tylko oskarżała winą,
Że niezgody rodziców stała się przyczyną,
Lecz święty kapłan zamiast grozić niebios karą
Rzekł: córko nie przyczyną jesteś, lecz ofiarą;
Owoc to różnowierczych związków zaślubienia,
Zródło mąk dla rodziców, dla dzieci zgorszenia.
Związek ten dręczy w życiu, czyż po śmierci zbawi?
Kościół go nie zabrania, lecz nie błogosławi.
Teraz spiesz do pasterza na niebieskie gody
Nawrócona owieczko Chrystusowéj trzody;
Spiesz śmiało prawa córo rzymskiego kościoła,
Ja ciebie pod straż twego powierzam anioła
Co już raz duszę twoją wyrwał od zatraty,
Obmył chrztem i przyoblekł w niewinności szaty.
On twą pierś usposobi na stwórcy mieszkanie
I jak stróż i przewodnik przy twym boku stanie.
Odeszła mocna wiarą, wzniesiona otuchą,
Zbliżyła się przed ołtarz z ufnością i skruchą,
A zaledwie u stopni ugięła kolana,
Klęczącego przy sobie ujrzała młodziana.
Jakiś nieznany urok otaczał go w koło,
Jasne włosy na śnieżne spływały mu czoło,
W twarzy rysy nadobne, a wdzięki dziewicze,
Jakie w obrazie znała aniołów oblicze.
Jak niebiosa błękitne w ołtarz topił oko,
Tak się gorąco modlił, tak wzdychał głęboko.
Spojrzała, urok jego ogarnął ją całą
Drżała jak listek, serce w zachwyceniu drżało.
Rumieniła się, bladła, łza wezbrała w oku,
Tonęła w zachwyceniu i uczuć natłoku,
A bała się zapytać, i siebie, i Boga,
Czy to była pobożność, cześć, miłość lub trwoga?

Był to odmęt wszystkiego, pociąg niepojęty.
Rzekła w sobie, to może jest Serafin święty,
Anioł, którego słowa kapłana przywiodły,
I do niego zwracała westchnienia i modły,
Niosła mu swoje czucia, serce na ofiarę,
Ślubowała mu miłość, posłuszeństwo, wiarę; —
Dopiero ją z dumania ten głos wyprowadził:
Oto Baranek Boży co grzech świata zgładził!
Na te słowa zasłonę uchyliwszy z twarzy,
Przystąpiła drżącemi stopy do ołtarzy;
On spójrzał na nią, westchnął, zarumienił skronie,
Tak się swieża pod miękkim mchem brzoskwinia płonie.
Zdało się jéj że skrytość jéj duszy przenika,
Że przyjmuje Boskiego imie przewodnika.
Tak w parze przywołani kapłana rozkazem,
Pokarm zbawienia w usta przyjmowali razem.
Już lud za próg wywiodła spełniona pokuta,
Ona jeszcze klęczała przy nim jak przykuta, —
I klęczałaby wiecznie, topiąc myśli w niebie.
Ale Ojciec znak wydał, i wezwał do siebie.
On spojrzał, odchodzącą ścigał jeszcze okiem,
I ona po świątyni szukała go wzrokiem.
Wzmocniona wiarą w sercu, i z pogodą czoła
Wróciła w obec matki szczęśliwa, wesoła,
Ojcu do stóp, matce się rzuciła na szyję,
Bo któreż młode serce, swą radość ukryje!
Szczęśliwa swym niebieskim stróżem w objawieniu,
Marzyła o nim we śnie, marzyła w ocknieniu,
I w tych niewinnych natchnień pobożnym uroku
Piętnastéj prawie wiosny dochodziła roku.
Gdy Szwed po całym kraju rozpuścił zagony,
I wici powołały naród do obrony,
Wszedł ojciec z groźném czołem do matki podwoi,
Rzekł: niech tu różnowierca żaden niepostoi;
Kto z zdrajcami przestaje ten się zdradą plami,
A żaden nie był zdrajcą pomiędzy Kmitami.
Polak, katolik, to jest nasz pierwiastek stary,
Nieprzyjacielem kraju, nieprzyjaciel wiary.
Ujrzawszy córkę drżącą stojącą u progu,
Rzekł: klęknij, córko, klęknij — i podziękuj Bogu
Że we twém sercu zagładził kacerskie trucizny;
Przy nich, prawą niemogłaś być córką ojczyzny.
Spojrz co się w kraju dzieje, ledwie najezdnicy
Opanowali mury Jagiełłów stolicy,
Już bezbożni kacerze, już bluźniercze dusze,
Socyni, kalwiniści, lutry, aryusze,

Wchodzą z Karolem w spiski i zbrodnicze zmowy,
Pragną strącić koronę z prawowiernéj głowy,
Cieszą się z nieszczęść naszych, cieszą z zwycięztw wroga.
Ach! możeż taka wiara pochodzić od Boga,
Co się pragnie wywyższyć przez spiski i zdrady!
Piekło ją wyzionęło, z piekła bierze rady.
Córko, nim się oddalę z mych progów na boje,
Chcę pewniejszéj opiece zwierzyć losy twoje.
Wybrałem ci młodziana, w którego rodzinie
Bez przerwy prawowierna krew i cnota słynie,
Obym się z twojém sercem nie minął w wyborze!
Upadła do nóg ojca i rzekła w pokorze:
Ojcze mój! wola twoja dla mnie wolą nieba,
Lepiéj wiesz, czego twemu dziecięciu potrzeba.
I odtąd przez dni dziewięć, u progów kościoła,
Wzywała natchnień Boga i stróża anioła.
Wkrótce się na dziedzińcu rozległ tentent koni,
W licznym orszaku zbrojnych, sam przy swietnéj broni,
Przybył sędziwy Szembek, a przy nim syn młody.
A skoro oświadczyli odwiedzin powody,
Podali sobie dłonie starzy przyjaciele.
A chociaż smutek matki truł ojca wesele,
Wezwano ją; raz pierwszy poczuła w téj dobie
Podobania się dotąd chęć nieznaną w sobie.
Weszła, a gdy nieśmiałe podnosi wejrzenia,
Zdradza się mimowolnie głosem zadziwienia,
Oczom swoim nie wierzy, blednie, i drży cała.
Jakie lice i postać przed sobą ujrzała?
Te same rysy twarzy, ten sam urok czoła,
W Szembeku mniemanego poznała anioła.
On to, młodziuchny wtedy, w twarzy swéj wyrazie
Wystawiał widzianego anioła w obrazie.
Taka jest w nas ułudzeń władza niepojęta,
Ma je młodość niewinna, ma pobożność święta;
Ach, niepotrzeba było narad, namów wielu, —
Gdzie serce do ziszczonych marzeń tęskni celu,
Tam posłuszeństwo władzy, co nas w straży trzyma,
Podwójne ma rozkosze, choć zasługi nie ma.
Przyszła chwila zaręczyn przyszłego zamęźcia.
Płakała matka z żalu, płakał ojciec z szczęścia,
Ojciec przyśpieszał, matka odwłóczyła gody.
Wpośród sporu rodziców rzekł jéj Szembek młody:
Zofio, wkrótce ojciec wyjeżdża na boje,
Pozwól niech mu za tarczę oddam piersi moje,
A gdy ocalonego w twe progi przywiodę,
Zasłużę bym twą rękę otrzymał w nagrodę.

Na to rzucił się ojciec na szyję młodziana,
I przydał łzę wdzięczności do hojnego wiana.
Ten dzień był pierwszym szczęścia, i pierwszym żałoby.
W łzach jéj schodziły dzienne, we łzach nocne doby,
Niosła przed święty ołtarz posty i modlitwy,
Czekała, i z bojaźni drzała na los bitwy.
Wieści o niéj, niestety zbyt prędko dobiegły,
Płacz, jęki, narzekania w domu się rozległy,
Roniła łzy nad ojcem, a matka nad mężem.
Gdzie był Szembek, wołała, władał-że orężem?
Chyba przed zabójczemi sam wprzód poległ razy.
A wtém on obcą ręką te skreślił wyrazy:
„Zofio, niegdyś celu szczęścia mego luby!
„Te które ojciec spoił — Bóg rozerwał śluby.
„Ojciec twój legł, ja nawet łez na grób nie ronię
„Niemam już dla nich źrzenic, choć serce w nich tonie.
„Wzrok mój zgasł, martwe tylko zostały powieki,
„Piękność nie dla ślepego Bóg stworzył kaleki.
„Gdy twoje wdzięki tracę, gdy nie spojrzę na nie,
„Świat dla mnie stał się grobem, grób światem zostanie.
„Wchodzę do niego żywy, ty spełń ojca wolę,
„Ze szczęśliwszym odemnie połącz twoją dolę;
„Lecz niech wiem niżli przedrze duch mój tę noc ciemną,
„Że nie wyrzekasz na mnie, lecz płaczesz nademną!”
Ledwie na te wyrazy błędne rzuca oko,
Zaniemiała, i martwą stała się opoką,
A gdy z ócz łzy trysnęły, jak potok z kamienia,
Te wydała z łkającéj piersi złorzeczenia: —
„Ojciec mój legł, ty żyjesz, kochasz i kochany,
„A nie pośpieszasz do mnie wspólne goić rany?
„Okrutny! także miłość moją mniemasz stałą?
„Mówiłeś że mnie kochasz, a cenisz tak mało,
„Że gdy twarz mą przed tobą czarna noc zasłania,
„Nic więcéj nie znajdujesz we mnie do kochania?
„Cóż gdyby czas starł wdzięki, które zbyt oceniasz,
„Odmieniłbyś się dla mnie, jak się dziś odmieniasz.
„Nie, nie ja zdolna zmiany, tyś jest przeniewierca,
„Wzrok tylko miałeś dla mnie, a nie miałeś serca;
„Dowiedz się, cios jednaki dotknął nas oboje,
„Ty straciłeś źrzenicę, ja wypłaczę moje,
„Wypłaczę z twéj przyczyny i skonam z tęsknotą,
„Wzrok bez spojrzeń na ciebie, jest dla mnie ślepotą.
„Kaleką́ś został w ojca i kraju obronie,
„Mamże wdzięczność przed tobą taić w mojém łonie,
„Byś nie mniemał że miłość już zgasła ku tobie;
„Czyż się mieścić nie mogą w tkliwém sercu obie?

„Kochałam cię gdyś jaśniał w twych wdzięków uroku,
„Kocham cię jeszcze więcéj kaleką bez wzroku.
„Ach gdyby ten grot, który wzroku cię pozbawił,
„Mnie był wydarł źrzenicę, a tobie zostawił,
„W tobiebym jednym ulgi w méj szukała męce,
„W twoich powiekach światła, wsparcia w twojéj ręce;
„Dość abym głos twój w każdéj mogła słyszeć dobie,
„Żyć jedynie twém tchnieniem, i mieć cię przy sobie,
„Nie przykrzyłabym sobie, acz z ślepotą ciemną,
„Chyba myślą: czy sobie ty nie przykrzysz ze mną?
„Błądzisz sądząc, że nasze Bóg rozerwał śluby:
„On nas tylko doświadczał, tyś nie przetrwał próby;
„Lecz ja przetrwam, i mimo te zamiary twoje,
„Spólnym ślubem i stanem dolę z tobą spoję.
„Ty wstępujesz za kratę, bierzesz włosiennicę,
„Ja zakonną zasłonę zarzucam na lice;
„Świat ich więcéj nie ujrzy, w grobie je zagrzebię,
„Lecz ty się mnie wyrzekasz — ja świata, nie ciebie!" —
Z tém narzekaniem, jakie wyciskał ból srogi,
Biegła do matki, łzami skrapiała jéj nogi,
Błagała: odbierz matko te godowe szaty,
Te smutne upominki, ślubne mirty, kwiaty,
Prowadź mnie przed ołtarze z tym ciernistym wieńcem:
Klasztor odtąd mą schroną, Chrystus oblubieńcem.
Odpowiadała matka przez hojne łez zdroje:
Płacz, ale nie rozpaczaj, drogie dziecię moje.
Straciłaś ojca, przecież nie jesteś sierotą,
Masz łono matki, które tuli cię z pieszczotą.
Ja stokroć nieszczęśliwsza, — Bóg mi córkę chowa,
A przecież jak sierota, jak bezdzietna wdowa,
Opuszczona od córki, bez rady, opieki,
Nie mam, ktoby przy zgonie zamknął mi powieki.
Czekaj chwilę, złóż zwłoki matki twojéj w grobie,
A potém jaki zechcesz stan obieraj sobie.
Lecz gdy ani jéj łkanie, żale i zaklęcia,
Stałego nie zachwiały w córce przedsięwzięcia,
Żalowi i rozpaczy rozpuściwszy wodze,
Temi słowy jéj serce rozdzierała srodze:
Córko, chrześciańskiego ty jesteś wyznania,
A nie dbasz na najświętsze Boga przykazania;
Czci dla matki w twém sercu nie powstała wzmianka,
Rzucasz świat nie z miłości Boga, lecz kochanka,
Opuszczasz nędzną matkę na jéj lata stare,
Myśląc, że od złéj córki Bóg przyjmie ofiarę;
Od kary nie uchronią cię zakonne szaty,
Przekleństwo matki wejdzie za tobą, za kraty

Wciśnie się, z niém zgryzota w twéj celi osiędzie
I z wzrostem pobożności serce dręczyć będzie.
Ach, kiedy matkę upór twój w mogiłę grzebie,
Kiedy na nią nie wspomnisz, pomnijże na siebie.
W jakiéj to chwili szukasz w klasztorze ochrony?
Gdy te przybytki gwałci miecz niepowściągniony,
Gdy młodość, gdy niewinność, pobożność znieważa,
I w obozy prowadzi branki od ołtarza.
Patrz, wszystkie najezdnicy zapełnili szlaki,
Porwą cię i uwiozą zbrojne ich orszaki,
A ja nieszczęsna matka w rozpaczy i zgrozie,
Czołgać się za nogami będę po obozie.
Mniéj na te żale matki, jak na jéj przestrogi,
Wzdrygnęła się, i z trwogą cofnęła się z drogi,
Przyrzekła aż do końca wojny w domu zostać.
Lecz jakże od téj chwili on odmienił postać!
Wszystkich sekt różnowierczych stał się głównym zborem,
I próg jego dla Szwedów rozwarł się otworem.
Założył Karol obóz włości Kmitów blisko,
I wódz Koenigsmark obrał w zamku stanowisko;
Młody, słynny urodą, z zaszczytów dostojny,
Ulubieniec Karola, i towarzysz wojny,
Nad wszystko różnowierca, zamożny w dostatki,
Wkrótce ufność i przyjaźń umiał zjednać matki.
Władzą wodza w opiekę wziąwszy dom i włości,
Szanował w nim nieszczęście, brał udział w żałości,
Ze czcią mówił o chlubnym poległego zgonie,
Dziwił się waleczności Szembeka w obronie,
Miłość ku niemu córki uwielbieniem wzmagał,
O stałość ją zaklinał, o wytrwałość błagał,
Wymawiał go z rozpaczy niebacznego kroku,
Ręczył o odzyskanym z rannych powiek wzroku.
Udając przyjaciela, zdradliwemi słowy
Niebaczną o Szembeku wciągał do rozmowy,
Przyrzekał że go wkrótce do jéj stóp przywiedzie; —
Tyle chytrości mogło tylko powstać w Szwedzie.
Raz gdy się nad miłością rozwodził Szembeka,
Rzekła: Jeźli mnie kocha, czemu powrót zwleka?
On spojrzał na nią, zamilkł i westchnął głęboko,
A nawet łza obłudne zrosiła mu oko;
Przejrzała myśli jego, wzdrygnęła się na nie,
Zdrajca mieć tylko może łzy na zawołanie.
Spostrzegłszy próżny podstęp, zasadzki daremne,
Odtąd przeniósł do matki rozmowy tajemne.
Któraż skrytości serca swego nie odsłoni,
Gdy dziécię błaga o nią, i tuli się do niéj!

Rzekła: O jakże córko twe serce zakrwawię,
Kiedy długo tajoną prawdę ci wyjawię!
Czego nie śmie Koenigsmark tobie, mnie udziela:
Szembek zdradza mnie, ciebie, ojca, przyjaciela;
Gdy o powrocie jego twoje serce marzy,
On już innéj poprzysiągł wiarę u ołtarzy;
On cię nigdy nie kochał, lecz uległ umowie,
Którą przyjaźni z sobą zawarli ojcowie.
Pomnij jak w dniu zaręczyn do ślubu nieskory,
Szlachetnemi do zwłoki uwiódł nas pozory,
Odwlekł by ojca twego piersiami zasłonił;
Jak pragnął życia jego, tak go téż i bronił!
Udał wzrok utracony przy krwawéj potrzebie,
Odzyskał go, odzyskał, ale nie dla ciebie.
Ale czuwa nad tobą Wszechmocnego władza,
Srodze on cię doświadczał, dziś hojnie nagradza,
Swietniejszą ci przeznacza dolę, czyń mu dzięki,
Koenigsmark cię pokochał, i żąda twéj ręki;
Za ulubieńcem swoim król się wstawia o nią,
Wiesz, Karol królem naszym, wyborem i bronią;
Zapomnij o miłości, i zdradzie Szembeka,
Jakże cię w zamian świetne przeznaczenie czeka!
Pociesz niém ojca, sprawcę upokorz twéj męki,
I tę, co śmie nad twemi tryumf głosić wdzięki. —
Temi słowy rażona, jak zatrutą strzałą,
Tysiące sprzecznych uczuć w jéj sercu zawrzało.
Miłość, żal, zawiść, rozpacz, ryły po niém blizny,
I już w nie podejrzliwość sączyła trucizny;
Ale się zawstydziła téj podłych dusz wady.
Kto jest zdolny podejrzeń, ten jest zdolny zdrady.
Rzekła: Matko, dojrzałam celu téj potwarzy,
Wiem jakie wyrzekł Szembek śluby u ołtarzy,
I ja takie z wiernego wyrzeknę mu serca:
Nikt mym mężem nie będzie, tém mniéj różnowierca. —
Więc rzekła: Jesteś także daleko niepomną,
Że przed królem chcesz zrobić matkę wiarołomną?
Na mój zgon się uwzięłaś, wkrótce cię pocieszy,
Idź zabójczyni matki, Bóg cię nie rozgrzeszy!
I w zapalczywym gniewie, drżąca i wybladła,
Nagłą tknięta niemocą na łoże upadła.
Przerażona jéj stanem, przy łożu dnie, noce,
Niosła jéj łzy, starania, usługi, pomoce,
Lecz ona jéj przychylne odpychała dłonie,
Mówiąc: Precz krnąbrna córko, nie dręcz mnie przy zgonie! —
I przez srogie wyrzuty, groźby zapalczywe,
Wszystkie piekieł męczarnie lała w piersi tkliwe.

Biada dziecięciu, biada i wieczna sromota,
Co na się ściąga klątwę od dawców żywota!
Lepiéj mu było nie wejść na ten padół życia,
Albo zaraz w grób ciemny zapaść się z powicia;
Jak być pastwą wyrzutów i zgryzot sumienia,
Z piętnem na czole, ziemi — niebios potępienia,
Lękać się wzroku ludzi, lękać gromu z góry, —
Ach, straszną obrażonéj jest pomsta natury!
Kryła się przed nią, ale któż się ukryć zdoła
Przed sobą i przed głosem co w głębi nas woła?
Próżno sobie w błąkaniu czyniła pytania:
Co ma przedsiewziąć celem matki przebłagania?
Tam wierność dla kochanka, tam śluby dla ojca,
Tu śmierć, przekleństwo matki — i kto jéj zabójca?
Ta trwoga nieszczęsnego truła pokój łona,
Gdy jéj nagle znać dano, że już matka kona.
W całym nieładzie żalu i rozpaczy wbiega,
Lecz jak boleśny obraz oko jéj spostrzega —
Stał kapłan obok łoża, Koenigsmark na stronie,
Zebrani domownicy załamują dłonie,
A ona w każdéj twarzy i w każdego oku,
Czyta wyraz srogiego na siebie wyroku.
Jękiem wzrusza podwoje, na łoże się rzuca;
Krzyk jéj omdlałą matkę z letargu przecuca,
Obłąkany i groźny wzrok po niéj powlekła,
I te słowa już głosem grobowym wyrzekła:
Wyrzeknij słowo, córko, pomnąc że w tém słowie
Wyrzeczesz śmierć twéj matki, lub życie i zdrowie,
Wyrzeknij póki wyrok wstrzymuję gotowy,
I konając przekleństwem nie dotknę twéj głowy.
Krzyknęła przerażona: Jeślić życie wrócę,
Matko, chętnie za ciebie do grobu się rzucę,
Rozrządzaj mą osobą, mą ręką, mą dolą,
Odtąd posłuszna córka, idzie za twą wolą.
Błysnął nad macierzyńską promyk życia skronią,
Ujęła dłoń jéj łącząc z Koenigsmarka dłonią.
Rzekła: Odbieram życie w twéj, córko, przemianie,
Błogosławię was dzieci, błogosław kapłanie! —
Jak się odbył, — czy odbył? — obrzęd téj zakały,
Niepomniała, krew zziębła, usta jéj zmartwiały,
Przytomność ją odbiegła, i dopiero do niéj
Przywołał ją krzyk w zamku, do broni, do broni!
A oto przerażone i drżące od trwogi,
Żony dowódzców szwedzkich wbiegają za progi,
W zamku przeciw pogoni szukają ochrony.
Chwycił oręż Koenigsmark, wybiegł do obrony,

I za chwilę zesławszy zbrojne Szwedów straże,
Za wały zamku spiesznie uwozić je każe.
Niestety! wmieszano ją wśród zbrojnych orszaków;
Polka, z hańbą zmuszona chronić się Polaków,
Wzywała szwedzkich mieczów przeciw swemu łonu:
Nie śmierci się lękała, lecz ohydy zgonu.
Jednak miłość ojczyzny nad trwogą przemaga,
Niebiosa o zwycięztwo dla rodaków błaga.
Bóg wejrzał; bo zaledwie minęli okopy,
Liczny hufiec rodaków doścignął ją w tropy,
Odbił Szwedom, trupami plac wielki zakrwawił,
I w liczbie branek szwedzkich przed Czarnieckim stawił.
Z ust jéj, Stefan, jéj nieszczęść wysłuchał osnowy, —
Ona przerywanemi łkaniem kończy słowy:
„Wodzu, nie sądź mych losów matki przewinieniem,
„I mnie oskarżycielki nie potęp imieniem.
„Różność krwi, różność wiary, serce jéj uwiodła,
„W nich, wodzu, szukaj wszystkich mych udręczeń zródła.”
I ręce przed nim składa, łzami stopy rosi;
On z łagodnością ojca, z ziemi ją podnosi:
„Córo cnotliwa, rzecze, Polko niewyrodna.
„Równie jesteś czci mojéj jak litości godna,
„Gdy zrywasz hydne związki, gdy się wzdrygasz na nie,
„Masz we mnie opiekuna, co za ojca stanie;
„Ukój rozpacz, twe śluby u nieba nie ważą,
„Szwedzi już wzrokiem nawet twéj cnoty nie skażą.
„Pójdź za mną, odeszlę cię do królowéj dworu,
„Dla wstydu niecnych Polek, dla cnotliwych wzoru.
„Pójdź; między najchlubniejsze oręża zdobycze
„Odzyskanie ojczyznie takiéj córy liczę.
„A żadnych twojéj matce wyrzutów nie zrobię,
„Gdy ni krwi, ani wiary polskiéj nie ma w sobie.
„Polką gardziłbym; w matce jéj prawa szanuję,
„Jestem ojcem i świętość téj powagi czuję.
„Rodzice błądzić możem, — przykład to nierzadki, —
„Lecz Bóg tylko jest sędzią spraw ojca i matki.”

———

O SOBORZE PROWINCYONALNYM.

Rzecz z francuzkiego (1) treściwie obrobiona

przez

HIERONIMA KAJSIEWICZA. Ś. T. D.

Podajemy czytelnikom naszym pracę na żądanie wydawcy Przeglądu przez ks. Kajsiewicza przedsięwziętą. Ważność i stosowność obecna przedmiotu nie podpadają wątpliwości. Ruch synodalny jaki się objawił w kościele, ruch mający za sobą powagę stolicy apostolskiéj, każe się spodziewać znamienitych owoców. Za pomocą soborów wiele się ożywi, poprawi, ulepszy i w każdym razie rozpoznaną zostanie głębokość ran i rozciągłość potrzeb kościelnych. Trwamy w nadziei, że i w naszéj archidyecezyi przyjdzie do użycia tak zbawiennego środka, i chociaż nie przesądzamy ani o chwili ani o sposobie, co wszystko wyłącznie od woli i rozporządzeń wielebnego naszego arcypasterza zależy: myślimy że jest użyteczną rzeczą na nieurzędowéj drodze całą kwestyę poruszyć. Tak objaśnią się i przygotują umysły. Że ks. Kajsiewicz przedmiot wedle francuzkiego wzoru rozbierając o synodzie dyecezalnym mało wspomina, osądziliśmy za właściwe przy-

(1) *Du Concile provincial. Traité des questions de Théologie et de droit Canon, qui concernent les Conciles provinciaux* par l'abbé D. Bouix. Paris chez Jacques Lecoffre 1850. Godło na tytule: *Neglectis Synodis, non aliter ecclesiasticus Ordo diffluit, quam si corpus humanum nervis solvatur.* (Conc. de Cologne 1549.)

Taki jest dokładny napis dzieła o Soborze prowincyonalnym, które przed kilku miesiącami wyszło w Paryżu, pochwalone przez nuncyusza papiezkiego dziś kardynała Fornari i przez uczonego księdza biskupa z Langres, jak listy ich na czele położone wskazują.

toczyć na wstępie list pasterski arcybiskupa frejburgskiego w Bryzgowii na dniu 26. Stycznia 1849 roku o zwołaniu synodu donoszący. Dokument ten opierający się na przepisach Benedykta XIVgo dajemy w całości. Oto jego brzmienie:

Przewielebni bracia w Panu! Z pasterskiego pisma, jakie zebrani w Würzburgu arcybiskupi i biskupi na dniu 15. listopada roku zeszłego, do duchowieństwa swoich dyecezyi wydali, powzięliście już wiadomość, że arcypasterze Niemiec podali sobie dłonie, celem przywrócenia przepisanych przez kościół dyecezalnych synodów([1]). Biskupi uznali, że swobodniejsze stanowisko, które kościołowi tegoczesne wypadki zapewniły, dozwala powołać na nowo do życia dawną czcigodną instytucyą dyecezalnych synodów, w sposób, w jaki one od wieków w kościele istniały i były używane przez światłych i pobożnych naczelników kościoła ku pożytkowi i zbawieniu duchowieństwa, oraz całéj owczarni. Zgodzili się na to biskupi, że ich osobiste zetknięcie się ze swém duchowieństwem na dyecezalnych synodach ścieśni węzły współuczucia i jedności które wiążą Ojca z ukochanemi w Chrystusie synami, i więcéj niżeli dotychczasowe biurokratyczne stosunki potrafi utwierdzić ich gorliwość, ożywić święty religijny zapał. I dla nas zatém, przewielebni bracia i kapłani frejburgskiéj archidyecezyi, nadejdzie nie zadługo ta radośna chwila, w któréj ujrzymy was zgromadzonych około nas w zgodzie i miłości. Zamierzamy bowiem, jeśli Bóg łaski swéj nam użyczy i jeśli dni pokoju zabłysną, w przyszłą wiosnę zwołać naszych sufraganów na synod prowincyonalny, a przy pomocy Wszechmocnego będziemy w ciągu bieżącego roku obchodzić synod dyecezalny. Udzielając wam, przewielebni bracia, tę wiadomość, czujemy zarazem potrzebę wyłożyć pokrótce kościelne zasady, których biskupi przy odprawianiu dyecezalnych synodów przestrzegać powinni; gdyż wznoszące się od wielu lat, częstokroć burzliwe głosy o zwołanie synodów, nie raz objawiały pojęcia i życzenia, sprzeczne z duchem kościelnych przepisów, a zatém niegodne naszéj pochwały i uznania. Przedewszystkiém więc zdaje się nam koniecznem wyjaśnienie i ustalenie kościelnego pojmowania dyecezalnych synodów. Skoro weźmiemy na uwagę pojęcia, wyłuszczone w sławném dziele papieża Benedykta XIV *de Synodo Dioecesana*, przekonamy się, że synod dyecezalny([2]) jest prawnie zwołanym przez biskupa, lub tegoż pełnomocnika, zgromadzeniem księży, kleryków, oraz innych członków dyecezyi, którym służy prawo obradowania; że daléj to zgromadzenie zajmuje się ustaleniem i podaniem do wiadomości rozporządzeń i przepisów, które kościół uznał za pożyteczne i niezbędne dla utrzymania i przywrócenia karności kościelnéj, dla uleczenia, lub skarcenia występków i przewinień, dla rozkrzewienia wiary i utwierdzenia czystości obyczai, wreszcie dla nauki nieświadomych i ciemnych między swojém duchowieństwem i ludem; że nakoniec na owych zgromadzeniach, mają być ogłaszane wyroki prowincyonalnych synodów, celem spręzystszego ich wykonania.

Patrzcie, najmilsi bracia w Chrystusie! Takie jest katolickie pojęcie dyecezalnego synodu. Takiego tylko zebrania może pragnąć kościół katolicki i my téż tylko taki synod, zgodny z przepisami kościoła, chcemy i możemy obchodzić, gdyż do posłuszeństwa dla kościoła wiąże nas przysięga i sumienie. Podobne tylko synody mogą przynieść ową korzyść, którą Benedykt XIV w powyż wzmiankowaném dziele([3]) w tak żywych barwach maluje. „Za pośrednictwem synodów“ mówi koloński synod prowincyonalny z r. 1549, w skutek zapadłéj uchwały o potrzebie odnowienia dyece-

---

[1]) S. Conc. Trid. Sess. XXIV. cap. 2 de ref.

[2]) Cf. lib. cap. I, §. 4 (Synodus dioecesana hisce verbis describitur: Legitima congregatio ab Episcopo coacta ex Presbyteris et Clericis suae dioecesis, aliisve, qui ad eam accedere tenentur, in qua de his, quae curae pastorali incumbunt, agendum et deliberandum est), a szczególniéj lib. VI. cap. I, § 1 et 4.

[3]) Lib. I, cap. 2.

zalnych synodów, — „będzie przywrócona dawna jedność i zgoda, gdyż ogólne zgromadzenia kapłanów najsilniéj zdołają zachować nienaruszoność kościoła, a czego wizyty biskupie po dyecezyach nie dokażą, to wspólne osiągną usilowania; synody mają na celu utwierdzenie całości głowy i członków, wzmocnienie wiary i ducha pobożności, baczą o utrzymanie religii i służby bożéj, o zachowanie czystości obyczai, posłuszeństwa i karności, słowem o wszystko, co do chrześciańskiego żywota jest potrzebne i konieczne; tak więc słusznie można powiedzieć, że synody są zbawieniem kościoła, postrachem jego nieprzyjaciół, podporą katolickiéj wiary, tętnem kościelnego życia. Gdyż z zaniedbaniem synodów rozpada się kościelny porządek, jako ciało ludzkie traci swoję spójnią, skoro mu nerwy wytniemy." „Dla mnie, mówi znowuż pewien znakomity biskup Werony, najprzyjemniejszym jest ten dzień, w którym otwieram zjazd synodalny, a przy ogromie trudów i boleści, jakie wśród sprawowania mego urzędu muszę ponosić, ten jeden dzień najsilniéj ożywia i wzmaga moją duszę. W tym dniu albowiem zdaje mi się, że oglądam moje uszy, moje ręce i nogi." Benedykt XIV czyni uwagę, iż ktoby chciał się przekonać o korzyści, jaką przynoszą dyecezalne synody, niechaj przejrzy akta tych zgromadzeń, a mianowicie synodów, obchodzonych przez świętego Karóla Boromeusza w Medyolanie, a wtedy łatwo spostrzeże, że wyroki na tych zebraniach wydane, noszą na sobie piętno najwyższéj mądrości, że trafnie są zastosowane do miejsca i czasu, zdolne utrzymać kler w jego obowiązkach i ulepszyć skażone obyczaje ludu — tak więc dyecezalne synody uznać należy za najsilniejszą dźwignią do utwierdzenia chwiejącéj się w dyecezyi wewnętrznéj karności.

Jeżli więc myślą naszą ogarniemy kościelne pojmowanie dyecezalnych synodów, jeżli przywiedziemy na pamięć wszystko, co bogobojni i święci mężowie o korzyściach téj instytucyi wyrzekli, to bez wątpienia rozliczne pojęcia, które w nowszych czasach krążą o synodach, okażą nam się bezzasadne i fałszywe.

Grubo ten błądzi, kto przyrównywa dyecezalne synody do politycznych sejmów i ustawodawczych zgromadzeń. Synody nie ścieśniają udzielonego przez Boga biskupom prawa zarządzania kościołem([1]), nie wprowadzają do kościoła tak zwanego reprezentacyjnego systemu. Biskupi *jure divino* posiadają swą władzę i nie mogą bez uszkodzenia wewnętrznéj organizacyi katolickiego kościoła dzielić się swemi ciężkiemi obowiązkami z tak zwanemi reprezentantami duchowieństwa i ludu. Potęga ziemskich mocarzy nie płynie bezpośrednio z boskiego objawienia, dlatego téż monarchowie mogą się dzielić swemi prawami z zastępcami ludu; ale biskupom pozbywać swéj władzy nie wolno. W pośród zmieniających się ciągle politycznych stosunków i coraz nowych ustaw zasadniczych, kościół stoi nienaruszony; a dopóki świat chrześciański zechce zachować całość katolickiéj wiary, dopóty hierarchia pozostanie nietknięta. Przy zwołaniu i odprawieniu dyecezalnych synodów biskup nie usuwa się od steru jurysdykcyi, w jego bowiem ręku spoczywa wszelki zarząd dyecezyi; kler zgromadzony na dyecezalnych synodach, nie posiada władzy prawodawczéj, ale stosownie do jednozgodnéj nauki wszystkich katolików, ma jedynie *votum deliberativum* bynajmniéj zaś *decisivum*. Do biskupa należy wyłącznie kościelne prawodawstwo, lecz w sprawowaniu swoich obowiązków nie omieszka on nigdy zasięgać rady swego duchowieństwa i chętnie się przychyla do jego życzeń, próźb i przedstawień. Zjazdy synodalne winny zatém stosować się do zasad, położonych przez Benedykta XIV w dziele de Syn. Dioeces. lib. III. c. 12., §, 7 (cf. lib. XIII. c. 1 i 2): „*In Synodo dioecesana solus Episcopus est judex et legislator, ipse suo nomine decreta facit et promulgat, et quamvis astantium consilium exposcat, non tamen cogitur illud sequi.*" Dyecezalne przeto synody nie mogą służyć za środek do urzeczywistnienia owych schizmatycznych dążeń, które kościołowi usiłują narzucić piętno demokracyi, w jego organizacyą wprowadzić samowolne i zgubne reformy, sprzeczne z kościelną jednością, skruszyć węzły posłuszeństwa i karności, ścieśnić prawa biskupów i ar-

([1]) Act. XX, 28. Conc. Trit. Sess. XXIII, cap. 4 de Sacr. Ordin.

cypasterskie rozporządzenia uchylić większością głosów całego duchowieństwa(⁵). My przeciwnie sądzimy, że dyecezalne synody, po osiągnięciu kościelnéj swobody i niezawisłości, któréj brak stał na przeszkodzie ku odnowieniu owéj zbawiennéj instytucyi(⁶), będą najsilniejszą dźwignią do przywrócenia nadwątlonéj w niektórych miejscach karności, do rozbudzenia słabnącego gdzie niegdzie kościelnego ducha, do nadania nowego ładu i jednolitéj barwy religijnemu życiu duchowieństwa i chrześciańskich ludów. Jak z jednéj strony wznowienie bytu synodów jest wyrobem rozbudzonego ducha wolności i niezawisłości kościoła, tak znowuż na odwrót ten duch kościelnéj swobody otrzyma od zjazdów synodalnych nową siłę, energią i działalność.

Tym sposobem dyecezalne synody dokonają rzeczywistéj i gruntownéj reformy w duchowieństwie, oraz w ogólnéj rodzinie chrześcian. Kto z pokorą zajrzy we wnętrze swego ducha i choć powierzchownie tylko oceni obecne wypadki, ten pewnie wątpić nie będzie, że podobna reforma duchowieństwa i ludu jest dzisiaj konieczną i niezbędną. Czyliż w obecnéj chwili pogaństwo nie liczy znakomitéj liczby zwolenników, pogaństwo stokroć straszliwsze w swoich objawach i skutkach od starożytnych sekt bałwochwalczych? A skądże to pochodzi? Wyznajmy otwarcie. Ztąd zaiste, że częstokroć ludzie, przyodziani świętém powołaniem nauczycieli nie wykładają wiekuistych prawd chrześciańśtwa ze stosowną wiedzą i nauką, siłą i właściwą powagą, że wreszcie nie bronią ich z apostolskiém poświęceniem. Kapłani powinni wyprowadzić dzisiejsze społeczeństwo z manowców niedowiarstwa i przywieść do stóp Chrystusowego krzyża; ale niestety! w wielu z pośród nich zagasła pochodnia wiary! Ileż to dusz jęczy dzisiaj pod sromotném jarzmem samolubstwa? Kapłani winni w sercach wystudzonych egoizmem, rozniecić ogień niebieskiéj miłości, ale chuć zmysłowa i zamiłowanie światowéj rozkoszy w niejedném sercu kapłańskiém stłumiły wyższe uczucia. Zaprawdę! głos skażonych pasterzy nie wywrze wpływu na owczarnią. Posłannictwo nasze nakazuje nam dzisiaj, abyśmy miłosiernemi uczynkami i wszelkiemi ofiarami miłości świadczyli o niewygasłéj sile chrystyanizmu, a tym sposobem starali się odwrócić od naszych owieczek wzmagający się coraz niedostatek, rozliczne dolegliwości i utrapienia. Lecz wielu kapłanów, lubo z powołania swego winni służyć ludowi za przykład chrześciańskiéj miłości i poświęcenia, zamyka serce na nędzę swych braci i sióstr w Chrystusie: nie pomni owych świętych *kanonów* kościoła, które nauczają kler, na co ma obracać swoje dochody i obowiązują go do szczególnéj miłości dla ubogich i cierpiących. — Któżby jednak śmiał zaprzeczyć, że święty zastęp duchownych nader mało liczy w swém łonie wyrodnych synów i niegodnych służebników, a przecież ojcowskie nasze serce, przewielebni bracia, cierpi niewy-

---

(⁵) Zgromadzeni na synodach kapłani winni przyjąć za prawidło i zasadę postępowania następne trzy artykuły prawa, ustanowione przez papieża Piusa VI w Bulli „Auctorem fidei," mającej prawną powagę dla całego katolickiego świata: IX. Art. Doctrina, quae statuit: „Reformationem abusuum circa ecclesiasticam disciplinam in synodis dioecesanis ab episcopo et parochis aequaliter pendere ac stabiliri debere, ac sine libertate decisionis indebitam fore subjectionem suggestionibus et jussionibus episcoporum," Falsa, temeraria, episcopalis auctoritatis laesiva, regiminis hierarchici subversiva, favens haeresi aërianae a Calvino innovatae. X. Art. Item doctrina, qua parochi, aliive sacerdotes in synodo congregati pronunciantur una cum episcopo judices fidei, et simul innuitur judicium in causis fidei ipsis competere jure proprio, et quidem etiam per ordinationem accepto: Falsa, temeraria, ordinis hierarchici subversiva, detrahens firmitati definitionum judiciorumve dogmaticorum ecclesiae, ad minus erronea. XI. Art. Sententia enuncians, veteri majorum instituto ab apostolicis usque temporibus ducto, per meliora ecclesiae saecula servato, receptum fuisse, „ut decreta, aut definitiones, aut sententiae etiam majorum sedium non acceptarentur, nisi recognitae fuissent et approbatae a synodo dioecesana:" Falsa, temeraria, derogans pro sua generalitate obedientiae debitae constitutionibus apostolicis, tam et sententiis ab hierarchia superiore legitima potestate manantibus, schisma fovens et haeresim.

(⁶) Porównajmy tutaj breve Piusa VIII z 30 czerwca 1830 roku, wydane do biskupów nadreńskiéj kościelnéj prowincyi.

mownie, że nawet te rzadkie zdarzają się wyjątki. Znakomite grono zacnych, pełnych wiary, duchem Boga ożywionych i ochotnych do poświęceń kapłanów, którzy w naszéj dyecezyi nad pomnożeniem chwały bożéj i zbawieniem bliźnich pracują, boleje razem z nami nad skażeniem pewnéj liczby swych wspólrobotników, a zarazem uznaje jednozgodnie, że najpierwszém i najważniejszém zadaniem dyecezalnych synodów jest poprawa duchowieństwa i rozbudzenie w kapłanach prawdziwie duchowego, tchnącego wiarą i miłością życia. Tym jedynie sposobem zdołamy położyć tamę szerzącéj się zarazie, wpłynąć na umoralnienie ludu, a skoro duchowni staną w dawnéj swéj świętości, spełnią się słowa, które papież Pius V. wyrzékł, zapatrując się na jedną stronę kapłańskiego powołania: *Dentur idonei confessarii, ecce omnium Christianorum plena reformatio* (7).

Wysokie cele, do których zdążają dyecezalne synody, były powodem, że sobór Trydencki (Sess. XXIV c. 2 de ref.) domagał się ich częstego odprawiania, gdyż zgromadzeni na owym soborze ojcowie mieli misyą przekształcenia duchowieństwa i tym sposobem wprowadzenia rzeczywistéj reformy w chrześciaństwo. Nikt bowiem nie będzie przeczył prawdziwości tych słów: „*Nihil est, quod alios magis ad pietatem et Dei cultum assidue instruat, quam eorum vita et exemplum, qui se divino ministerio dedicarunt, cum enim a rebus saeculi in altiorem sublati locum conspiciantur; in eos, tanquam in speculum, reliqui oculus conjiciunt, ex iisque summunt quod imitentur.*“ (Conc. Trid. Sess. XXII, cap. 1. de ref.) Lecz niewątpliwą także jest rzeczą, że dla wszystkich owych duchownych, którzy swoim świętym obowiązkom nie chcą swą całą duszę poświęcić i nie radzi postępować drogą zgodną z ich wyniosłém powołaniem, dyecezalne synody stały się wkrótce uciążliwą instytucyą. Że zaś w nowszych czasach podobnego rodzaju kapłani najgwałtowniéj właśnie domagali się przywrócenia zjazdów synodalnych, to niemylnie ztąd pochodzi, że dzisiejsze wyobrażenia o synodach sprzeczne zupełnie z pojęciami kościoła, że tegowieczne pólmędrki za pośrednictwem zgromadzeń duchownych nie chcą siebie odmienić, ale przetworzyć wewnętrzną organizacyą kościelną i jak mówić zwykli, ulepszyć ją, niepomni na ów pełny prawdy i mądrości wyrok *Aegidiusza z Viterbu*, na piątym Laterańskim soborze. „*Homines per sacra immutari fas est, non sacra per homines*“ *etc.*

Zaprawdę synod dyecezalny, który odbyć zamierzamy, nie zaspokoi życzeń i nadziei owych nowatorów, gdyż, jak to już powyżéj nadmieniliśmy, nie myślimy spuszczać z uwagi kościelnych przepisów, ale przeciwnie do nich wszystkie nasze postępki stosować będziemy. Zgodnie z ustawami kościoła zwołamy wszystkich, mających prawo zasiadać na synodach; tym jednak krokiem nie zamyślamy bynajmniéj dopomagać wprowadzeniu do kościoła idei rządu reprezentacyjnego. Ponieważ zaś przez wzgląd na zbawienie dusz pieczy duchowieństwa powierzonych, oraz z uwagi na inne duchowne potrzeby wiernych, o których zaspokojenie nawet podczas syno-

---

(7) Benedykt XIV tak się wyraża w pierwszym rozdziale księgi VI swego dzieła de Synod. dioeces. § 1: „generatim asserimus, debere Episcopum in sua Synodo constituere, quae ad vitia coërcenda, virtutem promovendam, depravatos populi mores reformandos et ecclesiasticam disciplinam aut restituendam, aut fovendam, necessaria et utilia esse judicaverit.“ Dla tego chce Benedykt XIV, żeby biskup przed zwołaniem synodu dobrze rozpoznał usterki jakie się w jego przytrafiają dyecezyi, mianowicie, żeby wybadał, „quaenam quoad administrationem Sacramentorum, verbi divini praedicationem, dierum festorum cultum et observationem videantur corrigenda et emendanda.“ § 4 mówi Benedykt XIV: „In constitutione edita a Leone X. in Concilio Lateranensi dicitur: Synodos cogi, ut depravata corrigantur: quae verba expendens Erasmus Chokier in tract. de jurisd. etc. ait: Episcopalis Synodus instituta est quatuor ex causis, e quibus unam hic designat pontifex: primo, ut depravata corrigantur; secundo, ut ignorantes instruantur; tertio, ut regulae morum, statutaque formentur; quarto, ut quae in provinciali Synodo decreta sunt, in Episcopali publicentur. § 5: In Pontificali romano ita Episcopus praesentes alloquitur: Venerabiles consacerdotes et fratres nostri carissimi, praemissis Deo precibus, oportet, ut ea, quae de divinis officiis, vel sacris ordinibus, aut etiam de nostris moribus, et necessitatibus a nobis conferenda sunt, cum caritate et benignitate unusquisque vestrum su-

dów biskup starać się powinien (8), nie wszyscy, posiadający prawo zasiadania na synodach (9), mogą przybyć na obrady; z tego przeto powodu wypada nadać duchowieństwu pewną wolność obioru; mimo to wszakże biskupie prawo zwołania musi pozostać nietknięte, a z saméj instytucyi należy usunąć wszelką myśl zastępstwa (10) i reprezentowania ludu.

Przewielebni bracia! odnówmy w duchu naszego kościoła i zgodnie z jego przepisami zbawienny zwyczaj odprawiania zjazdów synodalnych, a błogie skutki tych zgromadzeń niebawem się pokażą i błogosławieństwo niebios spłynie na duchowieństwo i lud. Zastosowaniem kościelnych przepisów nadajmy naszym zebraniom ową świętą i wyniosłą powagę (11), jaka cechuje wszystkie czynności kościoła, a Duch święty zstąpi na wszystkich zgromadzonych i podniesie do wysokości ich powołania.

---

scipiat, summaque reverentia, quantum valet, Domino adjuvante, percipiat, vel quae emendatione digna sunt, omni devotione unusquisque fideliter studeat emendare." W rozdziale 2 téjże księgi mówi Benedykt XIV, że biskup winien szczególniéj „decreta Conc. Trid. innuere, novis sanctionibus fulcire, eorumque observationem urgere."

(8) Jak troskliwie przy odbywaniu synodów winni kapłani starać się przedewszystkiém o zbawienie dusz w opiekę im powierzonych, uczy Benedykt XIV. I. c. lib. III, c. 12, § 3 mówi: „(a dioecesana Synodo) multo magis excusandi sunt parochi, quos non propria sed suarum ovium necessitas remoratur: et enim non solum non reprehendendi, sed plurimum commendandi sunt, si ideo dumtaxat Synodum non accedant, quia alium non habent sacerdotem, quem sibi in animarum cura substituant; idque praesertim, cum in parochia reperiuntur infirmi tam gravi morbo laborantes, ut prudenter timeatur, ne sint cito decessuri: quanta enim ratio a parochis, priusquam ad Synodum se accingant, habenda sit de aegrotis, quos in parochia relinquant, satis aperte edissserunt ss. Ecclesiarum Antistites."

(9) In pontif. rom. stoi: „Sacerdotes et Clerici universi, qui ad Synodum de jure vel consuetudine venire tenentur, conveniant in civitate vel alio loco, prout pontifex ordinaverit." Benedikt XIV. wylicza w III księdze vocandi ad Synodum, mianowicie canonici ecclesiae cathedralis, parochi et curati (wszyscy którzy mają animarum curam). „Dioecesanas Synodos a prima earum origine potissimum ex parochis fuisse conflatas, et ratio suadet, et antiquissimi Ecclesiae canones nos edocent. Illis quippe, quae eo semper, collimarunt, ut animarum salutem promoverent, eos maxime interesse oportuit, quibus aliqua dominici gregis portio tradita erat custodienda." I. c. cap. 5. § 1. Sobór Trydencki stanowi: „ratione tamen parochialium, aut aliarum secularium ecclesiarum, etiam annexarum, debeant ii, qui illarum curam gerunt, quicunque illi sunt, Synodo innteresse (Sess XXIV, cap. 2 de ref.) Ze względu na laików przywodzi Benedykt XIV, (lib. III, cap. 9, § 8) wyrok Congreg: Conc: Trid., która zapytywana była in causa Oriolen. Syn. „An Episcopus possit ad Synodum vocare laicos, si eorum consilio uti velit," respondit: „Episcopum non posse." Do tego dodaje następujące zasady: „Nos statuimus: primum, jus commune obsistere Laicis, ne Synodo se interesse debere contendant: secundum, non obstante hac juris severitate, aliquid nihilominus esse deferendum contrariae consuetudini, si alicubi jam invaluerit: tertium, etiamsi hujusmodi consuetudo nondum sit inducta. posse Episcopum ex aliquo gravi urgentique causa ad suam Synodum laicos admittere, dummodo tamen suffragium non ferant: quartum, inter sufficientes causas illos admittendi, non posse eam annumerari, quam s. congregatio jam rejecit, quod scilicet Episcopus laicorum consilio indigeat; commode quippe potest eos ante Synodum consulere: quintum denium, cavendum esse Episcopis, ne sine vera et gravi necessitate laicos ad Synodum arcessant, paullatim enim possent illi, consuetudinis obtentu, jus interveniendi sibi deinceps arrogare."

(10) Benedykt XIV czyni uwagę (l. c. lib III: c. 12, §. 7), że ponieważ na synodach dyecezalnych sam biskup jest Judex et Legislator, przeto przypuszczenie do obrad zastępców tych kapłanów, którzy sami stawić się nie mogli, żadnego Synodowi nie przyniesie pożytku. „Ad haec aut in procuratorem eligitur, qui alias non esset Synodo interfuturus; et hic potest repelli tamquam extraneus: aut eligitur, qui jam suo jure Synodo intervenit; et hic certe non potest unum consilium suo, aliud basentis nomine, Episcopo praebere; aeque propter inutile et supervacaneum est, ut absentis quoque personam in Synodo praesentet."

(11) Nie mniéj Benedykt XIV. (l. c. lib. IV, c. 1. §. 4) tak się wyraża: „Ad evitandas turbas et praecavendos tumultos, qui certe fierent, si singulis de Clero venia daretur reclamandi adversus decreta, quae in Synodo promulgantur, solet episcopus aliquem constituere totius Cleri procuratorem, qui omnium nomine, ea tamen qua decet modestia et reverentia dicat in Synodo, quae Clero displicent, quaeque ex iis, quae aut statuta aut statuenda sunt, difficiliora et aspera videantur: simulque modum suggerat, quo illa emolliri, Clerus optaret: omnia porro, quae nomine Cleri petierit,

Wtedy synody dyecezalne najsilniéj się przyłożą do utwierdzenia nas w wierze([12]) do odnowienia łaski, któréj dostąpiliśmy przez położenie rąk ([13]). Synody wreszcie natchną nas siłą do spełnienia naszego świętego posłannictwa, obudzą ducha miłości i wzmocnią braterską jedność. Łaska, szczęście i błogosławieństwo oczekują nas, jeżeli się zastosujemy do woli kościoła; ale biada nam, jeżli zechcemy odstąpić od jego świętych przepisów.

Przyjmijcie, najmilsi bracia, obecne uwagi z tym duchem miłości, z jakim my je piszemy; bo przy dzisiejszym zamięcie wyobrażeń zdawało nam się konieczne poprzednie porozumienie co do zasad, których się na zgromadzeniach synodalnych trzymać będziemy. Po odprawieniu prowincyonalnego synodu prześlemy wam dalsze zawiadomienia.

Oby łaska Jezusa Chrystusa czuwała wiecznie nad nami.

Dan w Frejburgu w dzień Śgo Polikarpa 26 stycznia 1849 roku.

Herman, arcybiskup Frejburgski.

Wola boska tak dziwnie dla nas objawiająca się czasami w dziejach sprawiła przed oczyma naszemi, iż czego kościół francuzki nie mógł otrzymać przez ostatnie dwa wieki od królów chrześciańskich, otrzymał od rzeczypospolitéj niechrześciańskiéj w swém poczęciu: chcę mówić o swobodném zwoływaniu soborów. Król Filip cierpiący podczas królowania swego by się ludzie polityczni, nawet ci którzy mu w końcu tron spalili, zbierali i radzili; nie chciał nigdy na to przystać, by się kilku biskupów razem zebranych naradzało o rzeczach kościelnych. Najmocniéj jesteśmy przekonani, iż Bóg dopuścił rewolucyi 1848 dla skruszenia więzów niesprawiedliwych, w których rządy tak francuzkie jak niemieckie trzymały kościół Boży, i jeżeli królestwo Sardyńskie wyjmiemy, niezawodnie od 1848 r. wolności kościołowi w Europie przybyło. Tak we Francyi jak w Niemczech, tak w Toskanii jak w Neapolu, biskupi na sobory swobodnie się zbierają. Do nas ta rzeka błogosławieństwa jeszcze nie dopłynęła, możeśmy jeszcze do jéj przyjęcia nie dość usposobieni; ale wypada i u nas grunt do zwilżenia korzystnego tym Nilem duchownym przygotować.

Zacny mój przyjaciel, wydawca Przeglądu Poznańskiego, od roku już i więcéj nastawał na mnie, abym rozprawę o *Soborach* do pisma jego napisał. Kiedym się do téj pracy, choć nie specyalnie mojéj zabierał, wyszło dzieło ks. Bouix dla użytku duchowieństwa francuzkiego zajętego święceniem soborów spisane, obszerniejsze daleko od rozprawy jaką byłem zamierzył napisać, a tak dokładne, iżbym ja w żadnym razie więcéj a nawet tyle powiedzieć nie umiał. A że nam chodzić powinno o użyteczność i korzyść braci, a nie o chwałę w pracach naszych, zdało mi się najprostszą, zdać sprawę treściwą, o ile być może dokładną z dzieła francuzkiego kanonisty, po cytacye do jego dzieła przeszło 600 stronic zajmującego odsyłając. Niektórych kwestyi czysto francuzkich ob-

---

scripta tradat synodi Secretario. W § 7 mówi Benedykt: Ostiarii, qui praesint Ecclesiae januis et laicis sine strepitu ingressum prohibeant, et cum incipienda est Synodus, Ecclesiae fores obserent.

([12]) Co się dopełnia przez złożenie professionis fidei.

([13]) Na ten cel bywają ustanowieni (l. c. § 5) i concionatores; ad hoc electi, ut totius dioecesis Clerum simul coadunatum, opportune instruant, redarguant, hortentur, ac pabulo divini verbi reficiant (l. c § 6).

szernie traktowanych ledwo dotykam, a raczéj pożytki i potrzeby naszego kościoła staram się mieć przed oczyma; wszakże tych moich uwag i dodatków nie warto było za każdym razem wskazywać. Jestem tedy prostym sprawozdawcą i kompilatorem. Cel pracy i podział przedmiotu własnemi słowy ks. Bouixa wypowiem. Mówi on: „Pracę naszą ofiarujemy duchowieństwu. Wyrosła ona z chęci zadosyćuczynienia życzeniom z wielu stron wyrażonym posiadania traktatu dydaktycznego, prostego ale zupełnego, co do kwestyi kanonicznéj o soborach prowincyonalnych. Benedykt XIV doskonale dopełnił tego zadania co do ***synodu dyecezalnego***; ale żaden kanonista nie napisał właściwego i osobnego traktatu o soborze prowincyonalnym, chociaż wszyscy o nim mówili mniéj więcéj obszernie. Odszukać materiały rozproszone tu i owdzie po traktatach prawa kanonicznego; przytoczyć teksta autentyczne, już to dekretaliów, już soborów tworzących prawodawstwo kościelne synodów prowincyonalnych; sprawdzić zwyczaje w prawo przeszłe i dopełniające tego prawodawstwa; zejść do wszystkich szczegółów praktycznych któreby dać mogły powód do jakiéj trudności: taki był przedmiot tego zbioru (compilation).

„Co do podziału przedmiotu:

„I. Zdało się nam rzeczą prostą położyć na początku rzeczy tyczące się ***natury soborów prowincyonalnych i obowiązku święcenia ich***; stanowią one przedmiot części pierwszéj.

„II. W drugiéj obliczamy ***osoby do składu soborów wchodzące***, oznaczając atrybucye każdéj z nich właściwe.

„III. Że zaś w kościele wszystko się trzyma środka i ogniska jedności za pośrednictwem węzłów zależności, które nadewszystko ważna święcie zachować, a przeto dobrze poznać należy, wykładamy w trzeciéj części ***stosunek soborów prowincyonalnych do stolicy apostolskiéj.***

„IV. Czwarta część jest poświęcona ***wykazaniu rozmaitych czynności soboru prowincyonalnego***, i prawa które je urządza.

„V. Nareszcie dodajemy to co się tyczy ***ceremoniału.***"

Ja o tém ledwo dla krótkości wspomnę, a wolę zdać sprawę z aktów soboru Remeńskiego, już w Rzymie przejrzanych, pochwalonych i drukiem ogłoszonych, i z innych jeżeli rąk moich dojdą.

Autor ostrzega iż pisząc o rzeczy podobnéj treści, nie starał się o ozdoby literackie; chciał bowiem przysłużyć się co rychléj zbiorem dowodów i rozważeniem trudności. Nie sądzi by przedstawiał pracę dokładną; by, zmuszony przewartować całe księgozbiory i wypisywać z tylu ***in folio***, w czém się nie pomylił; ale spodziewa się rychło czy sam spostrzedz, czy być ostrzeżonym o pomyłkach, i takowe w kilku dodatkowych kartkach sprostować. Jeżeli się wyraża z zupełną swobodą o niektórych punktach delikatnych, prosi o pamiętanie: że nie występując z powagą władzy, ale w charakterze prostego teologa i kanonisty, mógł korzystać za przykładem innych przed nim piszących ze swobody jaką takie położenie w rozprawach dozwolonych daje. Można nie podzielać jego zdania ile razy jako pojedynczy doktor ze zdaniem swém wystę-

puje, ale niesłusznaby się gniewać że je wyraził, jak skoro granic prawowierności nie przekroczył. *In certis unitas, in dubiis libertas, in omnibus caritas.*

CZĘŚĆ I.

(KONCYLIUM SYNODU).

O NATURZE SOBORU PROWINCYONALNEGO.

Wyraz *Concilium* znaczy *zgromadzenie*, używany był do oznaczenia *kościoła*, zgromadzenia wiernych, wszakże już od wieków ściśle wzięty wyraża: *Zgromadzenie biskupów i sądzących o rzeczach kościelnych. Synod* złożony z dwóch wyrazów greckich *συν* (cum) i *οδός* (via), odpowiada łacińskiemu *conventus*, zebranie, zgromadzenie, i podobnie jak wyraz *Concilium* używany był w wiekach średnich do oznaczenia sejmów świeckich np. u Franków; wszakże rychło ścieśniony do zgromadzeń duchownych, a dzisiaj ściśle mówiąc do narady biskupa dyecezalnego ze swojém duchowieństwem.

Rozmaite są rodzaje soborów, a dwa szczególniéj: a) Sobory duchowno-świeckie albo niewłaściwe, i b) właściwe czysto-duchowne. Na pierwszych radzili biskupi wraz z panującymi, książęty i radnymi panami państwa jakiego, jak np. nasz sobór Łęczycki i inne na wschodzie, a bardzo liczne w Niemczech a szczególniéj téż we Francyi. Niektóre z nich zwołał papież z rzeczy wojen krzyżowych, ale zwykle je zwoływali panujący. Trzeba dobrze badać cel i skład tych zgromadzeń, aby nie popaść w grube błędy. I tak: niesłusznaby była odmawiać ogólnie i bez wyjątku ważności kanonicznéj soboru prowincyonalnego lub narodowego postanowieniom takich zgromadzeń; albowiem były czasy i kraje, w których pod pozorami jednego zgromadzenia były dwa oddzielne, jak uczony Thomassin wykazuje. (*Discipline de l'Église, seconde partie L. III. Ch. 47 N. 1*). Na pierwszém, zwaném *placitum*, radzili biskupi wraz z panami świeckimi; na drugiém, zwaném *Synodus*, radzili i stanowili sami biskupi podług pisma Ś[o.] i Ś[ch.] kanonów. Ale że te dwa zgromadzenia współcześnie i w jedném miejscu się odbywały, a jedni i ci sami biskupi do obu, choć w odmiennym charakterze należeli, ztąd pomięszanie imion i rzeczy. Pierwsze sobory zowiemy *niewłaściwemi*; drugie liczymy do kanonicznych ściśle kościelnych.

W czasach, w których wiara katolicka była pierwszém prawem i rządzonych i rządzących, a duchowni nawet światłem ludzkiém niezmier-

nie przemagali, łatwo się daje pojąć, iż tego rodzaju zgromadzenia rozwszechniały się w kościele i wywiązały się w instytucyą stanów. Łatwo pojąć ile religia mogła w takim porządku rzeczy odnieść korzyści. To też stolica apostolska nie burzyła ich, owszem jakeśmy rzekli, papieże sami niekiedy takie mieszane sejmy zwoływali. Wszakże już w zarodzie leżało niebezpieczeństwo które się później odkryło. Towarzystwo świeckie podrastając w pychę i naukę, na pogańskiém prawnictwie cesarzów rzymskich oparte, a nawykłe w skutku dawnéj dobréj harmonii radzić wespół z duchowieństwem, zapragnęło niém rządzić nawet na polu duchownem. Niesłychane pretensye parlamentów francuzkich z czasów Jansenizmu, odsłoniły całą głębokość przepaści nad którą duchowieństwo stanęło. Dobra pomoc świecka, byle służąc pęt na nogi i ręce nie kładła, a opiekując się nie dusiła.

Z upowszechnieniem się tych zgromadzeń mieszanych, dawne prowincyonalne sobory poszły w zaniedbanie z wielką szkodą karności kościelnéj, a władza świecka, już nieprzyjazna, nie dozwalała nawet soborów czysto duchownych, na których przewodzić nie mogła. Dzięki Bogu, że do nich się kościoł wraca.

Bellarmin idąc za św. Augustynem (de Controversiis, de Conciliis, et Ecclesia L. 1, c. 4) dzieli sobory ściśle wzięte na czworakie: 1) *powszechne;* 2) *narodowe;* 3) *prowincyonalne;* 4) *dyecezalne.* Ks. Bouix tenże sam podział przyjmuje; my wszakże ostatnie pominiemy, albowiem sam Bellarmin powiada iż na nich zwykle tylko jedna siedzi osoba mająca juryzdykcyą, to jest biskup prezydujący; to też bardzo rzadko spotkać akta synodów dyecezalnych po zbiorach soborów.

Sobory ogólne, albo powszechne, oecumenica, składają się z wszystkich biskupów katolickich, którzy mogą i bez słusznéj przeszkody winni się stawić. Przewodniczyć na nich może tylko legat papiezki albo sam papież.

Sobory narodowe, na które zbierają się arcybiskupi i biskupi z całego państwa lub narodu, a którym przewodzi prymas, albo jeżeli ich jest kilku, najstarszy z nich z prerogatywami patryarchy, albo właściwy patryarcha. Wiele było takich soborów, szczególniéj w Rzymie, Toledzie i Afryce. Trzeba pamiętać, iż niekiedy są zwane *powszechnemi* albo *ogólnemi,* nie w rozumieniu bezwzględném, ale względnie do kraju lub państwa w którém się odbywają; niekiedy *prowincyonalnemi,* na oznaczenie, że nie z całego świata ale tylko *z jednéj* lub kilku *prowincyi* (jak zobaczymy) biskupi tam zasiadali.

Sobory właściwie prowincyonalne, kiedy biskupi z jednéj prowincyi zbierają się pod swoim arcybiskupem lub metropolitą. Pełno ich śladów po zbiorach soborów. O nich zdaje się wspomina sobór powszechny VII. (actio 3tia) kiedy powiada, że przyjmuje także postanowienia soborów *miejscowych.*

Podział Bellarmina jest powszechnie przyjętym; wszakże Benedykt XIV. osądził za potrzebne dodać jedną jeszcze kategoryą na oznaczenie soborów niebędących ani właściwie prowincyonalnemi, ani

synodami dyecezalnemi, ale raczéj czémś pośredniém, mieszaniną obojgu. Mowa tu o przypadkach kiedy papieże w pierwszych wiekach radzili i sądzili wespół z biskupami przejazdem w Rzymie bawiącymi, tudzież z księżmi rzymskimi i do innych dyecezyi należącymi, a na razie będącymi w Rzymie. Tak n. p. Korneliusz papież sądził r. 251. Maxyma, Urbana i Sydoniusza; tak Agatho urządzał sprawy kościoła angielskiego; tak Grzegorz IV. zasiadał raz z 22 biskupami i 33 kapłanami rzymskimi. Tomassin przytacza jeszcze sobór nieustający patryarchów carogrodzkich z biskupami bawiącymi przejazdem w tém mieście. Były to zgromadzenia czysto duchowne, a więc prawdziwe sobory, a przecie pod wyżéj wymienione podziały podciągnąć się niedające, i osobnego wymagające oznaczenia.

Niektórzy dzielą sobory na dwie główne kategorye: *a*) powszechne albo ogólne; *b*) szczególne, a te znowu patryarchalne, prymasowskie, prowincyonalne, tudzież niewłaściwie biskupie czyli dyecezalne, i niewłaściwiéj jeszcze kapituły zakonów. Jakkolwiek bowiem ostatnie mają za sobą niektóre teksta prawa kanonicznego, zwyczaj ogólny nie bierze ich za sobory właściwe.

Zdarzało się iż biskup skazany przez sobór prowincyonalny, odwoływał się do rzymskiego papieża; wtenczas stolica apostolska podług kanonu soboru Sardyckiego, nakazywała roztrząsnąć sprawę przez biskupów zebranych z kilku sąsiednich prowincyi. Hinkmar Remeński zowie te zebrania *prowincyonalnemi* a raczéj *współprowincyonalnemi.*

Były one bardzo liczne i mogłyby stanowić kategoryą osobną soborów. Tak n. p. r. 1368 za Urbana V. odbył się w Lavaur sobór złożony z prowincyi Narboneńskiéj, Tuluzkiéj i Auxytańskiéj (Auch). Prezydowali na nim zbiorowo metropolici dwóch pierwszych prowincyi, i Filip opat Sorezki, jako prokurator Auxytańskiego. Metropolitowie ci, ani sam prymas Gallii Narboneńskiéj, nie sądzili by mieli prawo zebrania się w taki sposób; udali się przeto do Urbana V. prosząc o pozwolenie, które też otrzymali (Coleti, t. XV. str. 905). Z tego zdaje się wnosić trzeba, iż metropolita w moc prawa zwyczajnego, bez dołożenia się stolicy apostolskiéj, nie mógłby prawnie połączyć się z biskupami jednéj lub kilku prowincyi na wspólny sobór; tak przynajmniéj sądzono w XIV. wieku.

Czytamy wprawdzie iż koło r. 828. Ludwik Pobożny, osobnym kapitularzem rozporządził, aby biskupi francuzcy zbierali się w czterech miejscach. W *Monguncyi* czterech metropolitanów z suffraganami swymi; podobnie w *Paryżu*, *Lugdunie* i *Tuluzie* po czterech metropolitów z suffraganami swymi. Te sobory istotnie doszły, posiadamy nawet akta paryzkiego całkowite. Zdaje się tedy że królowie Franków działali w téj mierze zgodnie ze stolicą apostolską i jako jéj delegaci, albowiem jak pokażemy poniżéj, prawo zwoływania soborów nigdy nie należało do władzy świeckiéj. Zresztą akta czterech owych soborów były przeglądane na soborze Wormacyeńskim

(Worms), na który Grzegorz IV. posłał swego legata. (Sirmond, t. II. str. 464. 555).

Z tego cośmy dotychczas powiedzieli, możemy tak orzec już to sobór w ogólności, już sobór prowincyonalny w szczególności. *Jest to zgromadzenie duchowne przez władzę prawną zwolane, zajmujące się sprawami kościelnemi; zgromadzenie na którém biskupi rozstrzygają.* Gdyby bowiem panujący przywołał kilku biskupów, wysłuchał ich rady a póżniéj sam postanowił, nie byłby to sobór; gdyby im zostawił wolność decyzyi ale w rzeczach świeckich, nie byłby to sobór; gdyby nareszcie biskupi jakiego kraju, opierając się na władzy świeckiéj chcieli się zebrać w sobór, nie dokładając się swego prymasa lub patryarchy lub papieża, nie byłby to sobór ale zborzyszcze, a w każdym razie sobór nieprawny i schyzmatycki.

Orzeczenie to przystaje zarówno do soborów powszechnych jak i narodowych lub prowincyonalnych, przystaje nawet do soboru powszechnego nadzwyczajnie zebranego, wrazie gdyby papież był wątpliwy lub popadł w herezyą; albowiem wtenczas władza prawna ku zwołaniu, znajduje się przypadkowo w składzie całkowitym biskupów, jakkolwiek zwyczajnie, to jest po za temi dwoma przypadkami, samemu tylko papieżowi prawo zwoływania służy.

Nareszcie orzeczenie powyższe przypada także do synodu dyecezalnego, albowiem i na nim biskup, jakkolwiek obowiązany wysłuchać zdania swéj kapituły, sam sądzi i stanowi. Zkądinąd do żadnego innego zebrania któreby nie było soborem zastosować się nieda.

Orzekłszy sobór w ogólności, łatwo teraz określić sobór prowincyonalny, dodając tylko własność gatunkową do własności rodzajowéj, to jest objaśniając, że tylko jednéj prowincyi biskupi, jako sędziowie z prawa zwyczajnego na podobny sobór się zgromadzają.

By sobór prowincyonalny zachował swoje piętno szczególne, nie jest konieczna by biskupi prowincyi sami na nim zasiadali, lub sami tylko mieli głos stanowczy. Biskupi obcy mogliby wespół siedzieć, i są przykłady że sobór przyznawał im głos stanowczy, ale to w razach nadzwyczajnych. Gdyby się bowiem zwyczajnie tak działo, sobór byłby nie prowincyonalnym ale współprowincyonalnym, i skoro kanoniczny wszedłby pod jedną z kategoryi wyżéj wypisanych. Sądzimy tedy, że dokładném będzie orzeczenie następujące: *Sobór prowincyonalny jest ten, na którym biskupi jednéj prowincyi mają powagę stanowiącą i rozstrzygającą z prawa zwyczajnego.* Orzeczenie to zostaje prawdziwém natenczas nawet, kiedy legat papiezki przewodniczy soborowi prowincyonalnemu; albowiem jakkolwiek legaci prawo podobne, jak niżéj wykażemy, posiadają, nie używają go oni jednak tylko w razach *nadzwyczajnych.*

Jeżeli zechcemy badać podanie, zwyczaj i historyą kościelną w ciągu wieków, znajdziemy, iż ile razy wiara była zagrożona herezyami lub schyzmą, zwoływano sobory powszechne a przynajmniéj narodo-

we; przeciwnie prowincyonalne zbierały się *zwykle* dla utrzymania karności, rozsądzania zajść między duchownymi, ukarania, nawet złożenia z urzędu gwałcicieli ś. kanonów.

Sobór trydencki tak się w téj rzeczy wyraża w 24. sesyi, rozdziale 2. *„Provincialia concilia sic ubi omissa sunt, pro moderandis moribus, corrigendis excessibus, controversiis componendis, aliisque ex sacris canonibus permissis renoventur.* Ś. sobór odsyłając do kanonów dosyć jasno wskazał, iż nie zamierzał sobie wykazać wszystkich przedmiotów, któremi się sobór prowincyonalny zajmować może. Kanony dawniejsze, zwykle w téj kwestyi przytaczane, są: 1) Vty Nicejski; 2) XXsty Antyocheński; 3) wyrażenie soboru Chalcedońskiego [1]; 4) wyrazy *sicut olim* na Lateraneńskim r. 1316 pod Innocentym III.; 5) rozdział VI. 4go Lateraneńskiego z r. 1215. Pomimo jednak tych źródeł mogą jeszcze zajść i zachodzą wątpliwości co do granic ścisłych i przedmiotów właściwych soborom prowincyonalnym. Trzeba przeto niektóre główniejsze trudności przebiedz po szczególe, pytając już to karności saméj, już prawa dzisiejszego.

Pierwsze pytanie które się nasuwa, i od rozwiązania którego najwięcéj zależy jest: *Czy ustanowienie soborów jest boże, czy też tylko z prawa kościelnego?* Zdania w téj mierze są podzielone; wszakże poważniejsi pisarze, jako to: kardynałowie de Turre Cremata, Baroniusz, Bellarmin i Ś. Karol Boromeusz stoją mocno za boskiém ich ustanowieniem. Pomijając inne mniéj przekonywające, oto dowody, które dostatecznie tego zdania dowodzą. Instytucya, do któréj dary nadprzyrodzone są przywiązane, jest koniecznie z ustanowienia bożego: tego dowodzić nie potrzeba. Jak Bóg tylko mógł udzielić sakramentom dzielności nadprzyrodzonéj, tak i sobory, jeżeli przechodzą siły ludzkie, jeżeli mają w przywileju łaski szczególne, niezawodnie siłę tę czerpią z wyżéj nad wszystko co ludzkie. Owoż sobory mają rzeczywiście tę cechę. Chrystus Pan powiedział: *Gdzie są dwaj albo trzej zgromadzeni w imię moje, tamem jest w pośrodku ich.* (Mat. XVIII. 20). Te słowa jednak same przez się jeszczeby nie były dostateczne, gdyby władza prawna nie wyłożyła ich w rozumieniu boskiego ustanowienia soborów. Podług uczonego de Lenghe, zwykle Balduinus Junius zwanego (de Eccl. milit. l. IV. C. 1. Bibl. pontif. t. V. str. 682), sobór powszechny Chalcedoński, Carogrodzki 6. powszechny i 3. Toledański, tak przytoczone słowa Chrystusowe tłumaczą. Oto własne słowa soboru Carogrodzkiego z r. 680. *„Per hunc nostrum a Deo congregatum sacrumque conventum ipsam rectae fidei reperit perfectam praedicationem, secundum a Domino editam vocem: Ubi duo vel tres fuerint congregati in nomine meo ibi sum in medio eorum.* (Act. 18 Coleti t. VII. str. 1059). To tłumaczenie stwierdza jeszcze list papieża Celestyna do soboru Efezkiego; list Ś. Cyrylla do Ana-

(1) Tam cel soborów prowincyonalnych wskazano *τὰ ανακύπτοντα*, *quae emerserint.*

stazyusza, i inne świadectwa. Ojcowie zwykle ze słów tych argumentowali *a minori ad majus*, dowodząc łaski, pomocy i obecności szczególnéj Chrystusa Pana w tak licznem zgromadzeniu biskupów. A zatém ustanowienie soborów, wzięte ogólnie, jest nadludzkie.

Co do ustaw opisujących rozmaite ich kształty, oznaczających rodzaje, czas, miejsce, ceremonie i tym podobne rzeczy: wszyscy kanoniści odnoszą je do prawa kościelnego. W części poszły one od apostołów, w części z praktyki i postanowień kościelnych w ciągu wieków.

Wnosimy tedy, że i sobory prowincyonalne jak i wszystkie inne kanonicznie zebrane, uczestniczą w obietnicy pomocy bożéj, a jakkolwiek nie posiadają nieomylności właściwéj soborom powszechnym, wszakże wyroki ich wielkiéj powagi w kościele bożym zażywają.

Jak zaś *ważne są i użyteczne sobory*, nie własnemi ale raczéj świętych i starszych słowy przypomnimy, a naprzód Ś. Karola Boromeusza przytaczając. *Quo in concilio* (mówi o Trydenckiém) *cum omnia praeclare constituta sint quae ad explicandam fidei veritatem et ad restituendam ecclesiasticae disciplinae integritatem pertinebant, divinitus profecto, patres, illud decrevistis ut conciliorum provincialium quae jam diu haberi desierant usus aliquando renovaretur; ex quo certissimum est christianam rempublicam uberrimos salutis fructus esse percepturam. Et quidem natura et ratione ipsa ducimus ut in gravioribus rebus deliberandis, aliorum consilia exquiramus: vel quod cautior deliberatio est si ad nostrum judicium multorum sententia accesserit, vel quia apud illos quibus consulere maxime cupimus majorem auctoritatem et pondus habet consultatio in quam plures consenserint. Est hujus in ecclesia instituti auctor Christus Dominus, magistrique Apostoli. Nam ejus certa quidem sane est illa promissio, cum suam opem suumque auxilium se denique ipsum ejusmodi patrum conventibus rite celebratis pollicetur et defert: Ubi fuerint inquit duo vel tres congregati in nomine meo, ibi et ego sum medio eorum. Itemque: si duo ex vobis consenserint super terram de omni re quamcumque petierint, fiet illis a patre meo. Apostoli autem etsi doctore spiritu sancto uberem omnium rerum cognitionem singuli acceperant, tamen si quid gravius publice praesertim agendum esset hac consultandi ratione uti consueverunt; quam ut caeteri etiam conservarent, lege sanxerunt, ut bis in annos singulos concilia ab episcopis haberentur. Innumerabiles deinceps sanctiones sunt constitutae, decretaque promulgata et ab conciliis, tum oecumenicis tum provincialibus, de retinenda aut certe repetenda hac synodorum consuetudine, quem admodum temporum ratio postulabat. Atque utinam quae a sanctissimis illis viris culta, et posteritati ad salutem ecclesiae tradita ratio est provincialium conciliorum, eam nos ad hanc diem pie continuiterque retinuissemus; et quantum illi consilii et voluntatis ad prodendum posteris optimum institutum, tantum nos pietatis et diligentiae ad tuendum adhibuisemus! Hujus enim consuetudinis intermissio difficile est dictu quantas calamitates in Christianam rempublicam invexerit... Hic nota sunt*

vobis, patres, ecclesiae Dei vulnera, quae libenter praetereo, quia sine acerbissimo doloris sensu nec a me commemorari, neque a vobis audiri posse existimo (Na soborze medyolańskim r. 1566)!... Sobor koloński z 1549 r. nazywa sobory nerwami ciała kościoła. *„Neglectis enim synodis, non aliter ecclesiasticus ordo diffluit, quam si corpus humanum nervis solvatur.“* Moglibyśmy my Polacy powtórzyć lamenty soboru Toletańskiego z r. 1473 nad nieszczęściami jakie zaniedbanie soborów na Hiszpanią sprowadziły. Cesarz Justynian wymawia biskupom ich niedbalstwo (Novella 137). Barbarzyńce sami i niewierni, tak dawniéj jak dzisiaj, czuli korzyść dla kościoła z takich zgromadzeń: to téż wzbraniali ich jak n.p. Maurowie w Hiszpanii; ale biskupi tego kraju nie szczędzili zachodów, trudu, nie żałowali i gardła nastawić, byle świętego i tak korzystnego obowiązku dopełnić!

Że zaś jest *ścisły obowiązek święcenia soborów prowincyonalnych, i że żadna zwłoka i zaniedbanie od tego nie uwalnia*, nie ma wątpliwości. Kanon apostolski 36., nakazujący metropolitanom zbierać biskupów swojéj prowincyi, ponawiany od wielu soborów powszechnych i papieżów, ostatecznie zatwierdzony został na 24. posiedzeniu soboru trydenckiego w tych słowach: *Provincialia concilia sic ubi omissa sunt.... renoventur. Quare metropolitanus, quolibet saltem triennio.... non praetermittat synodum in provincia sua cogere, quo episcopi omnes et alii qui de jure vel consuetudine interesse debent.... convenire omnino teneantur* (c. 2). Przykaz i obowiązek jest wyraźny, jak się pokazuje z powagi tylu soborów papieżów, biskupów, świętych, jak zresztą dowodzą tak ciężkie kary kanoniczne, któremi kościół starał się zawsze zapewnić święcenie soborów. Polska i na sejmie parczowskim r. 1564 (1) i na soborze narodowym staraniem metropolity Uchańskiego i biskupa kujawskiego Karnkowskiego w Piotrkowie r. 1577 zebranym, najuroczyściéj sobor trydencki przyjęła; a więc metropolici nasi byle mogli i jak skoro gdzie mogą, powinni zbierać sobory. Bo cóżby ich wymówić mogło od ciężkiéj winy za niedopełnienie jednego z najsurowszych poleceń soboru trydenckiego? Chyba przedawnienie z długiéj przerwy, grzesznéj z początku i dobrowolnéj, pochodzące, które za zgodą wszystkich uchyla prawo kościelne. Bo jeżeli przerwa nie winna, nie dobrowolna, przymuszona, przedawnienie się nie zaczyna, i jak skoro przeszkoda ustaje obowiązek wraca. I tak we Francyi jak ks. Bouix obszernie dowodzi, przerwa w święceniu synodów przeszło dwuwieczna nie była wolną, bo biskupi pojedynczo, ani *in corpore* na swoich zebraniach *Assemblées Ecclesiastiques* upominając się wciąż nie mogli otrzymać pozwolenia zebrania się ani za Ludwików XIII., XIV., XV. i XVI., ani po rewolucyi za Napoleona i przywróco-

---

(1) Rajnaldi t. 21 część 2, a. 1564. str. 551 (szczególniéj list Hozyusza do kard. Boromeusza z archiwum Watykańskiego przez niego wydobyty). Gratianus *vita Card. Commendoni* l. II. c. 2. Pallavicini *Dzieje Soboru Trydenckiego* c. 13. n. 1. Ostrowski *Dzieje i prawa kościoła polskiego* T. III. str. 211.

nych Burbonów, ani za Ludwika Filipa; otóż jak skoro ta przeszkoda ustała, metropolici francuzcy natychmiast poczuli się do obowiązku, i już bodaj wszyscy sobory swoje prowincyonalne poodbywali. Byli zresztą do tego obowiązanymi z prawa bożego naturalnego, przeciwko któremu nie ma przedawnienia.

Nikt bowiem nie zaprzecza, iż pierwsi pasterze z istoty saméj swego urzędu i z prawa przyrodzonego mają pracować nad zbawieniem dusz sobie powierzonych; jeżeli zaś są zobowiązani do celu i końca, powinni brać środki skutecznie do tego prowadzące: obowiązek ich poczyna się nawet przed ustanowieniem przez kościoł kanonów formalnych. I tak każdy przyzna, że biskupi obowiązani są z prawa naturalnego uczyć lud swój wiary, choćby żaden kanon tego nie polecał. Otóż jeżeli istnieją inne środki równie niezbędne ku dobru kościoła i dusz, a które się czém inném zastąpić nie dadzą, jak to powiedzieć można o soborach, czyż nie słusznie wyciągnąć wniosek, iż metropolici winni je święcić i to z prawa bożego naturalnego?

Równie i w reszcie kościoła jak i w naszym polskim kościele bywały przerwy co do dopełnienia tego świętego i zbawiennego przepisu. Czyliż je położyć na karb samego niedbalstwa, czy téż i przeszkód zewnętrznych? Zwykle obie te przyczyny w mniejszym lub większym stosunku się spotykają. U nas parlamentów jak we Francyi nie było, a przecież długo już przed pójściem pod przemoc obcą metropolici święcić soborów([1]) przestali. Gdyby tedy obowiązek ten polegał tylko na prawie czysto kościelném, przerwa i przedawnienie tak wprowadzone, szczególniéj jeżeli bez protestacyi stolicy apostolskiéj, uwalniałyby naszych metropolitów od zbierania soborów nawet tam gdzieby dziś ze strony rządu nie spotykali trudności, jak w Galicyi a szczególniéj w archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiéj; ale w każdym razie zostaje obowiązek z prawa naturalnego i prawa bożego. Może zasługiwać na wzgląd w tém lub inném miejscu kwestya stosowności; to jednak ostatecznie przesądzać wielebnym metropolitom bez dołożenia się stolicy apostolskiéj nie godzi się. Nie daj Boże by na naszych pasterzach ciążyły nauki Van Espena i innych dworskich kanonistów, którzy wolność kościoła i prawa biskupie rządom katolickim i niekatolickim rzucali lub rzucają pod nogi, i przenoszą gotową obrożę do włożenia na karki duchowieństwa. Do téj obroży tak już niektórzy duchowni przywykli, szczególniéj jeżeli złocona, iż się z niéj pysznią, pozbyć nie chcą. Nie spieszyliby się gdyby im kto zdjąć pozwolił i chciał; nieszczęśliwiby byli gdyby kto zdjąć kazał, i tęsknili by sobie wolnością, użyć jéj nie umieli, lub nie chcieli; tak już od niéj odwykli, tak jarzma nawykli.

---

(1) Ostatni sobór prowincyonalny polski, odprawiony został w r. 1643. przez prymasa Macieja Łubieńskiego, wraz z 15 biskupami współprowincyonalnymi i delegowanymi kapituły, a ostatni dyecezalny (lwowski) w roku 1765 przez Wacława Hieronima Sierakowskiego.

Wypada, przed zakończeniem téj pierwszéj części pracy naszéj powiedzieć choć pokrótce, *o wadze decyzyi kongregacyów rzymskich, o ile są źródłem prawa względnie do soborów prowincyonalnych*, a szczególniéj kongregacyi tłumaczów soboru trydenckiego, których wykład i postanowienia nieraz przytoczyć przyjdzie. Ponieważ w téj mierze powstały tu i owdzie przeszłemi czasy trudności bardziéj teoretyczne, zobaczmy jakiéj są powagi ich odpowiedzi, a szczególniéj i naprzód pierwszéj z nich.

Pius IV. papież bullą swoją *Benedictus Deus* z r. 1563, zachował wyłącznie papieżom prawo tłumaczenia soboru trydenckiego, zakazując ogłaszać jakiekolwiek nad nim komentarze. Tenże papież bullą *Alias nonnulli* z r. 1564 ustanowił kongregacyą z ośmiu kardynałów, którzy wszyscy byli obecni w Trydencie, poruczając im czuwać nad wykonaniem ustaw soboru, z odniesieniem się w razach wątpliwych do papieża. Gdy z czasem odpowiedzie téj kongregacyi, objaśniające znaczenie wyroków soboru, powywoływały zarzuty i wątpliwoście: czy kongregacya praw swoich nie przekroczyła; S. Pius V. dla zapobieżenia podobnym trudnościom na przyszłość, upoważnił kongregacyą do rozstrzygania przypadków jasnych, obowięzując by się odnosiła do papieżów jedynie w razach wątpliwych. Nareszcie Syxtus V. bullą *Immensa* zawarował papieżom kwestye tyczące się dogmatu, upoważniając kongregacyą do dawania decyzyi w kwestyach nawet wątpliwych tyczących się karności, z obowiązkiem wszakże dokładania się papieżów.

W moc téj konstytucyi, kongregacya objaśnia i wykłada znaczenie kanonów dyscyplinarnych soboru trydenckiego nietylko w ogóle, ale rozwiązując przypadki pojedyncze; czuwa by sobory prowincyonalne zwoływane były co lat trzy, a synody dyecezalne co rok; przyjmuje żądania arcybiskupów i biskupów przybywających *ad limina;* czyni im zadosyć o ile z niéj, odsyłając do papieża rzeczy najważniejsze; przyjmuje zdania sprawy pasterzów o stanie swoich dyecezyi, duchowieństwie i wiernych ich juryzdykcyi poddanych; zaświadcza także, iż dopełnili obowiązku podróży *ad limina* dając im w téj mierze listy zaświadczające. Do tych wszystkich przywilejów dodał Grzegorz XIV prawo pisania listów *in forma brevis* w imieniu papieżów. Członkowie kongregacyi, wszyscy są kardynałami wyjąwszy prałata sekretarza. Jeden z nich nosi tytuł prefekta i podpisuje listy i postanowienia wraz z sekretarzem. Trudność jaka zachodzi co do władzy i powagi téj kongregacyi, ogranicza się do jednego punktu: *Czy jéj postanowienia mają siłę prawa, czy stanowią część prawa kanonicznego, słowem, czy mają być uważane za prawo kościelne?* Wszystko co się powiedziało wyżéj o zaprowadzeniu kongregacyi w mowie będącéj i jéj prerogatywach, przekonywa że tak jest; ani przeto dalszych dowodów *za* przytaczać, ani zarzutów przeciwników zbijać nie widzę potrzeby, już dla krótkości, już szczególniéj iż dyskusya ta na *praktykę* bardzo mało albo nic nie wpływa. Teologowie Sanchez, Diana, Bonacino i Layman, mówiący: *probabi-*

le est tales declarationes . . . non habere vim legis, non robur obligandi semper et perpetuo ; owoż czém się zasłaniają, a uważmy, że bez żadnego wahania się na to przystają. *Circa quam gravissimam questionem duo invenies apud doctores indubitata: primum tales declarationes maximi ponderis esse, magnamque habere auctoritatem et gravitatem utpote a gravissimis viris, auctoritate summi pastoris congregatis expensae: proindeque adhuc in sententia illorum qui dicunt non habere vim legis, deserendae non sunt, nisi gravissima ratione et causa interveniente. Secundum, quod si tales declarationes promulgantur ea solemnitate qua solent leges promulgari, cum it fiat auctoritate Summi Pontificis... procul dubio vim legis perpetuae habebunt totam Ecclesiam obligantis* (*De legibus,* C. 3, punctum 11. n. 28). Te ostatnie słowa pokazują, iż trudność czepia się jedynie kwestyi formy. Gdyby jednak kto chciał krok jeden daléj postąpić, i śmiał utrzymywać, iż można się nie oglądać na postanowienia kongregacyi, znajdzie się w towarzystwie Van Espena, Piotra de Marca i innych kanonistów cenzurowanych.

Teraz kilka słów jeszcze co do innych kongregacyi rzymskich. Kongregacya *Super negotiis Episcoporum et Regularium*, podług pierwotnéj ustawy Syxtusa V. tworzyła dwie oddzielne kongregacye, późniéj przez niegoż samego w jedno połączoną została. Składa się z 24ch kardynałów i prałata sekretarza. Najstarszy z kardynałów piastuje urząd prefekta. Sprawy któremi się zajmuje są dwojakiego rodzaju: 1) Zatargi między biskupami, prałatami, wikaryuszami generalnymi, officyałami, z jednéj, a osobami świeckiemi lub zakonnemi skarżącemi się o pokrzywdzenie, z drugiéj strony. 2) Zatargi między zakonnikami samymi, już to różnych, już jednego zakonu, lub nareszcie między zakonnikiem a jego zakonem. Kongregacya kończy tego rodzaju sprawy extrajudicialiter, to jest bez procedury uroczystéj, ograniczając się na zasiągnięciu objaśnień niezbędnych do poznania i ocenienia faktów.

Kongregacya *jurisdictionis immunitatisque ecclesiasticae*, ustanowiona przez Urbana VIII. a złożona głównie z kardynałów i prałatów wziętych z pomiędzy audytorów Roty (najwyższego trybunału) i Izby apostolskiéj. Obowiązkiem jéj bronić praw kościoła, bezpieczeństwa osób i miejsc duchownych, przeciwko nadużyciom władzy świeckiéj i jéj urzędników. Ojciec Ś. oznacza liczbę członków.

Congregatio rituum (obrzędów), ustanowiona przez bullę Syxtusa V. *Immensa*, właściwie na dwie osobne się rozpada: pierwszą *zwyczajną*, mającą za cel rozstrzyganie trudności jakie zachodzą co do obrzędów, obrządków czyli ceremonii i prawa pierwszeństwa; drugą *nadzwyczajną*, zajętą sprawami o kanonizacyi i beatyfikacyi świętych. Liczbę kardynałów i prałatów składających pierwszą, oznacza Ojciec Święty, a czynność sekretarska poruczona zostaje jednemu z prałatów. Ci sami kardynałowie, i ten sam sekretarz zastąpieni są w drugiéj przez innych officyałów i innych teologów. Jest nadto *promotor fidei,* i zwyczaj każe mianować na ten urząd adwokata fiskalnego. Przywoływani bywają na

asesorów trzéj najstarsi audytorowie Roty. Widzimy nadto urzędnika *promotor causae* i teologów noszących nazwę *konsultorów*, albo *kwalifikatorów*. Wreszcie kongregacya przyzywa kilku najuczeńszych lekarzy i filozofów (biegłych w naukach przyrodzonych), dających zdanie swoje o faktach przedstawionych jako cudowne. Kongregacya ta, wywięzuje się z obowiązku sobie poruczonego z taką sumiennością, starannością i surowością, iż nie można dosyć jéj uczcić, a poznanie trybu jéj postępowania było powodem nawrócenia się niektórych protestantów i niedowiarków. Dla czytelników nieduchownych dodamy objaśnienie, iz beatyfikacya tém się różni od kanonizacyi, że cześć błogosławionego pozwolona jest jużto zakonowi, już dyecezyi albo krajowi do którego błogosławiony należy, *kanonizacya* zaś cześć tę zrazu wszędzie pozwala lub późniéj rozciąga do całego kościoła. Zresztą cześć jest jedna i ta sama.

Kongregacya *Indexu* ustanowiona również bullą Syxtusa V. *Immensa*, ma za cel przeszkodzić wydawaniu lub rozpowszechnieniu książek tchnących różnowierstwem, albo zgubnemi błędami zarażonych. Ojciec Ś. oznacza liczbę członków, kardynałów, z których jeden jest prefektem. Jest nadto sekretarz i dwunastu konsultorów, pomiędzy którymi *magister sacri palatii* trzyma pierwsze miejsce. Sekretarz rozdaje konsultorom książki podejrzane, aby je czytali, sądzili i zdali o nich sprawę w pełném zebraniu kongregacyi.

Kongregacya *de propaganda fide Catholica* ustanowiona przez bullę *Inscrutabili* Grzegorza XV., ma za cel rozszerzanie i utrzymywanie wiary w krajach misyjnych. Sądzi i kończy trudności wyradzające się między misyonarzami, odnosząc do sądu Ojca Ś. sprawy co najważniejsze.

Są jeszcze inne kongregacye w Rzymie, które się jednak naszego przedmiotu nie tyczą, przeto je pomijamy.

Kwestya ogólna, do rozstrzygnięcia tutaj względnie do wszystkich tych kongregacyi, jest następująca: *Kiedy przez odpowiedzi i deklaracye swoje rozstrzygną one jaki punkt prawny, czyli te postanowienia mają siłę obowiązującą dla całego kościoła?*

Kanonista Schmalegruber czyni to samo rozróżnienie, które zastosował do kongregacyi kanonów soboru trydenckiego. Jeżeli punkt rozstrzygnięty nie jest objęty ciemno przynajmniéj w słowach praw kościelnych już istniejących, postanowienie wtenczas równa się prawu nowemu i przeto nie ma wagi, chyba że kanonicznie promulgowaném zostanie; jeżeli przeciwnie postanowienie oznacza tylko jeden z wykładów jakie tekst prawa kościelnego cierpieć może, obowięzuje i stanowi część prawa kanonicznego, nie potrzebując uroczystości promulgacyi. Wszakże w tym ostatnim razie pisarz wymieniony dodaje następny warunek: *Modo constet uniformiter et saepius super eodem casu et juris dubii articulos esse redditas aut secundum illas a Rotae aliorumque tribunalium Romanorum judicibus pronunciatum esse.* I za-

raz usprawiedliwia swoje zdanie: ***Ratio perspicua est: quia uniformis responsorum ac sententiarum super eodem articulo saepius et uniformiter redditarum inducit stylum et praxim curiae: stylus autem et praxis curiae fecit jus.*** (proem. str. 284).

Łatwo zrozumieć z tego acz krótkiego wykazu, iż postanowienia kongregacyów a szczególniéj kongregacyi soboru trydenckiego, są jedném z najważniejszych źródeł do wyświecenia kwestyi prawa kościelnego. Przyjdzie się często do nich w późniejszym wykładzie odwołać.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

PIŚMIENNICTWO.

DWORZEC MEGO DZIADKA, przez autora *Wizyty w sąsiedztwo*. Nakładem księcia ordynata Augusta Sułkowskiego. Leszno, czcionkami Ernesta Günthera, 1851.

W ogólnym poglądzie na literaturę epoki jakowéj, nie ma pono nic bardziéj pocieszającego, jak widok pisarzów, którzy zaskoczeni nagłą zmianą w guście i pojęciach narodu, nie dają się zbić z swego toru, daléj idą za światłem raz uznanéj przez siebie prawdy, i doczekują się nareście, że naród powraca do nich i obok wieńca literackiéj zasługi składa im należną wytrwałości nagrodę. Taki widok dziś nam przedstawiają tak zwani klassycy nasi. Rozbitkami u brzegu zostawiła ich fala, która poniosła romantyków na szerokie morze popularności. Niezrażeni tym gwałtownym odwrotem, postawili oni jeszcze wyżéj swą nawę i czekali w pracy rychło powracający przypływ aż do niéj się podniesie. Minęły lata, przeszło tyle zdarzeń, i naród się spostrzegać poczyna, że ani ci tak małymi, ani tamci tak wielkimi, jak chwilowo mniemał, nie byli. Poznaje on, że każda forma dość przestronna by wszystkie poetyczne piękności pomieścić i ducha narodowego w całości objąć, i że prędzéj czy późniéj obie stanąć muszą przed sądem prawdy, któréj ustawy i wyroki nigdy się nie zmieniają. Już się więc nieco porównały stanowiska dawnych współzawodników. Wyznać potrzeba, że ku zrównoważeniu ich losów nie mało w ostatnich czasach przyczyniły się napaści pisarzów najmłodszego pokolenia. Z jakiém lekceważeniem i zarozumiałością początkowo przeciw klassykom występowali romantycy, z taką samą, jeźli nie z stokroć większą wzgardą i pychą, występuje teraz przeciw ostatnim cała ciżba samozwańczych mistrzów, posłanników bożych i proroków, którzy ogłaszają ich, jakby w odwecie za tamtych, pseudo-romantykami, niewolniczymi naśladowcami, ludźmi bez ducha i bez serca, sobie tylko samym przyznając chwałę, że po raz pierwszy w ich dziełach poczuło się i pojęło w swém jestestwie społeczeństwo polskie. Obie przeto strony doznawszy jednakich przeciwieństw w swym zawodzie, mogą i powinnyby podać sobie ręce do zgody, i w chlubném współuczestnictwie pracować daléj na niwie ojczystéj. Umilkłym od pewnego czasu romantykom, osobliwie tym którzy pierwotny bój poczęli, dają w téj mierze chwalebny przykład dawni ich przeciwnicy. Jako się dziać zwykło z wszelką rzeczywistą znakomitością, wznieśli się oni w zapomnieniu, wzmogli w sieroctwie i ukryciu, i pod zachód dni swoich przychodzą złożyć świadectwo pełnego trudów żywota. Coraz téż głośniéj wieści o ich dziełach podjętych i dokonanych w dobie opuszczenia, zaczynają obiegać po kraju. Gdyby potrzeba było wymienić dowód, wskazalibyśmy na ten wielki poemat narodowy, z którego nowy wyjątek znajduje się między

wstępnemi artykułami niniejszego poszytu. Lubo odmienny przedmiotem i stylem, a drobniejszy w rozmiarze, niemniéj jednak świetnym w tym względzie przykładem i zwiastunem jest utwor, który w téj chwili pod nasz rozbiór przychodzi.

Zwyczajem od początku przez nas przyjętym, damy naprzód całą osnowę téj nowéj pracy tak dobrze znanego nam pióra. Jeźli wykład nasz będzie nieco obszernym, jeźli przytoczeniom za szerokie udzielimy miejsce, to pozostanie nam szukać przebaczenia u autora lub wydawcy, nie zaś u czytelników. Ten to jedynie wzgląd wstrzymuje nas od powtórzenia całego wstępu, który tak brzmi w głównych swych częściach:

Niepoczesnym był z kształtu dworzec mego Dziadka,
W którym niegdyś się zrodził, dożył dni ostatka;
A który, jak to z jego słyszałem rozmowy,
Stawiał jego pradziadek, sędzia kapturowy.
Dworzec ten stał na wzgórku, skromny i drewniany;
Dach wielki, okna wązkie, zaszłe w ziemię ściany;
Dzielił się na dwie części, ciągiem sieni długiéj,
Z jednéj strony mieszkanie, czeladnica z drugiéj.
Nigdy tam ni przed domem, ni w skromnych komnatach,
Rojna służba w barwistych nie snuła się szatach;
Jeden sługa na wszystko, Stach zwinny, przezorny,
Hajduk, strzelec, ogrodnik i kucharz nadworny.

Na przodzie przed wystawką stał kasztan stuletni,
Gdzie się stary Jegomość chronił w upał letni,
Gdzie mawiał swój różaniec, dawne czasy marzył,
I dusząc buteleczkę, z swym proboszczem gwarzył.
Z wszystkich on miejsc najbardziéj lubił to ustronie:
Z tamtąd widział swe łany, lasy, łąki, błonie;
Tam go zawsze w południe sen ujmował słodki,
Wieczorem mu dzwoniące przeciągały trzodki.
Tam się z wieńca lip bielił ów kościół daleki,
Gdzie po znojach doczesnych miał spocząć nä wieki;
Tam ledwie jadącego gościa dojrzeć zdołał,
Już ci krzyczał na Stacha i o węgra wołał;
Tam wreście widział z dała liczne chłopców roje,
Jak na środku wsi Barskie udawały boje,
Jak kij walczył z prętami, a kół z gromem bicza,
I jak zawsze Puławski wytrzepał Drewicza;
Patrząc on na te żwawe młodych lat wyskoki
I śmiał się do rozpuku i trzymał za boki;
A dzielnego do siebie przyzwawszy wojaka,
Klepał go po ramieniu i wścibiał groszaka.

Lecz niemniéj i wnątrz domu był dla niego drogi,
Pobożność zacne jego otaczała progi;
Stały na drzwiach skreślone *Trzech Królów* imiona,
Przy wejściu w drobnéj czarce woda poświęcona.

. . . .

Z wszystkich izb tam najdłuższa i razem najszersza
Była izba jadalna z rzędu komnat pierwsza,
Sarmackiéj gościnności państwo niezmierzone,
Nieprzełomnym z Węgrami sojuszem złączone.

Stał na jego granicy kredens, gmach drewniany,
W czasach pono pradziadka już antykiem zwany.
Lśniły się za szklem jego dwa srebrne puchary,
Staremi mnogich królów obite talary;
A jak gdy po nad miejskie niezliczone dachy
Wznoszą się wież gotyckich niebotyczne gmachy,
Tak nad drobnych szkieł tłumem w różne rznięte wzory,
Odęte starą pychą sterczały potwory:
Syndyk się tam z *Naparstkiem* o miarę certował,
A *Corda fidelium* nad wszystkie górował;
Pysznił się, że sam Cześnik przed nim z strachu zmykał,
A zwalił Chorążego, choć jak beczka łykał.
Przy ścianie, gdzie stał z wieków ów kredens niezmierny,
Jako ciągły przybocznik, stróż i służka wierny,
Odwieczny wszędzie jeniec jadalnéj komnaty,
Klęczał pod prasą serwet muzułman wąsaty;
Zdał on się na swéj głowie haracz nam przynosić,
I za Chocim i Wiedeń przebaczenia prosić.
Zeszły wiek w nim podziwiał rzadki utwór sztuki,
A Dziaduś nim hałaśne zwykle straszył wnuki.

Piec wielki, piec ogromny stał z przeciwnéj strony,
Kaflaném Sobieskiego popiersiem zwieńczony,
Istny olbrzym Babelu, co na podpał mały,
Paszczą swoją połykał drzewa sążeń cały,
I w którym, jak to dawne powiadały dzieje,
Potrzykroć się przed laty zakradli złodzieje.
Stykał się z nim rozległéj, równie jak on, miary,
Komin, krewniak, towarzysz i przyjaciel stary;
Gorząc wzajem tak w dziennéj jak i w nocnéj dobie,
Ciągłym żarem affektu dogrzewali sobie.
Jak ów potwór, co całą zalega jaskinię,
Tak potężny pień dębu jeżył się w kominie;
Stróż nań ciągle szczyp smolnych całe kopy walił,
Huczał ogień, i Dziaduś przy nim turka palił;
A gdy czasem przez istne dopuszczenie boże
Ciężka go jaka niemoc rzuciła o łoże,
Stach przy ogniu z różańcem noce przesiadywał,
Modlił się, ziewał, drzymał, i drzymając kiwał.

Całą izbę zajmował stół wielki, dębowy,
Pięć się kloców do jego składało budowy;
Ileż on uczt podźwigał, ile straw, gąsiorów,
Ile związał przyjaźni, ile zgodził sporów:
Trzeźwo się tam i w sposób zmawiano uprzejmy,
O sądy, o wybory, projekta na sejmy;
Północna czasem w sporze wybiła godzina,
A nikt ust swych nie zwilżył nawet kroplą wina,
Lecz gdy wszystko na zgodnym skończyło się spisie,
A gospodarz wzniósł owe sławne *kochajmy się*!
Nikt się tam od kielicha wyśliznąć nie zdołał,
Próżno wniósł go do góry i o litość wołał;
Niczém ni Pan, ni sługa zbłagać się nie dali,
Przez głowę mu, przez ramię strugi węgra lali,

A gdy widząc, że próżno dąsał się i bronił,
I nagle go usunął i aż pod stół schronił;
Już tam zdradny kozaczek, osadzony z cicha.
Czekał go z nową flachą, i dolał kielicha.
Tak iż wzięty w dwa ognie, i ten szturm pijaczy
Wzmógł się — kielich przeżegnał — i wypił z rozpaczy.
. . . .

Lecz wszystkie te pomniki i warowne sprzęty
Gasił potwór, przez cały pułap przeciągnięty.
Odwiecznych może borów pierwsza rodzicielka,
Niezmierzonego dębu jednorodna belka,
Potężna córa puszczy, król Piastowych lasów,
Łom arki, co przepłynął cały potop czasów.
Zdało się, że nie ludzkie go tam ręce wzbiły,
Że trza było téj strasznéj, téj wszechmocnéj siły,
Która światy przerzuca i hamuje burze,
Aby wznieść taki ogrom i utwierdzić w górze.
Belka ta liczne włości przeżywszy dziedzice,
Miała jednę z kart ważnych w domowéj kronice,
Na jéj boku wyryty rok stawiania dworu,
Był rokiem straszliwego w ojczyznie pomoru;
A kiedy pierwszy Moskal wszedł w Dziadka podwoje,
Z strasznym hukła łoskotem i pękła na dwoje.
Pod nią chłystki szlacheckie na kobiercach bito,
Pod nią duch się pokazał, i Szweda zabito.
Nigdy też dobry Dziaduś, znany z ostrożności,
Ni sam pod nią siadywał, ni umieszczał gości;
O szeląg on się nawet pod nią nie założył,
Na niczém nie podpisał, listu nie otworzył,
Zważał nawet, że gdy kto klął się na szatana,
Zachłysnął przy kielichu, ograł w kasztelana,
Lub się wyrwał niebacznie i głupstwo powiedział,
Zawsze się pokazało, że pod belką siedział.

W takiéj to izbie dziaduś przyjmował przyjaciół i okoliczną szlachtę.

Nieraz się do niéj wtłaczał szlachty powiat cały,
A głośne stypy, gaudy, dni i noce wrzały.

Lecz od pewnego czasu nagła nastała w niéj głuchość. Dziaduś udał, że starość jego wymaga spoczynku. Przez szacunek dla staruszka chęci, nikt do niego już od dawna nie zajrzał. Dziaduś siedział samotnie, zbierał grosiwo.

Jak ów dąb, co na zimę w głąb swe ściąga soki,
By większém z wiosną życiem wystrzelić w obłoki,
Tak i Dziaduś przed czemsiś wielkiém wypoczywa,
Aż wreście wyszła prawda, jak na wierzch oliwa.

Kochał się on niegdyś w bliskiéj swéj krewniaczce, lecz musiał się jéj wyrzec, bo Rzym ślubów w tak bliskim stopniu zabronił. Pannę wydano za chorążego, a niepocieszony kawaler, jedynie jéj namowom ulegając, ożenił się naostatek z sędzianką. Żył on z żoną uczciwie, jak Bóg przykazał, serca jednak dla swéj pierwszéj bogdanki nigdy nie zmienił. Wkrótce umarła i jedna i druga. Wtedy cały swój affekt dla chorążyny przeniósł na jéj córkę Ewunię. Kochał on ją tak czule, że nie mógłby więcéj własnego kochać dziecka. Poczciwe dziewczę zdało się być drugiém sercem wyję-

tém z pod serca dziadunia. Przyszła nareście ważna w jéj życiu chwila. Ewunia ma iść za mąż. Dziadunio postanowił wyprawić jéj sute wesele. Ztąd taka samotność we dworcu. Czuły i troskliwy gospodarz chce by nic jego myślom i przygotowaniom do tak uroczystéj chwili nie przeszkadzało. Gdy już dzień ślubu się zbliżał, zwołuje walną radę do swéj komnaty. Wzywa podstarościego i gospodynię, daje im rozkazy, obmyśla wszystko co potrzeba dla licznych gości,

Aby gwoli polskiemu działo się przyjęciu,
I dobrze było panu, słudze i bydlęciu.

Jedynym jego kłopotem jest co począć z starą rejentową; nie chciałby jéj na ślub zapraszać, bo to nieznośna baba, jędza, która kłóciła wszystkich, wszędzie siała bajdy, a nawet jemu samemu nieraz dopiekła; lecz że bliska sąsiadka i krewna jego nieboszczki, nie śmiał jéj pominąć. Rejentowa przecież wcześnie zwąchała te weselne gody, i przysyłając w darze sarnę i ogromnego dzika, zręcznie o sobie w liście napomknęła. Poci się, chodzi dziaduś, pociera czoła, czy jakiego sposobu jeszcze nie znajdzie, by téj fatalności uniknąć. Ostatnia ucieczka, pojechać na radę z chorążym. Był właśnie nazajutrz dzień Śgo Piotra i Pawła. Na imię dziadunowi było Piotr, chorążemu Paweł. Dwóch przyjaciół sam Bóg w kalendarzu jednym dniem połączył. Trzeba więc uściskać się i wspólne zdrowie wypić razem, a przytém naradzić się,

Jak wszystko do Ewuni gustu przysposobić,
Zwłaszcza rozstrzydz ten *casus*, co z tą babą zrobić!

Nazajutrz, ledwie błysnął brzask na niebie, dziaduś po mszy świętéj siada w ogromną karocę dzielnemi wiedzioną kasztankami. Był to gmach zaledwo nieco mniejszy od dworca; zewnątrz niegdyś szkarłatny, a wewnątrz wybity felpą żółto-gorącą z mnóstwem taśm i kutasów. Niezliczony rząd mosiężnych gwoździ biegł brzegiem naokoło odętego pudła. Groźne gryfy z kordem stały na straży drzwiczek. Sześć wyzłacanych sfinxów świeciło się u góry. Przeklinał jego ciężar Jasiek, za konie i za siebie. Ogłuchł prawie od jego turkotu; bo gdy zabębnił po moście lub zahuczał po bruku, zrywały się ze snu przerażone miasta, jakby na szturm tatarski lub grzmiącą nawałę.

Na przodzie kum przy kumie, Stach przy Jaśku siedzi,
Na jednym obaj koźle odwieczni sąsiedzi,
. . . .
A czy się pojazd zwiesi, czy téż spotka z głazem,
I razem się przechylą, i podskoczą razem.
Siedzi równie i Dziaduś w swém pudle zamknięty,
Jakby Jonasz przez potwór morskich wód połknięty.

Ciekawy on jest jakich gości u chorążego zastanie, kogo z krewnych, kogo z posłów i palestry, bo pewnie cały powiat tam dziś na stypę podążył. Najbardziéj przecież o tém duma, czy tam będzie Kubuś, figlarz nad figlarzy, hulaka, cudak, rębacz, tancerz walny, który najhuczniéj po wszystkich zabawach wywija, wodzi w drabantach, rozbija ciżby, a gdy sobie podochoci, krocie dykteryjek jak z rękawa sypie. Kiedy tak rojąc długim jedzie lasem, nagle ktoś karocę dopędza. To półkownik, który zabiega mu drogę, szczęśliwy że go dognał i że pierwszy może spełnić jego zdrowie. Wydobywa więc kielich z swego puzderka, i szczerze go nalewa i wypija szczerze. Dziaduś drzwiczki roztwiera i stanąwszy na stopniu, drugim na

dank kielichem replikę mu daje. Ku dalszéj podróży mieści półkownika obok siebie,

A ten tysiąc tysięcy dziwnych plecie wieści,
Łże o sobie, o koniach, łże o pannach, wdowach,
Łże o swéj gospodarce, łże o wojnach, łowach,
Ściele zwierza krociami, ścina Bisurmany;
Gdy w tém Jasiek zawoła: „Panie, most zerwany!“
Krzywią się, martwią wszyscy, lecz za wspólną radą,
W bok do mostu drugiego o trzy mile jadą.

O mroku dopiero stanęli we włości chorążego. Dwór cały gorzał rzęsistém światłem. Przed dworem częstowana wieś się bawi. Brzmią trąby, huczą kotły, i jak tańczą na podwórzu tak tańczą we dworze. Kogoż to naprzód dziaduś przez okno spostrzega? Rejentowę! — i jeszcze z Kubusiem w kozaku.

Nie wysiadł jeszcze Dziaduś, gdy nakształt nawały
Już całe imieniny na dwór wyleciały;
Witają go, ściskają, radość, wrzawa, pląsy,
Ciśnie się całowany w ramię, ręce, wąsy,
Pcha przez tłum mężczyzn, kobiet i wśród dzieci mrowia,
Jeszcze progu nie przeszedł, już wypił trzy zdrowia;
Wiążą się nowe tany, Dziaduś z gracką miną,
W pierwszéj parze polskiego stawa z Podstoliną
Rżnie od ucha nadworna Starosty muzyka,
Dziaduś w kord swój uderzy, pomuśnie wąsika,
Uśmiechnie się, dłoń poda i z marsowym wzrokiem
Na czele par trzydziestu wolnym stąpa krokiem,
To zawraca, to kołem, to wężykiem krąży,
Gdy już w trzecim nawrocie wstrzyma go Chorąży,
Wiwat pan Piotr! zakrzyknie, wznosząc flachę sporą,
Damy *solo* puszczone nowych mężczyzn biorą,
Dwaj zaś starce klęknąwszy dawnym obyczajem,
Piją swe zdrowia, płaczą, ściskają się wzajem,
A za każdym uściskiem zacnéj starców pary,
Z bliskiego wirydarza huczy moździerz stary.

Ewunia odprowadza dziadka z półkownikiem do pobocznéj komnaty, by się zostawionym posilili obiadem. Zjadał dziaduś, lecz lepiéj pan półkownik zmiatał, i co w drodze nie wyłgał, dołgał przy obiedzie. Nie mogąc znieść już dłużéj tych kłamstw, dziaduś ucieka i wraca w sam war rozmów i tańców radośnych.

Siada w bliższym kąciku i nieznacznie boczkiem
Na każdy ruch Ewuni tkliwém strzela oczkiem;
Nie może się jéj wszystkim wydziwić ponętom,
Nasłuchać się jéj głosu, napatrzyć oczętom.
Śliczna jakby obrazek, jak aniołek słodka,
Perła, kwiatek, brylancik, przylepka, pieszczotka;
Cóż dopiero gdy nieco poprawi kołpaczka
I stanie do mazura, i upiecze raczka,
Utnie korkiem hołupca i koło zatoczy,
Wówczas ledwie z starego dusza nie wyskoczy;
Tupa, klaszcze, podryga i chustką wywija,
I zdejmuje trzewiczki i duszkiem wypija.

Piją wszyscy, gdy nagle w tłum nawalny zbita
Cała młodzież wraz z krzesłem Chorążankę chwyta,
Wywyższa ją nad siebie, wdzięk jéj w piosnkach głosi
I wśród krzyków, wiwatów, po sali ją nosi.
Nie mógł się Kubuś wtłoczyć w tę ciżbę młodzieży,
I z kilku pustakami nagle pędzi, bieży,
Porywa Regentową, wznosi ją od ziemi,
I windując do góry, razem chojda z niemi.
Szerzy się szał rozgłośny, radość rośnie w burzę,
Już Starosta — Chorąży — już i Dziaduś w górze,
Stawa piętro na piętrze, wszystko śpiewa, skacze,
Biją kotły, i głośne ciągle grzmią trębacze.

Lecz cóż to za blask w oknach? jaki ryk nad dachem?
Nagły szturm zwalił lipę, całym zatrząsł gmachem,
Hałas, popłoch przed dworcem, wszystkich strach rozgania,
Cała wieś z krzykiem biegnie i do chat się schrania;
Jak hufce za hufcami, tak chmur kłęby czarne;
Ciągną, szumią, i ogniem i śmiercią ciężarne,
Szarpią je wściekłe wichry i miotają niemi
Od ziemi ku niebiosom, od niebios ku ziemi;
Wszystko ścichło, i burzy słychać war sam gniewny,
Ciemność, błyski i gromy, grad i deszcz ulewny;
Drży ziemia — niebo płonie — i wyje nawała;
Nucąc — *Kto się opiekę* — sala klęczy cała,
Szerzy się przestrach kobiet i krzyki dziecięce,
Wznoszą się wciąż błagalne i głosy i ręce.
Ach! bijcie się w pierś z skruchą, ziemię bijcie czołem,
Głowy wasze pokutnym osypcie popiołem,
Lejcie, lejcie łzy żalu — bo inna — straszliwa
I sroższa od téj burza już ku wam napływa:
Nie wy jéj dożyjecie klęsk i gromów końca,
Czy słyszycie ten tentent spieszącego gońca,
Ściga za nim psów wrzawa, patrzcie — pędzi — wpada,
Szuka okiem Dziadunia — i list w ręce składa;
Wziął Dziaduś, roztwarł, spojrzał — i upadł jak długi.
Rwą ów papier — czytają — Polski rozbiór drugi!

Jakby widmo grobowe nagle wyszło z ziemi,
Lub trąba archanielska zaryknęła nad niemi,
Stoją wszyscy zmartwiali, drżący, osłupieni,
Bieli ich trupia bladość — i znów wstyd rumieni.
O jak byli wysoko — jak upadli nisko —
Jaki piorun runięcia! jak straszne zwalisko!
Dla królów są szyderstwem — u ludów bez cześci,
Ten głową tłucze ściany — ten ryknął z boleści,
Wrząca krew mu ustami lunęła potokiem,
Tu dwóch starców z zdziczałym porywa się wzrokiem,
Stargane się ich myśli zmieszały rozpaczą,
Drobne nawet dzieciny jak bobrzęta płaczą;
Wszyscy o sejm wołają w tak strasznéj potrzebie,
Winią króla, magnatów, a żaden z nich siebie;
Wszyscy winni! tak Dziaduś, zrywając się, woła,
Trzeba stratę odrobić, trzeba w pocie czoła;

Tym potem jest krew nasza — pracą Sybir, boje,
Długo Bóg zatrzymywał straszne gromy swoje;
Któż kar jego nie przejrzał? kto o nich nie wiedział?
Wróżył je nam Jan Kaźmierz, Skarga przepowiedział,
A nie było poprawy. — Dziś tłoczący duszę
Zrzucam ten kamień grzechu — jarzmo włościan kruszę;
Rozjaśnią się niebiosa wolnych dusz widokiem.
I nagle na Ewunię łzawém patrząc okiem,
Smutne, rzeczę, biedaczko, będzie twe wesele;
A ta nagle przed wszystkich występując śmiele,
Wiem, powie, jaką ranę dwom tu sercom zadam,
Lecz woli méj nie cofnę i ten ślub odkładam,
Źle jest mieszać i żenić z wesołością płacze,
Pluje na grób ojczyzny, kto w jéj smutku skacze;
Nie! — nigdy prawéj Polki nie splami ten zakał!
Uścisnął ją Dziadunio — błogosławił — płakał —

Dziaduś wziąwszy na radę kilku między sędziwszymi do izby pobocznéj, podaje im projekt, który wszyscy zgodnie przyjmują. W godzinę już żadnego nie widziano z gości. Każdy spieszył do domu. Większe powozy toczyły się po drogach, a czwałem i na przełaj graniczkami przemykały się bryczki. Wnet po kraju jakiś dziwny ruch powstał. Szlachta nocną porą zbiera broń po dworach. Po wszystkich kuźniach tętnią młoty. Młodzież harcuje na rumakach. Kwestarze gęściéj wyjeżdzają z klasztornych murów. Żydki przeględne kręcą się jak przed burzą jaskółki. Strach niewiast rozgłasza dziwne wieści o groźnych zjawiskach i przepowiedniach, a lud mnogi po świątyniach błaga Boga o cud dla ojczyzny. Zgoła szerzy się, rozrasta w około myśl jedna, jakby sieć płomienna.

Długo Dziaduś przeciąga pracę w nocną ciszę,
To układa manifest, znów drze, maże, pisze,
Z praw go świętych, praw ludzkich, boskich wyprowadza,
Gromi, — żółcią doprawia — łaciną dosadza —
Gdy w tém jakiś *Derdydas* w drzwi się jego tłoczy,
Jakiś z orłem szubrawiec stawa mu przed oczy,
Ciska mu z wzgardą papier i w groźnym szwargocie
Każe mu w najsprośniejszéj brudzić się sromocie,
Jutro jechać, by siebie, naród w jarzmo wprzęgał,
I jakimsiś przybyszom na wierność przysięgał.
Porwał Dziaduś gwintówkę, leżącą na stole,
Ale już Niemiec dernął i czmychał przez pole;
Pobiegł — bunt! bunt! zawołał — zbrojni i zajadli
Najezdnych rot siepacze dom starca napadli,
Porwali go, okuli, i jak wściekli dzicy,
Wśród szarpań, do męczeńskiéj wtrącili ciemnicy.

Powstał naród. Lud polski zlał się i skupił przy prostéj Kościuszki siermiędze. Lecz wnet runęły wszystkie nadzieje. Naród potrójnym zwalił się rozłomem. Anioł śmierci zamknął polskich dziejów księgę, a imię Polski starto nawet z jéj grobowca. Dziadunio nie widział ani radośnego powstania, ani upadku ojczyzny. Żadna wieść, żaden promień słońca nie przedzierał się do jego więzienia. Z okropną samotnością walczyło wielkie życie duszy. Nieraz jednak marzył o zbrojnym ruchu, tak już dojrzałym i wybuchu bliskim, w chwili gdy go tu przed światem zamknięto. Raz nawet zdało mu się, że słyszy grzmot dział dalekich. Przykłada do muru wytężone ucho. Odgłos ponury coraz bliżéj huczy. Starzec biegnie, plącze się w więzach, woła, i padając krzyżem, głośnym płaczem dzięki Bogu składa.

Lecz cóż to za śpiew wdzięczny? głos srebrny, niewieści,
Jak gdyby dla przesłania jakiéjś szczęsnéj wieści,
Aż u kraty okienka polskiém nuci słowem?
Zrywa się w szale szczęścia, zrywa z życiem nowém,
Zapomniał o swych mękach, czarnéj murów cieśni,
Pieśnią tylko oddycha, cały żyje w pieśni;
Gdy w tém czata wystrzelił — urwało się pienie,
Jeden tylko krzyk powstał — i głuche milczenie! —

I znów było cicho jak dawniéj. W około starca też same zimne mury i taż ciemność czarna. W tym żywym grobie wlókł on tęsknie dni i miesiące, a jak go więziono, tak téż i on wszelką w sobie więził boleść. Raz gdy wśród nocy marzył i wzdychał, nagle klucz u drwi zabrzęczał, wszedł jakiś człowiek i rzekł mu: *Wolnyś.* On to pierwszy oznajmuje starcowi, że był bój i że znów wszystko stracone.

To mówiąc, wiódł Dziadunia ciemnym więzień mrokiem,
Lecz ten niemy i zbladły, drżącym wlókł się krokiem,
Ryknął z żalu, — przyklęknął — wzniósł oczy ku Bogu,
Krew buchła — serce pękło — i skonał na progu.

Tak skończył dzielny starzec. Do grobu dwie trumny razem złożono. W drugiéj były zwłoki Ewuni owym strzałem przeszytéj.

Jak w ojczyznie, tak w wiosce, tak i w dworcu dziadkowym, smutno — głucho — i pusto. Tylko Stach samotny siedzi pod kasztanem. Boleść pomieszała mu zmysły. Zapomniał że utracił pana, wciąż mu służy jak służył, codzień łoże ściele, broń czyści i rumaka kulbaczy na wojnę. Dziwne téż rzeczy we wsi o dworcu opowiadano. Nieraz w nim wszystkie okna wśród nocy się żarzą, słychać chrzęst zbroi, a byli tacy, co widzieli jak duch Dziadka stał w progu i na zachód wskazywał. Zawsze się wówczas niebo łyskało zachodnie. Od zachodu téż nowa Polsce zajaśniała nadzieja. We wsi budzi się nagły gwar, wrzawa, śpiewy. Pierwszy to odgłos radości po Dziadunia stracie. Jakiś młodzian mierzy do dworca. To ów wnuk, który tu niegdyś w dziecinnych latach igrał przy Dziaduniu. Poznaje on, ściska starych gospodarzy, o wszystkich się pyta, opowiada im jak służył pod Dąbrowskim, jak za morzami i górami walczył w legionach, i zwiastuje że Cesarz Franków przychodzi Polskę wyzwolić.

Nowe więc, nowe słońce znów Polszcze jaśnieje,
I na nową jéj wiosnę młode światło leje,
Złoci drogę do zwycięztw — i promienném kołem,
Zda się blask swój roztaczać nad Cezara czołem.
Istotnież więc Bóg jarzmo tego kruszy ludu?...
Istotnież więc już przyszła owa chwila cudu,
Wytęskniona sercami, łzami wypłakana,
I przez łzy te od dawna gdzieś w dali widziana?...
Lub czyż i ta nadzieja jak inne zawodna,
Nową nam znowu przepaść roztworzy aż do dna,
W któréj legniem na długo — i zamrzem grobowo,
By znów ożyć, — znów runąć, — znów powstać na nowo,
I tak ciągle i ciągle przechodzić z kolei,
Z nadziei do rozpaczy, z klęski do nadziei.
Ach! bo jest we krwi polskiéj jakaś iskra dzielna,
Iskra święta — wszechmocna — iskra nieśmiertelna,
Co ciągle z tajemniczym jéj nurtuje warem,
A na słowo „*ojczyzna*“ groźnym pała żarem;

Iskra ta w pośród kajdan, pod toporem kata,
Z słów serca, wzroku duszy, piorunem wylata,
Iskra ta, jak płonęła w dziadów, ojców łonie,
Tak w nas synach goreje, tak w wnukach zapłonie;
Przywal ją głazem grobów i górą przemocy,
A i z grobów i czasów znów wybłyśnie nocy!

Tu autor pieśń swą przerywa. On co począł od uderzenia w strunę wesela, kończy na tém, na czém u nas wszystko kończyć się zwykło, — uciechy, uniesienia, tryumfy, — na smutku i łzie. Porusza z głębi serca cały rój radości i boleści naszych. Ostatniemi do żywego dojmuje. Zdałoby się, że już nic nie pozostaje jedno rozpacz i grób. Atoli poeta przeprowadziwszy nas przez całe pasmo wzruszeń, z słonecznego dnia swobody aż w najczarniejszą noc upadku, nie opuszcza zwątlonych w ciemności, ale zręcznėm przejściem przy końcu na zdala już wschodzącą zorzę wskazuje. Na odwrót téż znanemu z Wallenroda wierszowi, wszystkie uczucia słuchacz z nim podziela, nawet uczucie nadziei. Wstaje nie w zwątpieniu, nie z przekleństwem dla przeszłości, ale w tęsknocie i rozrzewnieniu.

Zbytecznėm byłoby wywoływać po imieniu mnogie tego dzieła piękności. Każdy je pojmie od razu, ukocha i swéj pamięci przyswoi. Skądże ta w słuchaczu pojętność? Cóż téj pieśni taki przywiléj nadaje? Oto prawda, — prawda, która tu pełnym tryskiem wybija do góry. Ogłuszeni i oćmieni szumną, błyskotliwą, pół-szaloną, pół-zagadkową literaturą nowszych czasów, doznajemy tu wrażenia, jakie ma człowiek odurzony widowiskiem ogniów sztucznych, kiedy jaskrawe bańki pękną i dymy opadną, a wysoko w górze jasne gwiazdy zaświecą. Prawda, w rodziméj swéj prostocie a przejrzystości, oto pierwszy głos, który się wyrywa z piersi uradowanemu czytelnikowi niniejszego poematu. Chociażbyśmy nawet nie znali owych czasów, czujemy że to obraz z serca przeszłości żywcem wyjęty. Jest on ogólno-narodowy i miejscowo-odrębny, wzniosły i pospolity, uroczysty i powszedni, tkliwy i rozśmieszający, jest razem komedyą i tragedyą, zgoła jest tém, czém jest życie. Ten to płomień życia stawia go nam przed oczy jakby scenę dobrze już znaną, gdzieś — obok nas, w rodzinie naszéj zdarzoną. Ztąd trudno na razie poznać, ile w nim sztuki i oryginalności. Zrzędna krytyka może wskaże na podobieństwo z *Panem Tadeuszem*, albo nawet z *Domkiem mojego dziadka* Ignacego Chodźki. Gdyby i tak było, cóż to dowodzi? jeźli nie téj wszystkim naszym pisarzom wspólnéj cechy, że starając się jak najwięcéj z przeszłości uratować i dążąc do tegoż samego celu, na jednych częstokroć spotykają się drogach. Jeźli autor na ogólném tle narodowém to dla Wielkopolski uczynił, co Mickiewicz dla Litwy, to nie godzi się go pomawiać o naśladownictwo, ale raczéj w różnicach śledzić oryginalności, a w podobieństwach nowy dowód, że do jednolitego należąc narodu, jedne mamy potrzeby, jedne uczucia, i na jedne natrafiamy pomysły.

Bogactwo szczegółów jest tu tak wielkie, iż jak to poniżéj powiemy, niejako gnębi całość ciężarem swoim. Atoli każdy szczegół pojedynczo wzięty do tego stopnia doskonałości wprawna wyrobiła ręka, że już sam w sobie stanowi ważny literatury nabytek. Każdy z nich zadziwia delikatnością pędzla a starannością wykończenia. Delikatność ta przecież nie przechodzi nigdy w niewieścią wykwintność, ani wykończenie w drobiazgowość. Styl jest jasny, dobór wyrazów doskonały, zwroty mowy najszczęśliwiéj pochwycone, przysłowia zawsze w porę użyte, wiersz pełny ogłady, ale męzki i daleki od pieszczotliwego wymuskania. Dowcipu wszędzie aż do

zbytku, ale nigdy on się w żart nie przeradza, a wesołość zawsze się w porę umie zatrzymać na granicy rubaszności. Łatwość wreście i potoczystość tak tu wszelką ukrywa sztukę, iż zdaje się przeczyć dewizie przez autora przyjętéj: Difficile est proprie communia dicere.

Co jednak uważamy za najcenniejszą w autorze zasługę, to ten szereg wizerunków którym wzbogacił naszą galeryą narodową. Klucznica, Podstarości, Rejentowa, Kubuś, Półkownik, są to oblicza, które raz ujrzawszy niepodobna zapomnieć. Cóż dopiero rzec o téj górującéj postaci Dziadka? Jeźli miecznik Malczewskiego jest ideałem szlachcica polskiego w uroczystéj chwili, to Dziaduś pozostanie wiernym onego obrazem w powszedniéj życia kolei. Śmiejemy się z niego, lecz im więcéj się śmiejem tém więcéj go kochamy. Nic dziś u nas pospolitszego jak ubieganie się pisarzów za humorystycznością, któréj wcale nie pojmują; bo na jéj miejsce kładą dziwactwa i groteski. Tymczasem ona jest czémś zupełnie odmiennèm. Dowcip może być często złośliwym, humorystyczność musi być zawsze dobrotliwą. Tamten poniża, ta podnosi. Tamten bawi się szyderstwem, karykaturą; ta używa połysku dobroduszněj śmieszności, by tém wydatniéj odbić szlachetniejsze człowieka przymioty. Waży się ona co chwilę między tkliwym uśmiechem a łzą bez goryczy. Uśmiechem łzę rozpromienia, a łzą znowu całą truciznę śmiechowi zabiera. Najznamienitsi téż w tym rodzaju pisarze angielscy byli ludźmi najdrażliwszego uczucia. Literatura nasza mało posiada wzorów, któreby odpowiadały prawdziwéj humorystyczności. Dziaduś niezawodnie zajmie naczelne między niemi miejsce.

Wszystkie powyżéj wymienione zalety odnosimy wyłącznie do szczegółów i pojedynczych rysów, którym najostrzejsza krytyka zaledwie kilka małoznacznych skaz zarzucić zdoła (1). Ogólnemu układowi bezwzględnéj pochwały udzielić nie możemy. Są w nim uchybienia i niedostatki, które ujść uwagi naszéj nie mogą, aczkolwiek dostrzedz się dają dopiero po ochłonięciu z pierwszego wrażenia. Zdanie nasze w téj mierze wynurzymy z całą otwartością, z którą rozstrząsamy wszelkiego rodzaju prace, a dla takiego rzędu poetów, jakim jest autor *Dworca*, godzi się wystawić najwyższą miarę doskonałości.

Nic nie ma trudniejszego dla poety, jak, że tak powiemy, optycznie wymiarkować budowę swego dzieła. Im talent jego jest płodniejszy, im większa obfitość myśli i obrazów, tém zadanie na więcéj napotyka przeszkód. Musi on częstokroć bronić się przeciw najcelniejszym swym przymiotom, poskramiać swój zapęd, trzeźwić porywczość, a jeźli da się im unieść,

(1) W obec tak znamienitego utworu, nie przystoi wszelka drobiazgowa krytyka. Tak jednak mało jest tu uchybień, czy co do języka, czy co do stosowności wyrażeń i obrazów, że od razu wyliczymy wszystkie, które nas w tak poprawnym pisarzu uderzyły. Nie mówi się *tych przysmak*, ale *tych przysmaków*, bo pierwsze mogłoby tylko pochodzić od *ta przysmaka*, co jest jedynie prowincyonalizmem wielkopolskim. W jednym wierszu znajdujemy *myśl w śnie starców marzy*, w drugim *dawne czasy marzył*. Człowiek marzy o czemś, nie zaś coś marzy w człowieku; coś może go tylko rozmarzyć. Co do stosowności wyrażeń, zdaje się nam, że *dzieciny jak bobrzęta płaczą* nie jest na swém miejscu w tak przerażającéj chwili, jaką autor wtedy maluje. Jeszcze więcéj rażą w ustach tak potulnéj i delikatnéj istoty jak Ewunia tyle twarde słowa: *Pluje na grób ojczyzny kto w jéj smutku skacze.* Przytém wspomnieć wypada, iż autor najczęściéj wystawia pobożność tylko z powierzchownéj, że tak powiemy machinalnéj strony, a kapłanom daje za nadto miejsca u stołu, za mało w uroczystych zdarzeniach. U niego, kto się żegna przed biesem? dewotki; — gdzie mowa o jeżdżeniu i butelce, wnet jako wtór niezbędny zjawia się jakiś ks. proboszcz lub ks. kustosz, — a kto się modli, to zaraz i drzymie.

otworzy przed nami nowe obszary i przekroczy granicę należną jedności pierwotnego pomysłu, to już nieubłagana konieczność nakazuje mu wypełnić to szersze koło z odpowiednią początkom starannością, bo inaczéj nie tyle sprawi zadowolnienia wykończonemi częściami, co zawodu próżnią dostatecznie niezajętą. Nadaremnie wymawiałby się, że nigdy nie miał tak rozległego zamiaru. Sądzonym będzie nie wedle tego co chciał, lecz wedle tego co mógł zrobić, osobliwie kiedy o możebności dalszego rozwoju sam w nas swemi wycieczkami zrodził głębokie przeświadczenie. Wszelki wzniosły pomysł jest taką potęgą, że nietylko słuchaczów ale i własnego twórcę czyni swym niewolnikiem. Autor nie może bezkarnie porzucić go w połowie, zwłaszcza gdy sam okazał że to tylko połowa. Nie uchodzi mu, jak uchodziło Radziwiłłowi z wielkim jak wozowe koło dukatem, błysnąć nam w oczy swym skarbem, a potém targować się z wznieconemi nadziejami, i wreście odejść bez okupu. Rad nie rad winien on na zdawkową przebić go monetę, by uczynić zadość poruszonym w czytelniku pragnieniom. *Struna mi pękła*, albo *Słuchaczu, dośpiewaj pieśń mą w twéj duszy*, jest spospoliconą wymówką niecierpliwych lub niedojrzałych jeszcze talentów.

Obu tych niebezpieczeństw nie uniknął autor niniejszego poematu, bo wpadł i w rozrzutność, ktora mu nie dozwoliła zachować pomysł w pierwotnéj pojedynczości, i w zbyteczną wstrzemięźliwość, która następnie, gdy się rozwinęły przed nim daleko obszerniejsze przestrzenie, przeszkodziła mu do wypełnienia ich obrębu. Ztąd główne wady w rozporządzeniu całego obrazu. Brak mu perspektywy. Większy rozmiar i barwa żywsza odznacza zrazu wszystkie wypadki i osoby. W miarę jak wypadki potężnieją, a wśród nich i ludzie, skala zwęża się a koloryt blednieje. Znać, że autor przed rozpoczęciem nie narysował sobie planu, ale że jego poemat z małych początków rósł, mnożył się w przydatki, aż w końcu rozciągnął się w nieoznaczony przestwór. Znać także, że poeta nie zstępował z ogółu do szczegółów, lecz pojedyncze zarysy starał się w jeden skład zestawić. Z tych powodów poemat jest albo za krótkim albo za dlugim. Nie dostaje mu téj swobody i przestronności, która tyle wdzięku Panu Tadeuszowi użycza. Autor widocznie gwałt sobie zadaje, nie ufa swym siłom, nie chce poddać się pędowi, w który go rwie wzmagająca się a rozwijająca potęga i rozległość akcyi. Szeroko z początku płynąca powieść, rozbija się w dalszym postępie na urywkowe spadki i naostatek gubi się gdzieś w głębi podziemnéj, dając znać zaledwie kilkoma rozłamanemi jęki, że nurtuje przez skały i już się na wierzch wydobyć nie może. Ułamkowość podobna jest wprawdzie cechą utworów Byrona i jego naśladowców, ale Byron wybierał po temu przedmioty, słynie téż z marnotrawstwa, nie zaś z oględnego szafunku swych darów. Wojna po drugim podziale, uwięzienie Dziadka, śmierć jego, oto główne dla czytelnika wypadki. Reszta wydaje mu się tylko wstępem, przygotowaniem. Im przeto staranniéj urządzoném widzi to przygotowanie, tém goręcéj pragnie by akcya naczelna odpowiadała przyborom, a tego tu nie znajduje. Poeta baczny na jedność pomysłu, byle chciał, zawsze się może w porę zatrzymać i zamknąć coraz odleglej roztaczające się przed nim horyzonty. Niechby sięgnął pamięcią do pierwszego natchnienia, a tam zawsze odkryje rodzimą okrągłość swego pomysłu. Ośmielimy się mniemać, że obraz ten byłby wiele zyskał, gdyby rzecz cała kończyła się na śmierci Dziadka w chwili w któréj przychodzi wieść o rozbiorze ojczyzny, albo, co najdaléj, w owéj scenie, gdy pierwszy Niemiec wkracza do dworca. Uwięzienie starca i zgon jego, powstanie Kościuszki, trzeci rozbiór Polski, wojny napoleońskie, wszystko to otwiera przed nami tak rozległe widnokręgi, że coraz bardziéj wytężająca się źrenica doznaje zawodu, gdy po tłumném wprzód widowisku znachodzi pod obszer

niejszém niebem pustą i ledwie zarysowaną okolicę. Raźno wzniecony, a wnet potém skrępowany zapęd, staje się tu podobnym do uczuć Dziadka, kiedy ten dosłyszawszy dział dalekich grzmienie, biegnie, pragnie wyskoczyć, woła, pląta się w więzach i głuche tylko napotyka mury.

Skoro należny stosunek między częścią komiczną a tragiczną ściśle wymiarkowanym nie został, zasnucie związku i przejście z jednéj do drugiéj stało się niesłychanie trudném. Jakoż dwie te połowy uderzają swą odrębnością, zdają się odpychać nawzajem, odpaczać od siebie. Miasto łagodnego przejścia znajdujemy gwałtowny przeskok. Cały poemat jest jakby na dwa tempa, że użyjemy wyrażenia którém Mochnacki tak dobitnie ocenił rewolucyą z 1831 r. Któżby dziś śmiał przeczyć téj potędze, która tkwi w kontrascie? Ale te przeciwne sobie żywioły winny się kojarzyć, splatać i spływać w jedną harmonijną barwę. Romansom tylko i melodramatom przystoją przestrachy, przerażenia wynikające z nagłych a żadném ostrzeżeniem niezapowiedzianych wypadków. Równiejszą, zgodniejszą przędzę wije poemat. Poranek doby w któréj poeta zamieszcza swój dramat, może być najpogodniejszym; ale niech wcześnie na widnokręgu ukaże się choćby okiem ledwie dostrzeżona chmurka, jeźli dnia schyłek ma burza zamroczyć. Szekspir, niezrównany mistrz w tym rodzaju, poczyna często od wesołości, lecz zaraz na wstępie uderza gdzieś jakby mimochodem w jęk, który na ostatku zagrzmi piorunem. Tu zaś przez większą połowę aż do przerwy, nic naszéj uciechy nie miesza, nic obawy nie wzrusza, nic nas nie ostrzega że nadciąga burza: grom jakby z pogodnego nieba uderza. Nie wiemy, nie domyślamy się w jakich czasach żyjemy. Wśród téj wesołéj drużyny nie ma ani jednéj posępnéj twarzy, ani zadumanego czoła. A przecież to była wielka, ziemię polską do głębi wstrząsająca epoka Trzeciego Maja. Dziaduś usuwa się od świata, żyje samotnie, coś zamyśla, wypoczywa przed czémś wielkiém, jak dąb co na zimę w głąb swe ściąga soki, by większém z wiosną życiem wystrzelić. Tu było miejsce do zaniepokojenia nas, do napomknienia jak brzemienna w wypadki ciąży nad nami atmosfera. Wychodzi wreście na jaw przyczyna téj samotności i rozmyślań starca. Czy jaka sprawa narodowa, czy jakie przeczucie nieszczęścia wiszącego nad krajem? Bynajmniéj. Powód jedyny: przygotowanie do wesela krewniaczki. Wypadek to za mały na tak wielką w starcu odmianę. Kiedy więc gwałtowny cios spada, struchlały czytelnik czuje prawie urazę do autora, że mu się dotąd tak swobodnie i bezpiecznie kazał oddawać wesołości, żadną nietrzeźwionéj trwogą.

Czuł sam autor że komiczności dał za nadto prymu nad tragicznością; wyprowadziwszy więc rząd jowialnych charakterów na roskoszne promienie południowego słońca, — daléj po nad nich wyniosłszy postać Dziadka, już w pół-świetle, pół-cieniu postawioną, — jakby dla równowagi zarysował jeszcze wyżéj i skrył w saméj mgle pomroku rozwiewny obraz Ewuni. Tak ją jednak nikłe przedstawiają rysy, że trudno nam jéj przyswoić sercu naszemu. Przywiązujemy się do niéj przez Dziadka, dla Dziadka, nie zaś dla niéj saméj. Wyjąwszy téj strony, jakaś próżnia w koło ją otacza. Nawet młodzieńca, z którym ma wejść w śluby, autor ani razu na scenę nie wyprowadza. Nie wiemy kim jest, czy godny jéj miłości, jakie związki łączą go z Dziadkiem? Czytelnik wpada na domysł że to syn, że wnuk, a nigdzie objaśnienia nie znajduje. Nie można o nim powiedzieć jak o obrazie Kassyusza: sed praefulget eo ipso quod non videtur. Owszem, zaćmiony, na bok całkiem usunięty, nietylko sam w niczém się nie przykłada do akcyi — a w nim właśnie mogła była wystąpić młodzieńcza godność i przeczucie smutnych kraju losów — ale jeszcze odbiera połowę interesu, jaki chcielibyśmy powziąść dla Ewuni. To jéj niedopełnienie sprawia, że ani podzielamy jéj szczęścia, ani pojmujemy dotkliwie ofiary, kiedy

ślub odkłada. Znać téż widoczny w autorze kłopot co ma z nią w końcu uczynić. Śmierć jéj nie jest ani potrzebną, ani stosownie wprowadzoną. Ten śpiew za sceną, ten wystrzał, za nadto przypomina wszystkie trzecie akty oper nowoczesnych. Zresztą, postać Ewnni tak blado, tak mglisto nam się w całym ciągu objawiała, że gdy grot morderczy przeszywa ją, nie konamy jéj zgonem, ale patrzymy jakby na cień nagłym wiatru podmuchem rozwiany. W ogóle autor zbywa katastrofy zbyt skąpemi rysami. Już i tak przepych dekoracyi zaćmił, zdrobnił aktorów stojących u przodu. Wydają się oni być tą maluczką rzeszą, którą biegli pejzażyści ożywiają swe krajobrazy. Gdy jednak pomimo tego obudza się w nas żywy ku nim interes, pragniemy przynajmniéj dobitnie poznać wzajemną między nimi zależność i skład całéj rodziny. Ciekawość to prozaiczna, ale naturalna i konieczna. Tymczasem autor zbyt mało się troszczy o jéj zaspokojenie. Nie dostaje nam kilku niezbędnych ogniw w tym rodzinnym łańcuchu. Wnuk wspomniany na samym wstępie, nim się jeszcze dworzec otworzył, a tak ogólnie że nie wiemy czy to rzeczywiście mowa o wnuku *naszego* Dziadunia, niknie w dalszym ciągu, i dopiero zjawia się na końcu już jako legionista. O dzieciach, synu lub córce Dziadka nie ma w poemacie najmnieszéj wzmianki. Znamy wszystkie szczegóły we Dworcu, znamy *Naparstek* i *Syndyka*, a żadnego śladu o potomstwie Dziadunia nie znachodzimy. Cóż się z nimi stało? Jeźli żyją, to nieodbicie należy im się choć cząstka czułości, którą Dziadunio tak szczodrze daje Ewuni. Jeźli wymarli, to autor powinien był im poświęcić choć kilka łez z tylu tak obficie przez Dziadka za Chorążyną ronionych. Niezajęte więc miejsca, a wskazane niezbędną loiką wszelkiéj zaokrąglonéj powieści, osłabiają spoistość i mnożą przerwy już i tak liczne w tym poemacie. Atoli, ilekroć z osobna weźmiemy którykolwiek z ustępów, to jasno widać że autor był na drodze do zaspokojenia wszystkich życzeń naszych. Jakaś powściągliwość, która ma skarby a pochlubić się niemi nie chce; zbytnia nieufność w siły w obec tak potężnie wywołanego przedmiotu; gwałt zadany natchnieniu wyrywającemu się z piersi coraz pełniejszemi tony: oto, — powtarzamy by powrócić do ogólnego stanowiska skąd wyszliśmy, — główne powody dla czego nie dociągnął do wysokiéj miary obudzonych w nas nadziei. Prowadzeni tém przeświadczeniem, odkryliśmy tu liczne niedostatki. Tém bardzéj one raziły nas i mnożyły się, im więcéj przywięzywaliśmy się do przedmiotu i celniejszych ustępów. Położyliśmy na nie tak silny nacisk, bo zarazem wzrastała w nas otucha, że autor łatwo może naszą literaturę udarzyć dziełem jeszcze większego rozmiaru i doskonalszego wykonania. Ma ku temu wszystkie środki, ma imaginacyą, siłę, tkliwość, a przedewszystkiém żywe uczucie prawdy. Niechby tylko swobodnie powierzył się tym przymiotom, a prąd ich poniesie go może tam, gdzie nawet w pierwszych rojeniach młodości oko jego nie sięgało. Pogrzebaliśmy Dziadka z drugim podziałem Polski, niechże teraz syn nas poprowadzi na kościuszkowskie boje, a wnuk za zwycięzkiemi orły Napoleona. ***Wizyta w Sąsiędztwo*** powiodła poetę do ***Dworca***, niechże ten Dworzec rozemknie się dla nowych gości, niech obszerniéj obejmie społeczeństwo polskie z całym orszakiem trudów, długich boleści, krótkich pociech, a niepokonalnych nigdy nadziei. Nowych postaci podostatkiem dostarczą mu dzieje, przywiodą własne wspomnienia, napomkną nawet niezapełnione szeregi niniejszego poematu. Miejsca stanie dla wszystkich, byle tylko gospodarz drzwi i serce otworzył. Wszakżeż to o takim dworcu wielkopolskim mówi inny poeta:

Dom nie wielki — wtém gość wchodzi,
Ot i domek się rozszerzył:
I wnet miejsce gdzieś się rodzi;

Przybył drugi i dziesiąty,
I nic ciasno już nikomu,
Coraz szerzéj w małym domu,
Zda się, że pan domu sobie
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,
A on tylko w domu tobie,
Drzwi i serce swe otworzył.

ODPOWIEDŹ NA KRYTYKĘ PARAFIAŃSZCZYZNY *w Przeglądzie Poznańskim.* Poznań, w drukarni A. Wojkowskiego, 1850.
OCENIENIE PARAFIAŃSZCZYZNY LESZKA, przez *Wincentego Ostrogskiego.* Budyszyn, czcionkami K. G. Hiki, 1850.
PAMIĘTNIK LITERACKI, *pismo tygodniowe.* Lwów. 1850. (*Artykuł O najdawniéjszych zabytkach pisemnych*).

Pisma szkoły Kijowskiéj, — z wielu stron podobne do *Parafiańszczyzny,* ale pod względem miejscowości stokroć od niéj niebezpieczniejsze, — nieco zatarły jéj autora w pamięci naszéj. Tymczasem wciąż on dopomina się o uwagę, wciąż wyzywa do boju, to osobnemi broszurami wprost przeciw *Przeglądowi* wymierzonemi, to znów podjazdowemi zaczepkami w artykułach *Pamiętnika Literackiego.* Niechaj więc stanie mu się zadosyć.

Naprzód jednak wspomnieć wypada iż sposób, w jakim z nami polemizuje, mógłby nas uwolnić od obowiązku odpowiadania. Kto twierdzi, że zakazanie *Przeglądu* przez Austryą jest dowodem życzliwości téjże Austryi dla Polski; kto sobie pozwala wyrażeń jak: *śmieciska Przeglądu Poznańskiego,* ten nietylko odkrywa całą wątłość swéj sprawy, ale nadto sam sobie zamyka wstęp do szranek, w których jedynie odbywają się spory ze czcią dla prawdy, z pożytkiem dla kraju, a bez uszczerbku osobistéj walczącego godności. Przywykli do niezważania na pociski podobnego kalibru, chętnie zrzekamy się wszystkich przywilejów wyższości, którą nam autor takowém postępowaniem w oczach opinii publicznéj nadaje. Czego nie wolno nam równie pobłażliwą pominąć wzmianką, to innego jeszcze ze sposobów przeciw nam przez autora używanych; bo sposób ten, acz osobiście dlas nas obojętny, niezmierną krzywdę ogólnemu charakterowi polskiego piśmiennictwa wyrządza. Autor do sporu z nami pod coraz inszém mianem, pod coraz inszą firmą, coraz to z odmiennėm godłem i przyborami występuje. Nie przeczymy, iż w tak smutnych okolicznościach krajowych jak obecne, nie brak pisarzom słusznych powodów do zakrywania swych nazwisk. Zdaje nam się przecież, że ci, którzy tak śmiało ciskają się na osobistości, którzy tak bezwzględnie jak autor *Parafiańszczyzny* wyrzucają całéj jednéj klasie swych rodaków najhaniebniejsze zepsucie, powinniby uczuć, że dopiero wtedy dadzą świadectwo prawdzie, dopiero wtedy rzetelne okażą męztwo, gdy występując jawnie z odchyloną przyłbicą, pozwolą raz poznać publicznemu sądowi zacność a wiarogodność osobistą, i charakter oskarżającego z charakterem oskarżonych na szali położą. Brak jednak cywilnéj odwagi, tak jeszcze u nas powszechny, nakazuje nam wyrozumiałość w tym względzie aż do ostatecznéj granicy. Stanowczo przecież twierdzimy, iż granicę tę daleko przekracza autor, który za każdém wystąpieniem albo nowe przybiera nazwisko, albo w pisaniu używa wszelkich sposobów, by wmówić w czytelników, że nie on sam, lecz kto inny w jego sprawie przemawia. Wygodny to zaiste byłby wynalazek i dla niepohamowanéj żądzy sypania pochwał sobie samemu, i dla utrudzenia walki przeciwnikom, i wreszcie dla pomnożenia jednostki w po-

ważną liczbę; ale czy jest godziwym, czy nie przynosi skazy piśmiennictwu naszemu, to niech sąd opinii publicznéj rozstrzygnie. Do nas należeć będzie wskazanie faktów, na których w obecnym przypadku sąd ten zdoła całą rozpoznać sprawę. W Dzienniku Lwowskim przed kilkoma laty ukazał się krótki ustęp pod tytułem *Parafiańszczyzna.* Wnet potem wyszedł w Wrocławiu pierwszy tom dzieła pod tymże napisem. W przedmowie autor wychwala ów ustęp jako wielce zajmujący; powiada, że *krzywdą byłoby dla kraju i piśmiennictwa, gdyby pomysł tak szczęśliwie poczęty uwiązł w samych zawiązkach,* prosi o przebaczenie swego mistrza, że *pozwala sobie pomysł jego pochwycić, i daléj w tymże samym duchu obrabiać,* a za natrącenie sobie pierwszych myśli i nawet planu całego *publiczne składa podziękowanie.* W roku 1850 ukazuje się w Poznaniu tom drugi. Na tytule występuje imie, a raczéj część nazwiska tak wychwalonego w przedmowie do tomu pierwszego. Dobroduszni a łatwowierni czytelnicy wnieśli ztąd zapewnie, że autor tomu drugiego mógłby być tą samą osobą, co pisała ów pierwotny ustęp w Dzienniku Lwowskim, ale żaden z nich nie przypuszczał, iżby tom drugi miał pochodzić z pod tego samego pióra co tom pierwszy, boć przecie żadna potrzeba skrytości nie upoważnia nigdy do uwielbiania siebie samego w sposób tak zuchwały. My jednak tyle łatwowiernymi nie byliśmy. W krytyce *Parafiańszczyny* wytknęliśmy między innemi wykroczeniami tę właśnie nierzetelność, naganną w każdym pisarzu, cóż dopiero w tym, który z taką gwałtownością powstaje na nieszczerość wielkiego świata, i z niéj najposępniejszy obraz charakteru narodowego wysnuwa. Na krytykę naszą otrzymaliśmy trzy odpowiedzi. W żadnéj z nich nie ma najlekszego zaprzeczenia naszemu zdaniu co do tożsamości autorstwa. Owszem, cała sława wynalazku, rozwoju i dobroczynnego wpływu *Parafiańszczyzny* przyznaną jest dobitnie i wyłącznie jednéj i tejże saméj osobie. Przychodzi teraz zapytanie: czy i te trzy odpowiedzi do niéj nie należą? Wprawdzie pisarz broszury *O pismach czasowych poznańskich*, staje nie jako strona ale jako sędzia; głównie przecież zajmuje się obroną *Parafiańszczyzny* przeciw *Przeglądowi,* wszędzie przemawia jako indywidualnie dotknięty, aż w końcu zdradza się zupełnie dodając, iż *ten zwiódłby się bardzo, ktoby niniejszą rozprawkę uważał za odpowiedź na krytykę Parafiańszczyzny umieszczoną w Przeglądzie, gdyż odpowiedź ta nastąpi w właściwém miejscu i w przyzwoity sposób.* Jakoż wyszła z druku niebawem ta zapowiedziana *Odpowiedź.* Lecz i tu jeszcze nie uznał autor za rzecz przyzwoitą spojrzeć nam śmiało w oczy. Lubo wciąż występuje jako obżałowany, wypiera się w domówieniu wszelkiéj styczności z *Parafiańszczyzną.* „Sądzę (mówi) iż od„powiedziałem dostatecznie na wszystkie zarzuty uczynione autorowi Para„fiańszczyzny. Jemu samemu zostawiam dalsze rozwijanie przedmiotu, i spo„dziewam się, że w trzecim tomie to zrobi. Gdyby nie zrobił? ha! to go „zastąpię.“ I oto, jakby w tém zastępstwie, zanim wyjdzie tom trzeci, zjawia się w Budyszynie nowa replika pod tytułem *Ocenienie Parafiańszczyzny,* częścią panegiryk na temat, że *autor Parafiańszczyzny stanowi w prozie polskiéj taką epokę jak Mickiewicz w poezyi,* niby ocenienie a iście ciąg dalszy przedmowy tomu pierwszego, częścią te same co dawniéj przeciw naszym przekonaniom wycieczki, a urozmaicone powieścią o *śmieciskach Przeglądu.* Co do artykułów w Pamiętniku Literackim, winniśmy przyznać tę zaletę autorowi, że choć daléj rozwija poczęte w *Parafiańszczyznie* teorye, choć nawet w tym celu zaszedłszy aż do Indyi wynosi z głębokich poszukiwań w Wedach zwykłe na *Przegląd* pociski, to przynajmniéj tą razą całe nazwisko na czele wypisuje. Z tego wszystkiego dowodnie okazuje się, iż albo za całym tych pism szeregiem stoi jeden autor, albo kilku, lecz tak ściśle z sobą połączonych, że każdy z nich niewolniczo odnosi się do jednego wzoru, daléj rozrabia te same myśli, ten sam styl i zasób nauki

posiada, podejmuje wszystkie zamiary, skłonności i wstręty swego naczelnika, zna jego tajemnice, wie co, kiedy i jak ma on ogłosić. Jakikolwiek może być wyrok publiczności, dla nas, równie jak dla wszystkich posiadających przez długie i uważne czytanie niejaką wprawę odgadywania autorów ze sposobu rozumowania i ze stylu (a każdy zdolniejszy pisarz właściwą sobie wyrabia formę), żadna wątpliwość w obecnym nie zachodzi przypadku. Autor zanadto ma zawziętości i — czemużbyśmy wyznać nie mieli? zanadto talentu, by się ukryć zdołał. Niech zaprzeczy, byle tylko dobitnie, a my przyjmiemy jego słowo, zostawiając przyszłości wydanie sądu czyśmy się mylili. Lecz niech się nie ucieka do wybiegu, jak to już raz uczynił twierdząc, że *Przegląd* czyni tym sposobem *odkrycie, z którego w tysiącznych wypadkach policya może korzystać.* Odpowiadamy: 1) że jeźli świadectwo nasze ma jaką wagę u publiczności polskiéj, to pewnie żadnéj nie posiada u władz austryackich; gdyż władze te, przez dotąd trwający zakaz *Przeglądu*, dają wciąż, według słów autora, dowody swéj życzliwości dla Polski, a zatém zeznań naszych przyjąć nie powinny; 2) że nigdy nie zaczepiamy uczuć i wyobrażeń jego jako poddanego Austryi: 3) że spór z nim ograniczamy do sfery czysto religijnéj i moralnéj, a jeźli niekiedy o politykę zahaczamy, to jedynie wtedy, gdy się trudni społeczeństwem polskiém, samém w sobie, niezależnie od stosunków z dzisiejszemi rządami; 4) że autor, który miasto na obcych ciemiężycieli przeciw własnym głównie powstaje rodakom, żadnéj obawy prześladowania mieć nie powinien. Daremno więc chciałby politycznemi względy literacką odpowiedzialność zasłonić. Gdyby podobna reguła przyjętą została, byłoby niepodobieństwem prowadzić najdrobniejszego sporu. Wtedy i my mielibyśmy prawo oskarżyć autora o podawanie nas w podejrzenie u istniejącéj władzy, kiedy nam przypisuje, że podstępnie używamy katolicyzmu za środek polityczny przeciw protestanckiemu rządowi. Zgoła, podobnym wybiegiem nikt nikogo nie uwiedzie. Wolno autorowi zakryć swe nazwisko, ale nie uchodzi co chwila go zmieniać, nie wolno mu grać komedyi ***siedem razy jeden.*** Sumienna rzetelność nawet między anonimami może i winna być ściśle zachowywaną (1). Inaczéj powstałoby niesłychane zamieszanie pod już i tak ściemnionym horyzontem sporów naszych. Walka stałaby się nierówną, wygrałby zawsze podstępniejszy. Gdybyśmy n. p. uwierzyli upewczeniom każdego z pism wymienionych, autor *Parafiańszczyzny* stałby się dla nas nieujętnym. Byłby wszędzie i nigdzie. Mielibyśmy w nim razem stronę, rzecznika i sędziego. W sporze więc z takim Proteuszem nie pozostało nam nic innego, tylko albo całkiem polemiki zaniechać, czemu przeciwił się nasz obowiązek, albo wszystkie te pisma złożyć w całość i wykazać z nich jedność założenia, środków i celu. Obraliśmy tę ostatnią drogę w silném przekonaniu, że nawet w razie pomyłki co do pojedynczości autora, służyłoby nam zawsze prawo uosobić w *jednym*, bezimiennych a tak solidarnie przeciw nam połączonych zapaśników. Jak przedtem, tak i teraz, chodzić nam będzie więcéj o wyłuszczenie niż o zbijanie pomysłów przeciwnika. Na nagłówku położyliśmy tytuły wedle czasu, w którym te pisma nas doszły. W następującym poniżéj wykładzie pozwolimy sobie na odwrót zmienić porządek, a to z przyczyny, że autor w ostatniéj pracy zaczepia kwestyą w trybie loicznym poprzednie trzymającą miejsce.

---

(1) Równie ustalonym zwyczajem pism peryodycznych upoważnieni, jak znagleni miejscowemi okolicznościami, osądziliśmy, że nam wolno nie odkrywać nazwisk naszych. Występujemy jednak zawsze pod jedném godłem, i za wszystkich współpracowników, wyjąwszy przypadków wyraźnego ostrzeżenia, do jednakiéj poczuwamy się odpowiedzialności. Względem autora *Parafiańszczyzny* chcielibyśmy tę odpowiedzialność jak najobszerniejszą uczynić. Jeźli przeto zechce, to skoro nam wskaże prywatną drogę godną zaufania, chętnie wymienimy mu nazwisko osoby która w *Przeglądzie* trudni się recenzyą prac jego.

I. Jeźli w obec nawet tak wielkiego zwątlenia, rozbicia sił a zamętu w pojęciach, jakie Polska dziś przedstawia, postępowi pisarze nasi wstrzymać się nie mogą od wprowadzania coraz większéj liczby spornych żywiołów przez porywcze chwytanie lada idei za granicą powstałéj; to przynajmniéj godzi się od nich wymagać, aby nie wskrzeszali pomysłów powszechnie już tam potępionych i zapomnieniem pokrytych. Chciwie przyjmujemy każdą teoryą od zachodu wiejącą, bierzmyż przeto razem i doświadczenie zachodu, nie dawajmy gościnności temu, co tam bezkwietnie i bezowocnie zmarniało, albo po chwilowym wzroście upadło, nie zostawiając nic po sobie, jedno żal za straconym czasem, żal poniesionych strat i ofiar, i zdziwienie nad łatwością z jaką często ludzie na chwilę omamić się dają. Tymczasem piśmiennictwu naszemu coraz widoczniejsze zagraża niebezpieczeństwo, iż stanie się szerokiém polem, na którém wszystkie fałszywe, wszystkie zgubne systemata, wszystkie wyśmiane gdzieindziéj dziwactwa na nowo odegrają swą rolę. Któżby naprzykład zdolnym był przypuścić, że w obecném położeniu Polski znajdzie się pisarz, który zechce wywoływać z grobu przebrzmiałe we Francyi teorye Volneya i Dupuis, podając je jakoby nowe jakie odkrycie? Tak się jednak stało. Artykuł: ***O najdawniejszych zabytkach pisemnych***, nie jest niczém inném jedno usiłowaniem, z drugiéj ręki po Volneyu podjętém, aby okazać za pomocą badań w starożytnościach indyjskich, że naród żydowski nie był narodem wybranym do przechowania prawd pierwotnego objawienia, ale że wszystkie ludy wyrabiały w sobie pojęcia, mythy, tradycye, obrządki, z których mieszaniny powstała religia chrześciańska. Ta więc, według powyższéj teoryi, nie jest ani dopełnieniem starego zakonu, ani dziełem nowego objawienia wprost przez Zbawiciela przyniesioném; ale zręczną sztuką ludzką, która zdołała najpiękniejsze pojęcia po różnych stronach świata rozproszone w jedną ubrać całość i przeprowadzić jako religią, dopóki ktoś zręczniejszy powabniejszéj nie wynajdzie nauki. Autor nietylko nie przyznaje Hebrajczykom wyższego dostojeństwa, ale owszem przypisuje im niższość w porównaniu z Indyanami. Jeżeli Hebrajczycy nie rychło i nie w liczne podzielali się sekty, jeśli tak zwane nauki filozoficzne całkiem zaniedbywali, to dla niego nie jest bynajmniej wskazówką, iż to pochodziło z przekonania i powołania aby zakon Boży w czystości zachować, ale jest najoczywistszym dowodem, że oni byli ***gnuśniejsi w myśleniu i mniéj wolni***, gdy tymczasem Indyanie ***pracowali we wszystkich umiejętnościach i różnili się mnóstwem uczelni filozoficznych. Hebrajczycy*** (dodaje) ***przywłaszczyli sobie obcą mądrość i obce podania przekręcając je i unarodowiając; Indyanie zaś ograniczeni byli, o ile dziejom wiadomo, ściśle na własném.*** Gdzieindziéj znowu powiada: ***nie sam naród hebrajski był wybranym, wyłącznie bożym narodem, — tylko zupełna nieznajomość dziejów starożytnych, albo rozmyślna chęć zwodzenia mogą się dopuścić twierdzeń tak niedorzecznych, robiących z Boga sekciarza.*** Łatwo pojąć jakie ztąd autor wywodzi wnioski. Jeźli nie w myślach, to w zamiarach ścisłą konsekwencyą przyznać mu należy. Nie dziwimy się więc wcale, że ten, który w innych swych pismach stara się czysto rozumowemi powodami dowieść, że wszelki obrządek religijny jest zbytecznym, gdyż ***obieranie miejsc, oznaczanie godzin i form dla pobożności jest zupełném zapoznaniem jéj istoty***, — który już dziś, jak niżéj się okaże, zszedł do tego, iż zdejmuje wszelką odpowiedzialność z człowieka, a wszystko złe wprost na Pana Boga składa, — nic dziwnego, mówimy, że taki pisarz, wkroczywszy teraz na pole historyczne, usiłuje podkopać dziejową podwalinę Chrystusowego kościoła. Przewiduje on dobrze naszą odpowiedź, i dla tego obstających za nieprzerwanym ciągiem i jednością prawdziwéj wiary, a sprzeciwiających się takiemu

postępowi rozumu, któryby w każdéj religii cząstkę prawdy upatrywał, a nigdzie całéj nie uznawał, któryby z biegiem wieków, sam nie dopuszczając żadnéj wiary, na coraz inszą przyzwalał religią, autor zwie *wylęgłymi wstecznikami w kałużach chciwości i osobistych widoków.* Ich to mieni on nietylko nieprzyjaciołmi wszelkiéj wiedzy i oświaty, ale nadto bluźniercami, którzy równe rządy na świecie Bogu i diabłu poruczają. *Widząc* (dodaje on przy końcu) *uporne i zręczne zabiegi wrogów oświaty, którzy dla tego tylko zwiedzali uczelnie, nabywali nauk, ćwiczyli rozum, aby mogli rozumnie być głupcami, to jest aby zasłaniali się przyzwoitemi pozorami szerząc ciemnotę; przyszłoby nieraz przyznać dwoistą Opatrzność, jednakowość władzy i wpływów Bogu i diabłu, gdyby przegląd dziejów oświaty nie przedstawiał całkiem innego widoku jak Przegląd poznański, (pismo czasowe dziwnego nabożeństwa, bo mierzące wszystkie płody rozumu i umnictwa, jakoby rekruta, miarą swego krótkowiedzącego sekciarstwa).*

Na tych przytoczeniach moglibyśmy zamknąć rzecz całą, ale raz dotknąwszy tego przedmiotu, obowiązek względem czytelników nagli nas do powiedzenia słów kilku co rozumimy o poszukiwaniach w starożytnościach ludów wschodnich. Poszukiwania te nie są nam ani obce, ani obojętne. Dzieje się z niemi, co się dziać zwykło z wszelką nową umiejętnością. Niedouczeni, chwytając za pierwsze pozory, wysnuwają z nich dowody przeciw Pismu Świętemu. W miarę jak postępują badania, uczeńsi, choćby nawet nieprzyjaciele kościoła, przynoszą stopniowo odkrycia potwierdzające jego naukę. Najoczywistszym tego przykładem w naszych czasach jest geologia. Taką samą téż koleją rozwijają się poszukiwania, o których tu mowa. Już dziś najpoważniejsze w tym kierunku prace jednomyślnie zgadzają się na to, że jeźli znajomość obyczajów, historyi i filozofii ludów wschodnich posłużyć może, jak już nieraz posłużyła, do wyjaśnienia niektórych miejsc Pisma Świętego; — to nie zdoła ona na jaw wyprowadzić nic takiego, coby w czémkolwiek naruszało naukę kościoła; że jeden tylko naród żydowski przeznaczony był do przechowania pierwotnego objawienia w całości, i że religia Chrystusowa ma swe źródło w bezpośredniém objawieniu, dokonaném przez zesłanie na ziemię syna Bożego, nie zaś w wyobrażeniach wyrabianych po całym świecie, a tém mniéj w formułach jakiejkolwiek sekty pogańskiéj. Nie idzie za tém, abyśmy śmieli utrzymywać że filozofia grecka lub indyjska nie doszła do żadnych spostrzeżeń i odkryć, czy to w zasadach moralności, czy téż w badaniu istoty człowieka duchowéj. Pomykają one się nieraz aż pod same granice za któremi górują prawdy Boże. Zadumany Indyanin nad wspaniałemi rzekami swéj ojczyzny, wpadł na niejedną myśl prawdziwą. Ale nigdzie nie ma całości, nigdzie związku, nigdzie pierwotnego założenia, z któregoby się wszystko stanowczo i loicznie wysnuwało. Tu i owdzie znajduje się cząstka prawdy, tu i owdzie błąka się odgłos pierwotnego objawienia; ale to są jakby rozłamane i coraz wątlejsze echa dźwięku, który w pełności wieje tylko przez historyą i księgi święte wybranego narodu. Nie wstrzymywać więc ale naglić chcielibyśmy wszystkie podobne poszukiwania. Sumienność tylko i ostrożność zalecamy. Doświadczenie przeszłego wieku powinnoby stać się dostateczném ostrzeżeniem. Bawiono się w naznaczaniu Indyom i Chinom bajecznéj starożytności. Rozrzutność w chronologii doszła aż do śmieszności. Rachowano lata milionami. Dzisiejsza nauka zredukowała te uroszczenia na bardzo skromną skalę. Przytoczymy parę przykładów wykazanéj łatwowierności w innym oddziale. Sainte-Croix wydał pod tytułem *Ezour Vedam* dzieło, które na starożytny zabytek piśmienictwa indyjskiego nadzwyczaj uderzające okazywało podobieństwo do głównych zasad chrystianizmu. Skwapliwie za tę okoliczność pochwycił Voltaire. Cóż się okazało? Niebawem

znaleziono w Pondichery w bibliotece pozostałéj po jezuitach egzemplarz tegoż samego dzieła po sanskrycku i po francuzku napisany, a poszukiwania p. Ellis, rektora szkoły wyższéj w Madras, wnet doprowadziły do odkrycia, że autorem téj książki był uczony misyonarz Robert de Nobilibus, siostrzeniec kardynała Bellarmina, który ją ułożył w 1621 r. w języku i pod formą najprzystępniejszą dla krajowców, w celu rozprzestrzenienia między nimi zasad religii chrześciańskiéj. Inny przykład dostarczy nam religia tybetańska. Kiedy pierwsza wiadomość doszła do Europy o jéj kościołach, obrządkach, o jéj zakonnych stowarzyszeniach, wszyscy zdumieni zostali zbliżeniem onych do konstytucyi katolickich. Jedni starali się rozwiązać zagadkę przez przypuszczenie iż musiała się tam jakaś odpadła od kościoła sekta chrześciańska zabłąkać; drudzy, między którymi Volney (*Ruines*, str. 428. ed. paryska 1820 r.), stanowczo twierdzili, że teokracya Lamów dała początek religii chrześciańskiéj. Tymczasem Abel Remusat ogłosił z japońskiego urywek, zawierający dokładną historyą hierarchii Lamów. Zkądinąd wyszedł opis Tybetu, tłumaczony z chińskiego naprzód na język rosyjski, a potém przez Juliusza Klaprota na język francuzki, w którym również znajduje się niewątpliwie rzetelna historya tybetańskiego wyznania. Otóż oba te dokumenta dowodnie wskazują, że równie kapłaństwo Lamy, jak wszystkie urządzenia podobieństwo do chrystianizmu mające, powstały w tym kraju dopiero po podboju Tching-kis-khana i jego następców w XIII. wieku. Że zaś wiadomo jest, iż w owych czasach Nestoryanie obchodzili jawnie swe obrządki w środkowéj Azyi; że na dworze khanów bywało wielu zakonników włoskich i francuzkich z posłannictwami od papieża i od króla Ludwika Śgo, odprawowało obrządek katolicki z całą właściwą mu uroczystością nawet w obecności panujących, którzy im dozwalali zakładać kaplice w królewskim pałacu; że niektórzy z naczelników i książąt zostawali chrześcianami; że nakoniec był arcybiskup włoski, wysłany przez Klemensa V. (1305), który założył kościół w saméj stolicy Tybetu, — nic nie może być zgodniejszego z zdrowym rozsądkiem i z podanemi faktami jak wniosek, że tworząca się wtedy monarchia Lamów, razem polityczna i religijna, starała się jak najwięcéj przejąć od instytucyi, o któréj potędze tak zadziwiające od zachodu przychodziły wieści, a którą choć w części w uroczystych obrządkach lud miał sposobność podziwiać. Jeszcze inny przykład. Istniała w Chinach sekta, któréj założycielem był Laotsen. W naukach jego jest wiele przejętych od Platona pomysłów. Między innemi znachodzi się ustęp, w którym litery J. H. V. postawione są jako mistyczny znak Trójcy. Brzmi on jak następuje: „To czego szukasz, a znaleźć nie możesz, nazywa się J.; to „czego słuchasz, a usłyszeć nie zdołasz, zwie się Hi (litera H),; to czego „twa ręka szuka, a dotknąć nie może, zwie się Vei (litera V). Te trzy są „niezgłębione, a w połączeniu tworzą jedno. Pierwsze nie jest jasniejszém „ostatnie nie jest ciemniejszém. To wszystko jest kształtem bez kształtu „obrazem bez obrazu, jest nieoznaczoném jestestwem. Idź w górę, a nie „znajdziesz jego początku; zstąp na dół, a nie odkryjesz gdzie się kończy.“ Na tém odkryciu okrzyknięto Trójcę Stą za pożyczoną u sekty Laotsena. Lecz tu znowu przychodzi z swą nauką i bystrością krytyczną Abel Remusat. Dowiódł on, że te trzy litery są po prostu rozbiciem wyrazu Jehova, gdyż same w sobie nic nie znaczą w języku chińskim, a własności im nadane są dosłownie wzięte z wyobrażeń ludu hebrajskiego o najwyższéj istności. Tenże uczony okazał, że Laotsen przed ogłoszeniem swych nauk podróżował po zachodzie, że może był nawet w Palestynie, a choćby tylko dotarł do Persyi, to niewola Hebrajczyków w tym kraju dawała mu aż nadto sposobów do zaznajomienia się z niektórymi. Dziwnym zbiegiem okoliczności, w tymże samym czasie, to jest w szóstym wieku przed Chrystusem, podróżował po wschodzie Pythagoras. Ztąd być może, że Chiny i środkowa

Azya wiele użyczyły Grecyi, i zarazem wiele od niéj przyjęły. Lecz nie zachodząc zbyt daleko w te przypuszczenia, dość jest położyć za rzecz niezawodną, że ślady o pojęciach jakiejś trójcy, które znajdujemy czy to w nauce Laotsena, czy to w Platonie i jego uczniach Philonie, Proclusu i Sallustyuszu, filozofie, czy wreszcie w Wedach, osobliwie w owym ustępie z Upanishad przez Anquetila Duperrona z takim tryumfem i ironią cytowanym, są téj wątłéj natury, że gdyby przyjętemi były za świadectwo przeciw Trójcy Śtéj, to każde trójsłowo, każdy trójznak, każdy trójlistek mógłby starczyć za jéj pierwowzór, a trójka heglowska stałaby się rozwiązaniem jéj tajemnicy Te przykłady powinnyby każdego przekonać z jak nadzwyczajną oględnością w podobnych poszukiwaniach postępować należy.

Autor artykułu *O Najdawniéjszych zabytkach* nie tylko tych ostrzeżeń z przeszłości nie przyjął, ale owszem rzuca się na oślep we wszystkie twierdzenia, wywody, które posłużyćby mogły ku ochwianiu wiary, że religia Chrystusowa ma swój początek wprost w objawieniu od Boga. Węgielnym kamieniem jego teoryi jest, że ideę zasadniczą pojęć religijnych u Indyan, a zatem i główny Wed żywioł, stanowił monotheizm *równie czysty* jak w księgach mojżeszowych. Dla nadania tém większéj okazałości swemu twierdzeniu, przyznaje Indyi starożytność daleko głębszą od innych ludów, a Wedom naznacza epokę powstania nieskończenie dawniejszą od wszystkich innych zabytków piśmiennych, stawiając za rzecz niewątpliwą, że *umysłowe pomniki Indyan względnie do chronologii hebrajskiéj za przedpotowe uważać należy.* Nie stać tu nam miejsca na przytoczenie choćby cząstki tego, co przeciw takiemu mniemaniu Bentley, Jones, Klaproth, Wilfort, Tod i inni powiedzieli. Autor stawia pono najwyżéj Tomasza Colebrooke w badaniach starożytności indyjskich. Sam cytuje, iż ten uczony podaje jako ostateczny swych poszukiwań wniosek, że początek Wed nie sięga daléj jak 1400 lat przed Chrystusem. Cóż to znaczy? Oto że im brak najmniéj 200 lat do zrównania się w dawności z wiekiem mojżeszowym, i że zaledwie wtedy powstały, kiedy już w Egipcie sztuki i nauki doszły do zupełnéj dojrzałości. Profesor berliński Ritter, o którym można powiedzieć, że świat starożytny odbudował, odnosi początek filozofii brahmińskiéj do panowania Vikramaditii, to jest do stu lat przed Chrystusem. Na odwrót więc wszystkie rozumowania autora przemienić należy, i położyć to ku zasłudze ksiąg mojżeszowych, co on na korzyść Wed kładzie. Przystępniejszém jednak dla każdego będzie oznaczenie wartości dowodów, których autor, na wsparcie monotheizmu, u Indyan szuka po za obrębem historycznéj nauki, na pomnikach i zabytkach starożytnych opartéj. Przyznaje on, że w najdawniejszych ustępach Wed, to jest w modlitwach, wezwaniach i pieśniach, znajdują się ślady Fetyszyzmu, lecz dziwną i sobie tylko właściwą loiką wywodzi ztąd wniosek, że słuszniéj jest w podobnych wezwaniach do przedmiotów przyrodzenia upatrywać zarody dopiero nastać mającego Fetyszyzmu, niż ślady już będącego. Wedy więc dały początek ubóstwianiu przedmiotów natury. Lud je przyjął, upowszechnił, ustalił, zatracając w sobie wszelką ideę jedności Boga. Już tu zaraz na wstępie pokazuje się cała różnica. Choćby nawet z niektórych miejsc dał się monotheizm wyświecić, choćby kapłani, jak autor utrzymuje, przez czas jakiś naukę tę między sobą przechowywali, cóż z tego? — kiedy lud cały wbrew niéj postępował; a po skutkach sądzić się winno, i tak stary i nowy zakon chce być sądzonym. U Hebrajczyków, przez cały ciąg wieków, od początku do końca, stawiano cochwilnie przed oczy wszystkich wiarę w jedność Boga, przeprowadzano ją w najdrobniejsze życia żywioły, srogo karano za odstępstwa, noszono wszędzie górą a przodem znak przymierza z jednym Bogiem. Wiara ta stanowi całą treść i znaczenie historyi żydowskiéj. Atoli autor, niezatrzymujący się nad żadną trudnością, kończy niby najważniejszym i konkludującym

dowodem, że Fetyszyzm, że ubóstwianie przedmiotów natury, nie wyklucza bynajmniéj uznawania jedności Boga, lecz owszem jest onego sprzymierzeńcem, wykładnikiem, jednoznacznym objawicielem. Ciekawe jest następujące rozwinięcie, bo nas doprowadza do rdzennéj myśli autora, i z pola domysłów historycznych przenosi w końcu na epokę, na któréj autor oparł swe ogólne wyobrażenie o Bogu.

Dusza ludzka nabywa pojęcie o jedności Boga wprost tylko przez naturę, z pierwszego poczucia przyrodzenia. Nie ma więc objawienia, krom poczucia natury przez zmysły. Wybieg to jedynie późniejszych uciekać się do jakowéjś rajskiéj mądrości pierwotnéj, albo do nadzwyczajnych wyjątkowych objawień. Nie było żadnego przedpotowego kapłaństwa, ani żadnego wieku, któryby był przeznaczonym wyłącznie do rozmowy ludzi z Bogiem. Niech miejsca zawiłe w dziejach ludzkości i oświaty tłumaczą przez objawienia zarozumiali, którzy wolą zmyślać przyczyny niedorzeczne, niż przyznać się do niewiadomości przyczyn; mędrzec wie, że jak za pomocą wiedzy przyszliśmy do teraźniejszéj znajomości natury, tak za pomocą niéj tylko przyjść znowu możemy do poczucia jéj zbiorowego życia, które to poczucie miał pierwotny człowiek. Była to krótka chwila tego poczucia, bo wnet uznając on ogólne wrażenie natury, ale nie pojmując jéj w całości, zaczął przypatrywać się pojedynczym przedmiotom, a potém brać te części za osoby. Tu już jesteśmy na drodze do mytologii, poznajemy charakter doby dziejowéj, z któréj pochodzą wezwania i hymny Wed. Lecz przy uważaniu postaci w naturze, nie mogło ujść baczności człowieka to co w nim samym drgało, to jest duch trapiony zagadkowością przyrodzenia. Tak dopatrzywszy sam w sobie działanie i ruch, wystawiał sobie wewnętrzne życie otaczających go przedmiotów według pojęć o własném życiu wewnętrzném. Zdawało mu się, że wiedział co się działo w nim samym, więc przenosił tę wiedzę w głąb innych przedmiotów, napełniał duchem swoim przyrodę, dawał jéj postaciom czucie, namiętności i myśli. Jakie w którym wieku miał wyobrażenia, upodobania, nałogi, potrzeby, jak się urządził w życiu domowém i narodowém, takie potrzeby, wyobrażenia i skłonności, taki porządek spółeczny przyznawał i bogom. Ztąd droga do uosobiania bogów, cnót, namiętności, występków, słowem wszystkich pojęć ducha do zaludniania świata nowemi istotami, a następnie do Fetyszyzmu. Z czasem przekonał się człowiek, iż niektóre z tych uosobionych przez siebie dziwów czyli duchów natury, i mocniéj się objawiają i dobroczynniéj wpływają. Powstały więc rozmaite stopnie: mniejsi i więksi bogowie, — prorocy, święci, synowie boży, — a jako mniejsze dziwy czyli duchy były częściami większych, tak te ostatnie uważano tylko za uosobione części pierwszego, powszechnego, wszystko łączącego dziwu, to jest pierwotnego poczucia natury. Tak przeto brano wszystkie uosobienia przymiotów jednego, niepojętego, za bogów istotnych i oddzielnych, a wyobraźność dawała każdemu państwo, pomieszkanie, dwór, rząd, zatrudnienia, związki i namiętności. Ztąd powstało fałszywe posądzenie o wielobóstwo. To posądzenie najmniéj Indyan dotykać winno, bo jakkolwiek naród pogrążonym był w Fetyszyzmie, jakkolwiek tenże Fetyszyzm z Wed powstał, to przecież w Wedach znajdują się ustępy świadczące, że ta rozmaitość i rozbicie na podrzędnych bogów były tylko przyodzianiem myśli pierwotnéj symbolami, *jakby pierzem*. Wedy dla przystępnieszego uznania jednego Boga, rozbiły go na rozmaitość barw i znaków, i one ku czci narodowi podały. Było to jak gdyby różnostronném określeniem, zbliżeniem, niejako ziemiowzięciem jednego Boga w jak największą liczbę postaci i nazwisk. Świat stał się Bogiem w milionowych postaciach. Działo się to, jak się dzieje w poezyach, malowidłach i rzeźbach. Lubo więc naród przyjął tylko te symbola i czcił je jako odrębne bóstwa, nie troszcząc się bynajmniéj o pierwiastek zkąd one wychodziły, to prze-

cież domyślnie czcił jedność górującą ponad wszystkiemi. Tym sposobem wielobóstwo nie wykluczało jednego, najwyższego Boga. Jedyna różnica jaka zachodzi między Indyanami a Hebrajczykami tkwi w tém, że Mojżesz zabronił oddawania pojęć o Bogu znakami zmysłowemi. *Ta niby drobna okoliczność zrobiła naród hebrajski nasiennikiem Chrystusa.*

Takie jest rozumowanie autora. Nie potrzeba wskazywać, że tym sposobem wszelkie bałwochwalstwo usprawiedliwionèm zostaje. Fatum rzymskie wystarczałoby do przyznania Rzymianom że w istocie jednego tylko czcili Boga. Im liczniejsze byłoby wielobóstwo, tém wyraźniejsze świadectwo, że coś jednego musi nad wszystkimi panować; im niższy, im grubszy Fetyszyzm, tém widoczniejsza cześć zbiorowéj jedności.

Co do kwestyi pod naszą uwagą, wywód autora da się streścić do następującego. Wprawdzie Indyanie pogrążeni byli w najgrubszym Fetyszyzmie, wprawdzie Wedy zrodziły, uprawniły ten Fetyszyzm, lecz że w tych księgach są ślady o pierwotnéj idei jednego Boga, a zatem naród ten i jego religia nie powinny być sądzone wedle skutków, wedle wkorzenionych pojęć i obrządków, lecz wedle domyślnego rodowodu takowych pojęć od idei przygasłéj, zamierzchłéj dła oka narodu, pogrzebanéj w samychże jego księgach świętych pod nawałem znaków, barw, nazwisk i postaci. Tak dowolnego sądu niepotrzebuje historya narodu hebrajskiego, u którego uznanie jedności Boga było zawsze wyraźne, dobitne, nigdy nie ciemniało, zajmowało wyłącznie wszystkie obrządki, jaśniało, gorzało na każdéj karcie ksiąg świętych, było nietylko dostępném dla każdego, ale utwierdzoném najsroższemi karami i przekleństwami przeciw najmniejszéj skłonności ku czczeniu przedmiotów natury, lub jakich pośrednich dziwów czy bogów. Tam stał człowiek zawsze w obliczności jednego Boga, którego mu żadne znaki, nazwiska, żadne postacie i ziemiowzięcia nie zasłaniały. Autor zwie to *drobną* okolicznością, że Mojżesz bronił oddawania pojęć o Bogu znakami zmysłowemi, jéj przypisuje jedynie przyjście Chrystusa w narodzie hebrajskim. Bierze widocznie skutek za przyczynę. W jednym bowiem razie, pojęcie jedności Boga było tak silne, że wzdrygało się na najleksze oznaczenie zmysłowe; w drugim tak słabe, przybłąkane tylko z dalekiego odgłosu pierwotnego objawienia, że się nie już w pojęciach i obrządkach narodu, ale nawet w księgach jego prawodawstwa religijnego utrzymać ani na chwilę nie mogło bez zagrzebania się w najgrubszém uzmysłowieniu, i zaraz na wstępie samo się zniweczyło.

Jest jeszcze coś, co w całym powyższym wywodzie autora po nad toczącą się kwestyą wypływa, to jest jego własne wyobrażenie o Bogu. Mówi o jedności Boga, ale widocznie uznaje tylko jedność natury. Nie przypuszcza ani żadnego objawienia, ani nieustannego wpływu Boga na rządy świata, ani pozwala na oddzielność stwórcy od stworzenia, czyni go bezosobistym. Bogiem u niego jest zbiorowe życie natury, jéj dziw i ruch. Utrzymuje, że poczucie téj zbiorowéj natury w całéj jasności miał pierwotny człowiek. Stopniowo stępiły je, zmąciły, rozczłonkowały nauki, objaśnienia, obrządki, przez ustanowicieli religijnych wymyślane. Kasty księży otumaniły ludzkość namowami, groźbami, kazaniami, aby ją w głupocie utrzymać. Ale oto oświata przychodzi i ludzkość na ląd stały wiedzy wstępuje. Za pomocą téj wiedzy, powróci ona do tego czystego poczucia zbiorowéj natury, które człowiek w pierwotnym stanie posiadał, z tą tylko różnicą, że człowiek poczynający ludzkość, niewiestny, miał to z konieczności, co teraz udoskonalona ludzkość mieć będzie z własnego wyboru, z przekonania. Tak zetkną się ostateczności, zaczątek z doskonałością, wiek dziecięcy z wiekiem dojrzałym, modlitwa dzikiego z modlitwą mędrca, poczucie, przejęcie, westchnienie. Jednèm słowem, autor stanął na ostatnim zrębie panteizmu.

II. Jakkolwiek artykuł powyższy nader smutne wywiera wrażenie, to przecie o tyle jest znośniejszym od innych pism autora, o ile częstokroć utrzymuje czytelnika na stanowisku czysto naukowém. Czujemy przeto

jak gdybyśmy z niezmiernéj zstępowali wysokości, kiedy przychodzi nam wejść w ciasne koło tak drobnych próżnostek, w jakiém zamknęło się *Ocenienie Parafiańszczyzny.* Treść tego panegiryku jest następująca. Szlachta polska w znacznéj części, to wrzód, który potrzeba *wyleczyć lub odciąć.* (1) *Kiedy chodzi o byt ojczyzny, to zbrodnią są czułostki i pobożne skrupuły. Wypadki polityczne 1849 r. są najlepszém objaśnieniem leczenia francuzkiego z 1793. Jeźliby kiedy przy gwałtowniejszych ruchach okazała się nieodzowność środków rewolucyi francuzkiéj wieku zeszłego, nie będziecie mogli narzekać że klęski spadły niespodziewanie, że Opatrzność zostawiła was bez zapowiedzi i przestrogi. Wszakci Parafiańszczyzna jest tą przestrogą Opatrzności.* Jest epoka w życiu narodów, w któréj duch *nie naśladuje już lecz stwarza, nie powtarza lecz wskrzesza, nie słucha, lecz wybiera, nie przyjmuje lecz dochodzi, przerabia naukę i społeczeństwo. Autor Parafiańszczyzny zapowiada i rozpoczyna ten nowy okres w życiu ducha narodowego i dla tego stanowi w literaturze naszéj epokę. Poprzedził go Mickiewicz, bo taki jest przyrodzony porządek rozwoju. Wzbił się on stworzonym przez siebie torem jak słońce po nad kałuże pełne spleśniałego błocka i żab skrzeczących przeraźliwie pod spiekotą doskwierającego światła. Parafiańszczyzna jest w literaturze rewolucyą moralną w celu usamowolnienia oświaty.* Niech nikt temu nie waży się przeczyć, niech nikt na przeciw owemu radykalnemu leczeniu rewolucyi francuzkiéj nie stawia reguły że: „najwyższy rozum cnota" bo inaczéj pójdzie na *śmieciska Przeglądu*, i wraz z nim stanie się *krótkowiedzącym sekciarzem*, mierzącym rozum *jakoby rekruta.*

III. Odpowiedź na krytykę Parafiańszczyzny zajmuje szereg argumentów, które, chociaż rozrzucone w pewnym nieładzie, dadzą się na dwa rozróżnić oddziały; w jednych miejscach zadaje autor fałsz pojedynczym twierdzeniom i faktom przez *Przegląd* przytaczanym, w drugich oburza się na naszą ogólną tendencyą, i dorzuca do dawnych nowe objaśnienia co do swych wyobrażeń o religii. O pierwszych obszerniéj pomówimy, z drugich parę tylko damy wyjątków.

Autor powiada: „Krytyk Przeglądowy odwołując się na pomniki i wy„żłobienia w katakombach, pobił się sam wspomnieniem wizerunku Matki „Boskiéj, wiadomo albowiem z dziejów dokładnie, w którym wieku i z ja„kich powodów, zaczęto oddawać *matce Jezusowéj* cześć Matki *Boskiéj.* „Pierwsi chrześcianie nie mieli jéj wizerunku. Gdyby zaś krytyk dopraw„dy tego nie wiedział, mogę mu służyć szczegółowym wywodem. Tym „czasem poprzestaję na wskazaniu jednego źródła: Fra Paolo, Historya Concilii Tridentini."

Nic śmieszniejszego nad to odesłanie do Fra Paolo. Autor zdaje się nie wiedzieć, że ta książka pisaną była w duchu i w celach protestanckich. Protestanci téż uczynili pierwsze jéj wydanie w Londynie 1619 r. Odtąd stała się ona arsenałem, z którego wszyscy różnowiercy przeciw Rzymowi broń swą brali. Kardynał Pallavicini dowiódł iż jest w niéj 361 faktów zupełnie zmyślonych. Bossuet nazywa tego Fra Paolo, którego imie rodzinne było Sarpi, *protestant habillé en moine, un protestant caché, qui regardait la liturgie anglicane comme son modèle,* a mówiąc o wspomnionéj historyi Koncylium Trydenckiego, oświadcza, *que Fra Paolo n'en est pas tant l'historien que l'ennemi déclaré.* Gdzieindziéj znowu powiada o nim: *protestant sous un froc, qui disait la messe sans y croire, et qui demeu-*

---

(1) Jakżeż to prawie dosłownie podobne do argumentu, któryśmy gdzieindziéj czytali (sejm ustawodawczy Rakuzki), a który brzmi: *W imieniu ludzkości wyrzynają raka lekarze, a nikt się nie dziwi.*

rait dans une église dont le culte lui paraissait une idolatrie. Jednćm słowem, Fra Paolo chciał odegrać tę samą rolę w Wenecyi, co Luter w Niemczech. Co do sądu o jego moralności, zapewnie wystarczy jedno z jego zdań, które Daru przytacza w swojéj historyi weneckiéj. Mówiąc o swych przeciwnikach politycznych, taką Fra Paolo daje radę rządowi: *Que le poison fasse l'office du bourreau, cela est moins odieux, et beaucoup plus profitable.*

Jeźli autor niema lepszego poplecznika, to znać że sam lekceważy swoje twierdzenia. My powtarzamy raz jeszcze, że pierwsi chrześcianie najniezawodniéj mieli wizerunek Matki Boskiéj, i cześć jéj oddawali. Być może, że nie wystarcza tradycya, iż Ją Śty Łukasz malował, lecz w rzymskich katakombach są dowody, którym zaprzeczyć trudno. W katakombach przy śtéj Agnieszce odkryto ołtarz nad którym widać odmalowaną pędzlem z pierwszych czasów cesarstwa rzymskiego, Matkę Boską trzymającą u kolan dzieciątko Jezus. W téjże saméj kaplicy jest wystawioną tym że samym sposobem historya Jonasza. W innych przy śtym Wawrzyńcu extra muros odkopano w 1847 ołtarz z obrazem Matki Boskiéj na murze. Pod spodem stoi napis: *Mater Martyrum.* Batissier, równie niedowierzający jak nasz autor i wszystko do pogańskiéj sztuki odnoszący, daje w swém wielkiém dziele *Histoire de l'art monumental* (str. 350) ów wizerunek z katakomb Śtéj Agnieszki, i przytacza razem cały szereg obrazów tam znajdowanych.

Przy téj sposobności autor powtarza oklepany zarzut, że katolicy są bałwochwalcami, że oddają posągom i obrazom Świętych cześć Bogu tylko należną. Najwymowniejszą pono na to odpowiedzią jest napis, który się bardzo często w kościołach katolickich pod krzyżem znachodzi:

Effigiem Christi dum transis pronus honora,
Sed non effigiem, sed quem designat adora.

Warto przytem autorowi, który swe wiadomości o koncylium Trydenckiém czerpie z Fra Paolo, przytoczyć wyjątek z autentycznéj ustawy tegoż koncylium, a ten tak brzmi: „Imagines porro Christi, deiparae virginis, et alio„rum sanctorum in templis praesertim habendas et retinendas, eisque debi„tum honorem et venerationem impertiendam, non quod credatur inesse ali„qua in iis divinitas vel virtus, propter quam sint colendae, vel quod ab eis „sit aliquid petendum, vel quod fiducia in imaginibus sit figenda, veluti olim „fiebat a gentibus, quae in idolis spem suam collocabant: sed quoniam honos „qui eis exhibetur, refertur ad prototypa, quae illae representant, ita ut per „imagines quae osculamur, et coram quibus caput aperimus et procumbimus „Christum adoremus et Sanctos, quorum illae similitudinem gerunt, veneremur."

Mielibyśmy wiele jeszcze szczegołów do podjęcia. Takim jest na przykład uporczywie powtarzany fałsz o inkwizycyi i Galileuszu. Galileusz nie za to był potępionym, że ogłaszał nową teoryą obrotu ziemi około słońca, bo kościół nigdy nie rościł sobie prawa rozstrzygania w zadaniach wyłącznie naukowych, ale za to, że chciał cały swój systemat, dziś w wielu względach uznany przez uczonych za błędny, wywodzić wprost z Pisma Śgo, i przymusić kościół do ogłoszenia go za swą naukę, a mianowicie za to, że nie mogąc swego dokazać, wydał otwartą wojnę papieżowi i dogmatom kościoła. Cóżby się stało, gdyby wolno było każdemu, co jakie odkrycie uczyni, a wszystkie odkrycia występują naprzód chaotycznie w pomięszaniu z wielu pomyłkami, obalać od razu całą naukę kościoła? Kościół inaczéj postępuje. Skoro się zjawi coś nowego, a pozornie sprzecznego z jego nauką, ostrzega on swych wiernych, że gdzieś fałsz być musi. Nie tamuje dalszego badania, chce tylko aby, na mocy pierwszych, najczęściéj błędnych pozorów, wiary ludziom nie odbierano, nie przymieszywano do

czysto naukowych kwestyi osobistych nienawiści, nie brano lada odkrycia za powód i pokrywkę do odszczepieństwa. To tak jest niezawodném, iż dziś nie brak najpoważniejszych świadectw, że teorya obrotu ziemi była w Rzymie publicznie wykładaną przed i po potępieniu Galileusza, za upoważnieniem kardynałów i papieża *a*). Ale wstrzymujemy się od dalszego wywodu, gdyż już i tak wyrzuca nam autor popisywanie się z uczonością i cytacyami. Jeźli to jest złem, na kimże pierwsza leży wina? Kto pierwszy tak obficie cytował Śgo Pawła, a cytował na zbicie nauki, któréj tenże apostół jest jednym z dwóch naczelnych filarów? Nie byliżeśmy w naszém prawie wskazać jak fałszywie i jednostronnie chwyta za pojedyncze wyrażenia apostoła. My niczego nie zakrywamy, niczego nie wybieramy, nie odrzucamy, ale owszem pragniemy, aby zawsze z całości i ducha sądzono. Jużeśmy raz powiedzieli, że nie można autorowi dać większego dowodu względności, jak uciekając się do źródeł, które sam wskazuje. Nie nasza wina, jeżli autor na tém traci. „On (to jest Przegląd) uczony, i ja uczony," — woła pisarz ***Odpowiedzi.*** Zobaczymy jego uczoność i onéj okrasę.

„Krytyk przeglądowy (mówi) utrzymuje twardo, iż autor Parafiańszczy-„zny do dopięcia celów swoich niestosownych używa środków. ***Jakaż „znowu matka przekona się że jest złem oddawać córki za granicę, jeżeli „za pierwszy dowód położymy twierdzenie, że z pensyi paryzkich panienki „wracają wszetecznicami*** (Przegl: str. 216). Być może, że krytyk zaglądając „bliżéj w sumienia matek, obaczył że są takie co sobie życzą aby ich córki „były wszetecznicami, albo może podziela krytyk ***in conscientia*** moralną „naukę Jezuitów, iż wszetecznice owszem zasługują na nagrodę."

Pomijając całą nieprzystojność i myśli i wyrażenia, — (autor zapomniał dodać, że druga część podkreślonéj cytacyi z ***Przeglądu*** jest dosłownie wyjętą z ***Parafiańszczyzny***), — zachodzi pytanie, na czém się to ostatnie bezwstydne oskarżenie opiera. Oto, na zdaniu Jezuity Filutius, który rozbierając najsubtelniejsze wątpliwości, jakie przy spowiedzi zachodzić mogą, na kwestyą czy kobiecie cudzołożącéj należy się wynagrodzenie, odpowiada, że się należy, jako zapłata za straty poniesione przez doznany przez nią uszczerbek na honorze. Toż samo stanowi każde na świecie prawodawstwo. Czytelnik ma znowu tu przykład jak autor wykrzywia i przekręca, by tylko swéj zawziętości zadosyć uczynić.

Nie pomału nas jednak zdziwiła ta erudycya i głęboka znajomość jezuickich pisarzów z XVII. wieku. Wprawdzie autor na samym wstępie upewnia nas, że poczytuje swój pobyt w Brukselli za szczęśliwe zdarzenie, gdyż tym sposobem znalazł pod ręką źródła, których użyć przygadzało się do odparcia zarzutów ***Przeglądu.*** Już więc wyobrażaliśmy go sobie szperającego pilnie po starych foliałach bibliotek brukselskich, gdy doświadczenie jak dzisiejsi pisarze umieją się popisywać erudycyą z drugiéj ręki pożyczoną, i jak tam autor przerabia Volneya i jego towarzyszów, podsunęło nam na myśl, czy przypadkiem on również z Paskala nie korzysta. Jakoż zajrzawszy do ***Lettres écrites á un Provincial***, ujrzeliśmy w liście ósmym to samo zdanie Filutiusa wielkiemi literami wypisane. Paskal jednak nie śmiał mu dać tego obrotu co autor, pomimo całéj swéj zagorzałości. Wniosek przeto zeń wyciągnięty należy się wyłącznie wynalazcy ***Parafiańszczyzny.*** Zaiste dziwi nas tylko wstrzemięźliwość autora, bo raz zajrzawszy w Paskala, mógł nas więcéj podobną uczonością uczęstować, a odkrywszy tam Filutiusa wyprowadzić za nim cały szereg Hurtadów, Molinów, Regitaldów, Lessiusów, Escobarów i tak daléj. Może byłoby to uszło za uczoność u publiczności, która na szczęście już dziś ***les Provinciales*** nie czytuje.

---

a) Kiedyindziéj zwróciliśmy uwagę czytelników naszych na fałszywość opowiadań protestanckich o prześladowaniach doznanych przez Galileusza.

Tym przecież, którzyby temu dziełu jakie znaczenie krom piękności stylu nadawali, pozwolimy sobie kilka słów o niem powiedzieć, bo to nas doprowadzi do uwagi, jaką śmiesznością byłoby dziś przyswajać go sobie i odnawiać walkę, którą sam Paskal przed końcem życia za nieprawą uznał. Już Voltaire (Siècle de Louis XIV.) powiedział o niem, *que tout le livre porte sur un fondement faux.* Wyparli się Paskala nawet właśni jego przyjaciele Janseniści. Mówili oni (Lettres d'un ecclesiastique à un de ses amis): *qu'on ne pouvait guère compter sur son témoignage, qu'il ne voyait que par les yeux d'autrui, qu'en écrivant Les Provinciales, il se fiait absolument sur la bonne foi de ceux qui lui fournissaient les passages qu'il citait, sans les vérifier dans les originaux, que souvent sur des fondements faux ou incertains, il se faisait des systèmes d'imagination, qui ne subsistaient que dans son esprit.* Sam też Paskal najmocniéj w końcu żałował że się dał uwieść zbytniéj zapalczywości. Ułożył dzieło, którego rychła śmierć nie dozwoliła mu ukończyć, a w którém zamierzał okazać wyższość i pierwszeństwo wiary nad wszystkie uroszczenia rozumu. Zostały nam tylko urywki ale i z tych sądzić można jak głęboko pojmował wszystkie prawdy i pociechy religijne. D'abort (mówi Villemain w przedmowie do Lettres Provinciales) *il chercha à émanciper la raison humaine, il reclama l'indépendance de la pensée et l'autorité de la conscience; ensuite il se consuma d'efforts pour élèver des digues et des barrières contre l'invasion illimitée du scepticisme. Cet esprit puissant et inflexible embrasse d'une conviction profonde, comme une sauvegarde, les dogmes du christianisme, et leur donne par sa soumission, le plus grand peut-être des témoignages humains.* Otóż, jakże niedorzeczném byłoby dziś wskrzeszać te ubiegłe spory i wznawiać je na zasadzie późniéj przez samego jéj twórcę obalonéj, na cytacyach powszechnie uznanych za fałszywe albo podstępnie zestawione. A jednak autor *Parafiańszczyzny* widocznie sięga po laury polskiego Paskala. Kierując się na podobnego szermierza, odgrzebawszy zardzewiałą broń jego, pragnie koniecznie jéj użyć, a więc szuka przeciwników, którychby mógł uczynić ściśle odpowiedzialnymi za zdania, przeciw którym jego poprzednik broni téj używał. Myśmy zaś tyle razy już powiedzieli, że szanując zakon Jezuitów dla wielu ważnych usług kościołowi oddanych, mianując potwarzami większą część zarzutów mu czynionych, nie zgadzamy się częstokroć na jego ogólny kierunek, cóż dopiero żebyśmy mieli brać na siebie odpowiedzialność za wszystkie zdania jego pojedynczych członków. Zresztą spór ten z XVII. wieku dawno już skończony i zamknięty. Z jednéj strony okazało się, że wiele z książek i reguł, które dały powód do zaczepki, nie były nigdy przez zakon potwierdzonemi, i uważać je należy za kazuistyczne propozycye przez zbyt żarliwych ochotników rzucane; z drugiéj znowu, najgłośniejsi z owczesnych nieprzyjaciół zakonu uznali ostatecznie swój błąd i starali się go naprawić. Czy zupełnie naprawili? — Nie. — Złe poszło w świat. Paskal w XVII. wieku nazwał się Russem, wnet Rousseau stał się Robespierem. Czy te przykłady oświecą i wstrzymają kuszących się dziś o wznowienie podobnego boju? Wyznajemy, iż więcéj rachować wypada na ich nieudolność wskrzeszenia téj walki, jak na powściągliwość.

Co do ogólnego stanowiska, autor kładzie nowy przycisk na swe dawniejsze twierdzenia. Stawia naprzód samowładztwo rozumu. Pojąć nie chce, że i my dopuszczamy jak najobszerniejszą działalność rozumu aż po za granicę prawd wprost przez Boga objawionych, — nie daléj, — i w tém między nami różnica. Sumienie poczytuje za służebne, za wynikłość rozumu. Odpowiadamy: rozum wyzwolony z pod kierownictwa wiary nie zna Boga jeno naturę, nie przypuszcza żadnego objawienia, w sumieniu zaś tkwi pojęcie jednego osobistego Boga, rządy świata bez ustanku sprawującego,

który „rozlał się po wszech ziemi a został na niebie,” — rozum nie czyni człowieka odpowiedzialnym za postępki, bo powiada, że Bóg mu dał wolę równie ku złemu jak dobremu, a zatem jeźli złe wybiera, to Boga nie człowieka wina; sumienie przeciwnie czuje, że dobre wyraźnie wskazaném zostało człowiekowi jako powinność względem Boga, bliźnich i siebie, — jeźli złe wybierze to karanym będzie, jeźli dobre to zasłuży na niebo, — zasługa, oto powód i cel doczesnego żywota. Nie doszedłże autor, samowładztwem rozumu wiedziony, do wprost przeciwnych tym a co do joty zgodnych z tamtemi konsekwencyi? Nie daliżeśmy przytoczeń już aż do zbytku? Jeszcze jedno, a będziem mieli ostatnie słowo samoistnego rozumu. Autor tłumacząc w téj *Odpowiedzi* grzesznika złe fałsz wybierającego, tak kończy: *Wszakci on duszy sam sobie nie nadał, a kto ją dał i dał taką jaka jest, powinien był mieć cel swój, i ażaliż gniewać się będzie że robota jego odpowiedziała celowi?* Cokolwiek więc dusza wybierze to Bóg gniewać się nie powinien, bo to wszystko jego własna robota, — czemuż dał człowiekowi wolną wolę? Niema więc ani cnoty ani zasługi, ani zbrodni ani kary. Napróżno prawodawca, kapłan, filozof, moralista, stawiałby jakiekolwiek ograniczenia. Na powyższém tłumaczeniu największy zbrodniarz mógłby się oprzeć i rzec im: tak uczyniłem, bo mi tak rozum mój wskazał, mój rozum jest tak dobry jak wasz,— Bóg mi go dał, więc na Bogu leży odpowiedzialność. A autor Parafiańszczyzny dodałby to co nam już raz powiedział: *Niech Przegląd nie naprawia dzieł boskich.*

Tu przestajemy. Oznaczyliśmy kierunek autora aż do ostatnich wynikłości. Stanowiska nasze są tak odrębne, tak oddalone, iż ani o spotkaniu, ani o zbliżeniu się myśleć nam niepodobna. Wprawdzie autor, którego nic nie kosztuje żadne przerzucenie się z jednego krańca na drugi, żadne przeobrażenie, podaje nam pod koniec niejaki punkt do zgody. Jestto cechą pisarzów tego rodzaju, że stargawszy wszystkie węzły przyzwoitości, wyczerpnąwszy cały zasób nienawiści ku przeciwnikom, odsądziwszy ich od wszelkiéj godności, ogłosiwszy za nieprzyjaciół ludzkości, w końcu zdradzają brak wiary we własne nawet słowa. Podobnież i nasz autor wykazawszy jak mniema, że kościół katolicki w ogólności, a w szczególności inkwizycya, stłumiła zarody wolności i *zrobiła nas spodkobiercami kajdan*, następującém zadziwia nas oświadczeniem.

„Jest w tém i złe, jest może i dobre, bo świat, jak owoc, skoro prze „ścignie, spadnie, — więc reakcyonaryusze, przeszkadzając jego dościganiu, „odwlekają jego koniec.”

My się podobnéj luźności przekonań dopuścić nie zdołamy. My mu podobną monetą odpłacić się nie możem. Zdaniem naszém, nietylko on nie ułatwia postępu, nie nagli świata do dojrzałości, ale owszem cofa go i owoc niszczy w zawiązku. Gdyby jego nauki przemogły, spadłby owoc nie z dojrzenia, lecz z przegnicia.

Nie pozostanie nam zatém na przyszłość jak tylko zaciągać dla pamięci ale już bez sporu dalsze autora wyznania. Być jednak może iż się z czasem upamięta. Być może ze z łatwością do wszelkiego rodzaju przemian, jako Wisznu, o którego przeobrażeniach wie tyle, ukaże się nam wkrótce w jakim lepszym kształcie, w jakim mniéj groźnym *Awatarze.* Skwapliwie chwycimy by za najlekszą oznakę lepszych natchnień. Gdyby się mógł pozbyć osobistości i rubasznych przycinków, które miesza do najpoważniéjszych poszukiwań, chętnie go zawsze spotkamy na polu czysto-naukowém. W przekonaniu, że badania naukowe są zawsze pewném wędzidłem na namiętności, i że przeto autor jest mniéj szkodliwym nad Gangesem jak nad Wisłą, pójdziemy z nim znowu, jeźli zechce,

Eoam tentare fidem, populosque bibentes
Euphratem . . . . .
Arva super Cyri Chaldeique ultima regni,
Qua rapidus Ganges, et qua Nyssaeus Hydaspes
Accedun Peltago, —

zawsze mając przed oczami to sławne o nauce zdanie Śgo Bernarda: Sunt namque qui scire volunt eo tantum fine ut sciant, et turpis curiositas est. Et sunt qui scire volunt, ut scientur ipsi, et turpis vanitas est. Et sunt item qui scire volunt, ut scientiam suam vendant; verbi causa pro pecunia, pro honoribus, et turpis quaestus est. Sed sunt quoque qui scire volunt ut aedificent, et charitas est. Et item qui scire volunt ut aedificentur, et prudentia est.

Nakoniec, aby po tak długim rozbiorze, streścić nasze spostrzeżenia, i dać autorowi sposobność wytłumaczenia się już nie nam, ale publiczności, twierdzimy: 1) iż w wyobrażeniach o Bogu jest panteistą, — 2) w pojęciach o człowieku jest fatalistą, przenoszącym wszelką odpowiedzialność z człowieka na Stwórcę, — 3) w zasadach zaś co do Polski lekarzem na sposób francuzki z 1793 roku. Wypełniliśmy więc obraz cały, jakkolwiek niezręczną ręką. Lepiéj go skreślił poeta w następującym szkicu. (*) Posłuży on czytelnikowi do objęcia jednym rzutem oka rysów po naszym artykule rozproszonych. Przypominamy tylko iż wiersz ten wyszedł w 1847 r., a zatem przed wydaniem *Parafiańszczyzny* i pism autora następnych.

Lat tysiąców Falsz już zbity,
Rozwiązane Wiary Mithy —
Wszech-idea wiekuista,
Wszędobecna — wszędojedna —
Lecz siebie bezwiedna,
Lecz bezosobista —
Absolutną matką — Ducha!
I ta wielka — ślepa — głucha,
W kształt się ludzki ubrać chciwa,
Dialektycznych sprzeczni rojem,
Przez naturę wskroś przepływa,
Aż się stanie w łonie mojém
Świadomością i ustrojem!
Ją to niegdyś Bogiem zwano —
Lecz się grubo omylano —
W niéj pierwiastne tylko ciemnie
Co brzmią błędnych czuć szelestem —
Dźwięk dopiero spelny — we mnie!
Ja Bóg bardziéj — niż Bóg — jestem!
Jam ostatni kres wszystkiego —
Wszechświat ku mnie tęskni — zbiega —
Jam kwiat dobra — jam kwiat złego —
Jam jest Alfa i Omega!
Lecz mnie jednak na wsze strony
Pierś méj matki opierścienia. —
Oczewiście — z nim istnienia
Wracam w byt jéj nieskończony. —
Nicość czeka mnie — po zgonie!
Każdy człowiek się z kolei
Znów roztapia w wszechidei
Jak kropelka w morza łonie!

(*) Dzień Dzisiejszy. Paryż, 1847.

O zaświaty, tylko pyta
Filozofia pospolita. —
Takie bracia wam odkrycia —
Ja od Pruskich niosę włości; —
Wiecznéj myśli — brak jest życia —
Nam żyjącym — brak wieczności —
Poprzysięgam — choć się zżyma
Serce wasze — niema, niema
Boga ni nieśmiertelności. —
Ludzkość tylko się odradza —
W Duchu ludzkim więc — Wszechwładza!
Jak Jehowa rządził stary
Dziś ja rządzę wśród stworzenia,
Burzę wiary,
Spuszczam kary,
Na śmierć znaczę pokolenia!
A ze śmierci tych nasienia
Wyższéj myśli wstaną ruchy!...
Oto prawda rzeczywista,
Tak jakem Heglista!
Zastosować tylko święcie
Nam do Polski to pojęcie! — .....
Czem jest genialność? Ot, w jednym momęcie
Przełamać naród w odmienne nagięcie!....
Krwi sobie utocz, gdy stoisz nad grobem,
Takim się Francuz wciąż leczy sposobem,
A zdrów i silny, — z niego więc brać wzory!...

KAZANIA prymasa *Stanisława Karnkowskiego* o upadku i naprawie rodzaju ludzkiego, także
DZIESIĘĆ KAZAN *ks. Fabiana Birkowskiego*, nowe wydanie.

Niezłożyło nam się dotąd wspomnieć o wielkiéj przysłudze jaką drukarnia N. Kamińskiego i Spółki w Poznaniu, czytającéj polskiéj powszechności a mianowicie duchownym swojemi przedrukami oddała.

Jeszcze w r. 1847 wyszło pierwsze z dzieł na nagłówku przez nas wymienionych. Wypisujemy całkowity jego tytuł: *Stanisława Karnkowskiego arcybiskupa gnieźnieńskiego Messiasz albo kazania o upadku i naprawie rodzaju ludzkiego przez przyjście na świat Jezusa Chrystusa. Przydane kazanie o dwojakim kościele Chrześciańskim.* Przedruk jest dosyć staranny (omyłki znaleźliśmy i dziwimy się że nie sporządzono erraty), edycya in 8vo majori okazale wygląda. Co mamy do wyrzucenia wydawcom to, że nie dodali żadnéj wiadomości bibliograficznéj, żadnych historycznych objaśnień, i że tylko na krótkiéj niedostatecznéj o Karnkowskim wiadomości za wstęp umieszczonéj poprzestali. Karnkowski jest jednym z naszych największych biskupów, jednym z najpoważniejszych ludzi stanu, kazał jasną jędrną polszczyzną i znał doskonale ojców kościoła: ze wszech przeto względów za rzecz pożyteczną uważamy bliższe zapoznanie się z jego pismami polskiemi, mniéj w ogóle od łacińskich znajomemi.

Fabian Birkowski Dominikanin, nadworny kaznodzieja królewicza Władysława, należy do najpierwszych naszych mówców kościelnych. Kazania jego na niedziele i święta wyszły dawniéj w dwóch tomach a trzech częściach (w podwójnéj edycyi), ogólniejszego wydania kazań z okoliczności publicznych i mów żałobnych dotąd nie było. Drukarnia Ka-

mieńskiego i spółki zebrała wszystkie kazania tych dwóch kategoryi, tak jak je Ossoliński (*Wiad. hist. kryt.* I str. 168 następne) wylicza, i postanowiła razem oddrukować. Trudności ze strony cenzury opóźniły zamiar a wypadki polityczne lat ostatnich przeszkodziły zupełnemu jego urzeczywistnieniu. W roku 1849 wyszło na świat to co było już odbite, jako tom I dwutomowy wedle pierwotnéj myśli zbioru. Tom ten pierwszy ma następujący tytuł. *Księdza Fabiana Birkowskiego z zakonu kaznodziejskiego królewicza J. M. Władysława Zygmunta kaznodzieję dziewięć kazań z okoliczności publicznych, do których przydane kazanie żałobne na pogrzebie ks. Piotra Skargi.*

Dołączona kartka z ustępami przez cenzurę pruską w starym autorze wymazanemi, będzie ciekawem dla późniejszych czasów świadectwem. Spodziewamy się, że drukarnia nie zniechęci się już podjętemi trudami i całkowicie przedsięwzięcia dokona.

Ziomkowie szanujący zabytki piśmienne przeszłości naszéj, duchowni zwłaszcza dobrych wzorów potrzebujący powinni przyjść w pomoc dobréj woli nakładcy dwóch tych ważnych publikacyi i nieociągać się z ich nabyciem.

SZKÓŁKA NIEDZIELNA, ZIEMIANIN i SZKOŁA POLSKA.

Na początku przeszłego roku mieliśmy w naszéj prowincyi wielką liczbę pism czasowych, teraz oprócz *Gońca*, *Gazety W. Ks. Poznańskiego, i Przeglądu* istnieje tylko *Szkółka*, *Ziemianin i Szkoła Polska.*

Szkółka niedzielna od piętnastu miesięcy zmieniła redakcyą. Nie ks. Borowicz ale pan Kotecki z Kościana ją pisze. P. Kotecki stara się gorliwie o utrzymanie dawnych tradycyi wydawnictwa i wiele się już na téj drodze zasłużył. Artykuły religijne i gospodarskie, wiersze, rozmaitości starannie dobiera. Brak mu jeszcze téj prostoty i czystości języka, téj oględnéj pewności zdania, jakie cechowały sposób Ks. Borowicza, ale należy się spodziewać, że zalet przy wprawie a dobréj woli nabierze. Szkółka jest jedynem pismem dla ludu w Księstwie, publikacya to uczciwa zachęcać ją więc wypada. Żałujemy że redakcya nie umieszcza w swoich kolumnach artykułów o historyi polskiéj, albo opisów ziemi polskiéj, ożywiałoby to i rozniecało pismo. Wszakże i tak dużo się tam pożytku znajdzie. Publiczność nasza zobojętniała dla *Szkółki*, która teraz 15ty rok istnienia zaczyna, bo miała *Wielkopolanina* i *Wiarusa*, teraz powinnaby do niéj powrócić.

Ziemianin przez ciąg całorocznego trwania złożył dowody użyteczności prawdziwéj. Wydawcy starannie dobierają przedmiotów i mają uwagę zwróconą na wszystko co się w kraju i za granicą postępu gospodarskiego dotyczy. Oczekujemy po nich z ufnością coraz gruntowniejszych artykułów. Nakład *Ziemianina* przeszedł w ręce księgarza Günthera w Lesznie.

Szkoła Polska zaczyna rok trzeci swego istnienia. Nie można dosyć pochwalić jéj redaktora, że przetrzymał niepomyślne okoliczności i daléj nie ustaje w zawodzie. Jego wytrwałość, jesteśmy pewni, zostanie pomyślnym skutkiem uwieńczona i pismo takiéj wyraźnéj użyteczności przyjmie się i szeroko w prowincyi naszéj rozpowszechni. Wymienimy tutaj prace, jakie nas w *Szkole* od ostatniego naszego sprawozdania (*Przegląd* z miesiąca Maja 1850 r.) uderzyły. Bardzo jest dobrze prosto i praktycznie przez pytania i odpowiedzi napisany szereg artykułów pod tytułem *Nauki tyczące się gminy, życia i stosunków wieśniaka.* Jeszcze więcéj podobała nam się rozprawka *O wychowaniu kobiet* w rozprawie téj czerstwość moralna i

zdrowy rozsądek budująco uderzają. Napotkaliśmy w niéj przecież kilka usterek. I tak autor niesłusznie zarzut bigoteryi wychowaniu żeńskiemu w XVII. wieku uczynił. Cytacya przywiedziona jest jedném z tych prostodusznych opowiadań które nie mają ścisłości historycznéj a których nadużyć łatwo. Zresztą wysoka pobożność od jakiéj dzisiejsi odwykli, a jaka jest balsamem najlepiéj nieskazitelność cnoty przechowującym, zbyt często w naszych czasach bywa przezywana bigoterią. I dla tego żądamy od ludzi poważnych, żeby nie używali wyrazów obosiecznych. Jeszcze więcéj uderzyło nas wątpliwego znaczenia zdanie „nie chcemy zaparcia się ciała „dla duszy, ani duszy dla ciała;" to jakieś echo złych nawyknień; do stroju z całym artykułem myśl powyższa nie przypada. Przecież autor sam wielekroć wynosi zaparcie się ciała dla duszy. Zdziwiło nas także, że pisarz o którym mowa zaleca kobietom czytanie powieści Skarbka, Kraszewskiego, Korzeniowskiego i Rzewuskiego. Nie zgadzamy się z nim w téj mierze. Bardzo mało którą z powieści wymienionych romansistów można dać w rękę skromnéj kobiecie. Z temi zastrzeżeniami rzecz *O wychowaniu kobiet* podajemy za wyśmienitą. Artykuły *O metodzie czytania i pisania* starannie wykładają ważny i użyteczny przedmiot. Krótkie rozprawy *O ważności wychowania domowego* albo *Wola i jéj użytek* zwracają baczność na rzeczy godne zastanowienia. — Zajmującą kwestyą poruszają: artykuł *Kilka myśli o nauczaniu na pamięć*, odpowiedź późniéj umieszczona i rozjemcze uwagi redakcyi. Wymienimy jeszcze rozprawkę *Przedewszystkiém starać się trzeba nie tak uczyć dziecko*, *jak rozwijać jego władze umysłowe*, i *Listy* nauczyciela Lompy ze Szląska. *Szkoła* obfituje téż w wiadomości pedagogiczne całéj Polski dotyczące, które bardzo zajmujący w niéj oddział stanowią. W ogóle pismo to ma najpiękniejsze dążenia i coraz wyraźniéj środkiem życia pedagogicznego się staje. Poparcie, zachęta, należą mu się najoczywiściéj.

Do *Szkoły*, jak wiadomo, dołączona jest *Szkółka dla dzieci*. I dla téj publikacyi pochwałę wypisujemy. Artykuły *O Janie Zamojskim*, *O Gnieźnie*, *O Huculach* (z przytoczeniem z ks. Antoniewicza), *O Ś. Wojciechu*, *Pożar w Krakowie* i *Opis Krakowa*, *Opis morza*, *O gwiazdach*, *Życie ubogiéj matki ks. Hołowińskiego*, *Przejazdki po Warcie* (z Dzwonka), *Staś i rozmowa jego z ojcem o ziemi*, *Opisy jesieni i zimy*, mniejsze artykuliki *O gościnności polskiéj*, *Jak powstaje książka*, *Siedem koron polskich*, przypowieść *Pustelnik i Anioł*, powiastka *O Michałku co się zawsze tylko chciał bawić*, legendy *O Smoku w Smokorzewie* i *O Ś. Janie Kantym*, także nauki z historyi naturalnéj, są pisane z życiem i prostotą w sposób łagodnie pouczający. Dobór przedmiotów znajdujemy w ogóle stosowny. Niema dzieci, dla którychby nie było korzystną rzeczą czytać *Szkółkę*. Słabą stronę publikacyi, stronę zresztą zewnętrznéj staranności dotyczącą, stanowią drzeworyty. Niezasobna redakcya na lepsze się pewnie zdobyć nie może.

Wydawcy *Szkółki* pozwolimy sobie przełożyć parę krótkich uwag. W powieści *O Tomaszku i o Władysiu*, chłopczyk wiejski jest pracowity, panicz leniwy. Czyż nie lepiéj unikać tych rozróżnień na stany, zwłaszcza że lenistwo we wszystkich się sferach napotyka? Zdaje nam się téż że nie należałoby umieszczać takich rzeczy jak nowina o chłopczyku (po nazwisku wymienionym) co wiersze na teatrze deklamował i szabelką wywijał. Już dla samego chłopczyka przedwczesna głośność dobra nie jest. Co się zaś tyczy wszystkich jego małych rówienników, to cała ta rzecz tylko w nich uczucia miernéj junakieryi obudzi. Oprócz tego u nas, gdzie zajęcie widowiskami i tak jest za wielkie, lepiéj dzieciom o teatrach nie mówić. Jeszcze jedna krytyka. Znaleźliśmy w Szkółce ogłaszane nazwiska dzieci co składki na Kraków nadesłały. Obudziło to naszą troskliwość. Ach, nie-

chaj podnieta próżności zostanie udziałem starszych; czystych źródeł szlachetnych popędów dziecinnych, niezakłócajmy drażnieniem miłości własnéj.
Jak widzą czytelnicy, zarzuty nasze przeciw *Szkólce* nie są wielkie. Mybyśmy radzi to pismo w rękach wszystkich dzieci polskich widzieli.

NATURALNA POLITYKA POLSKI, przez *W. Kosińskiego.* Poznań (u Żupańskiego) 1851.

Jako w poprzednich broszurach, tak i w obecnéj, p. Kosiński objawia arcy-szlachetne pobudki. Chce pojednać wszystkie w Polsce stronnictwa. W zamiarze tym nie jest ani pierwszym ani jedynym. Czemże się od innych odróżnia? Oto, kiedy jedni upatrują możebność zgody w zobopólnych ustąpieniach, kiedy drudzy radzą usunąć wszystkie drażliwe zadania, przybyłe z zachodu, a więcéj szkodliwe jak pomocne bezpośredniemu celowi wyjarzmienia ojczyzny, — p. Kosiński utrzymuje, że nie potrzeba ani ustępować ani usuwać, bo spółeczeństwo polskie pod obcym uciskiem samo się wyrównywa i wyrównać musi do układu towarzyskiego na zachodzie. Szlachcie dowodzi, iż ona niknie i przekształca się z konieczności w klasę przemysłową, w mieszczaństwo. Rzecznikom ludowym, czyli teorytykom demokratycznym powiada, iż niepotrzebnie i tylko przez naśladownictwo obczyzny ułożyli sobie teoryą *a priori*, a potém dopiero starali się ją przystosować do Polski i oprzeć na historyi ojczystéj, gdy tymczasem wszystkie ich zasady, byle się tylko rozpatrzeć w dziejach naszych i zrozumieć wolę Boga, tkwią w naturze i rozwoju historycznym naszego narodu, a im bardziéj opóźnione, tém skorzéj teraz pod obcém jarzmem wzrastać i w dojrzałości innym krajom sprostać muszą. Całéj zaś Polsce ogłasza pocieszające odkrycie, że obce jarzmo reprezentuje w niéj ten sam moment rozwoju, który inne narody trzy wieki wprzód przebyły, reprezentuje moment utworzenia stałych dziedzicznych monarchii, i że jak pod opieką monarchizmu zakwitł handel i przemysł na zachodzie, trzeci stan na potęgę polityczną wyrósł, a ludy dawniéj rozprzężone do ładu i karności się wzwyczaiły, tak i w Polsce ten sam rozwój spółeczny odbywa się pod obcém jarzmem i dozwoli nam bez gwałtu a nawet bez rozgłosu doścignąć narody przodkujące w pochodzie do doskonałości. Pan Kosiński pisze to w najlepszéj wierze. Wiedziony światełkiem swéj teoryjki, nie widzi na jak niebezpiecznym stanął zrębie. Jeźli ujarzmienie Polski jest logicznym, koniecznym, nieodzownym momentem, w cóż się obrócą wszystkie żale i oskarżenia przeciw sąsiednim zaborcom? Choćbyśmy im rzekli, że dobro, które nam pomimowolnie przynoszą, nie usprawiedliwia bynajmniéj zbrodni któréj się dopuścili, to oni nam z słusznością odpowiedzieć zdołają: zdarzenie to jest opatrznościowém; przespaliście postęp reszty ucywilizowanego świata, pod naszym uciskiem dojdziecie do pełnoletności, zrównacie się z Europą; żadna przemoc bez dolegliwości obejść się nie może, dziś sarkacie na nas, kiedyś błogosławić nam będziecie. Raz przypuściwszy niezbędność i chociażby tylko niektóre dobre skutki obcéj przemocy, zachodzi następnie zapytanie, kiedy ta przemoc ustaćby powinna? Naturalnie że nie prędzéj, aż zaprowadzonym w Polsce zostanie ten ład i jedność, przemysł i zamożność, któremi dziedziczna monarchia zachodnie obdarzyła kraje. We Francyi i w Anglii potrzeba było na to dwóch wieków, w jednéj od Ludwika XIgo do kardynała Richelieu, w drugiéj od Henryka VIIgo do Wilhelma IIIgo; czyżby i Polska tak długo czekać musiała, miałożby przerodzenie podobne być łacniejszém pod obcą przemocą jak pod własnym, choćby najgorszym rządem, ażaliż tym sposobem każde powsta-

nie przed zrównaniem się w rozwoju spółeczeńskim z resztą Europy nie byłoby zbrodnią przeciw własnemu narodowi? Na te i tysiączne tym podobne pytania, pewnie autor nie inaczéjby odpowiedział jak my, ale za każdym razem musiałby się zrzec swego potwornego założenia. Skądże jego pomyłka? Oto, że z potrzeby i powinności naszéj starania się o jak najprędszą i najrozleglejszą poprawę pod ciężką chłostą i nieszczęściami upadku, wnosi o konieczności tegoż upadku. Dobro, jakie nawet pod najsroższym uciskiem osiągnąć można, bierze za dobro absolutne. Uwodzi się paradoksem: *post hoc, ergo propter hoc.* Nie staje ani chwili by się zapytać, czy nie było innéj rady, innego środka naprawy, czy Polska zostawiona sama sobie, zwłaszcza po ocknieniu się, po pierwszym rozbiorze, nie byłaby daleko prędzéj, swobodniéj i skuteczniéj doszła do rezultatów, które sam wyłącznie obcemu przypisuje jarzmu? Owszém twierdzi on stanowczo, że gdy naród nie wszedł dobrowolnie na tor który Bóg ludzkości zakreślił, gdy się nie udało ani Batoremu ani Władysławowi IV zaprowadzić monarchii dziedzicznéj, to już z konieczności historycznéj szlachta polska uledz musiała nie już własnym monarchom, ale jarzmu obcemu. Według autora, konstytucya 3go maja nie była już rzeczą na czasie, na zegarze ludzkości już wtedy godzina monarchizmu przemijała, i nowy wiek z nowemi rodził się ideami, a w chwili, gdy absolutna monarchia we Francyi runęła, i w konstytucyjną, a wkrótce potém w rzeczpospolitę się przedzierżgnęła, daremną było myślą patryotów polskich ratować się dziedzicznością tronu. Dodaje jednak że za zupełnie bezzasadne uważa zdanie Towarzystwa Demokratycznego, iż należało wtedy przeskoczyć ten moment rozwoju monarchicznego, rzucić się w następny krok postępu dziejowego, i demokratyczną rewolucyą, jaka była we Francyi, wywołać. Przeczenie to opiera na dowodach, że we Francyi rewolucyą zrobił przeciw arystokracyi i monarchizmowi stan trzeci, którego w Polsce nie było, — miałaż więc szlachta, to jest cały ówczesny legalny naród, przeciw sobie saméj rewolucyą podnieść, albo miałże stan uciemiężony ale bezmyślny chłopów, obalić ową szlachtokracyą i postawić na jéj miejsce panowanie swoje, panowanie siły fizycznéj i ciemnoty? *Nie było* (mówi w końcu) *gruntu w Polsce ani dla monarchizmu ani dla rewolucyi; zresztą historya przeskoków nie cierpi i dla tego téż jedna tylko pozostała fatalna konieczność, któréj nie mógł naród uniknąć, to jest obce jarzmo, i to zastępuje u nas jeden opuszczony moment rozwoju, odpowiada monarchizmowi.* Tym sposobem każdy naród w swym organizmie wstrząśnięty przez to, że przerósł już jedną formę a nie dojrzał jeszcze dla drugiéj, musiałby iść naprzód do szkoły pod obce jarzmo. Tym także trybem Targowica jeźli nie w sercu to w rozumie miałaby usprawiedliwienie. Takich przekonań na seryo p. Kosiński mieć nie może. Uniosła go tylko zbyt dziś pospolita skłonność do zamieniania historyi w formułki algebraiczne. Sam nieco daléj mówiąc o ruchach dzisiejszych na zachodzie, powiada: „O jakże smutno widzieć każdy polityczny czyn jedynie po skutkach tylko „ceniony! moralność ludzi poznajemy po ich czynach, po owocach we„dług biblijnego wyrażenia, ale polityczne przedsięwzięcie zależy od przy„padków i okoliczności, które go zwichnąć mogą, czasem nawet bez żadnéj „winy działających, najczęściéj z winy wykonania tylko.“ Czemuż téj reguły nie zastosował do wypadków i ludzi 3go maja? Polska upadła nie z winy działających, nie z powodu ogłoszenia nowéj konstytucyi, ale po prostu z przyczyny spiknięcia się na jéj zgubę trzech przemożnych i zdradzieckich sąsiadów. Gdyby miała była inne jeograficzne położenie, lub gdyby zachodnie mocarstwa lepiéj były czuwały nad sprawiedliwością i własnym interesem, Polska byłaby zwycięzko z chwilowéj wyszła niemocy. Sądzić jedynie po skutku ostatecznym o pomysłach i sprawach 3go maja

nie godzi się. Inaczéj przypuścićby trzeba najstraszniejszy fatalizm. Wątpimy, iżby p. Kosiński chciał tym kluczem otwierać i zamykać świątynię dziejów naszych. Cóż więc go zawiodło na te manowce? Wynurzymy mu sąd nasz jak najszczerzéj. Nieprzyjaciel wszelkich teoryi, jakim się sam wyznaje, zaplątał się sam w bardzo niezręczną i powikłaną teoryjkę. Pan Kosiński zgłębił zasady i postępowanie Towarzystwa Demokratycznego. Skoro odkrył prawdę, odstrychnął się od tych zasad. Dla uratowania zgody z poprzedniemi przekonaniami usiłuje teraz unieść z rozbicia przynajmniéj solidarność ludów i postępowość w rozumieniu demokratyczném. W tym celu utworzył sobie, dorobił ów wywód historyczny o konieczności upadku Polski. Polska według jego zdania upadła dla tego, aby w ukryciu pod obcym uciskiem mogła wyrównać się z resztą Europy, dogonić najwięcéj w demokratyzmie posunięte kraje. Gdyby niepodległą i samoistną była pozostała, może zajęta własnemi sprawami nie byłaby tak skorą do łączenia się z zagranicznemi rewolucyami. Przygnębiona, odarta z sił wszelkich i znaczenia, *nie tylko w przymierzu z rewolucyą zachodu stać musi, ale co więcéj sama idea oswobodzenia Polski jest jednym i tym samym dziejowym procesem, co rewolucya zachodu.* Taki pewnik stawia autor, nie troszcząc się o ściślejsze dowody krom owego domniemanego wyrównywania się Polski pod obcem jarzmem do dzisiejszych pojęć na zachodzie. Niedawno jeszcze mieliśmy do czynienia z pisarzem, który podzieliwszy Europę na równoleżne pasy twierdził, że naprzód zwycięży jednocześnie socyalizm we Francyi, rzeczpospolita we Włoszech i w południowych Niemczech, konstytucya demokratyczna w północnych, a niepodległość w Polsce, — następnie socyalizm we Włoszech i w południowych Niemczech, rzeczpospolita w północnych, konstytucya demokratyczna w Polsce, — daléj socyalizm w północnych Niemczech, rzeczpospolita w Polsce, — aż nakoniec po czterech długich etapach socyalizm przywędruje na wieczne mieszkanie do Polski. Tu przynajmniéj danym był czas. Polska miała przed sobą cztery momenta nim się wyrówna do Francyi. Pan Kosiński nawet nam tego nie zostawia. Zabrania historyi czynić przeskoków, a tymże samym tchem Polsce pod naciskiem obcego despotyzmu każe przebiedz wszystkie rewolucye, przez które Francya przeszła albo jeszcze przechodzi, z tą tylko różnicą, że co tu na słońcu, to tam ma się odbywać w ciemnościach niewoli. Jakżeż inaczéj zrozumieć wyrażenie, że idea oswobodzenia Polski jest jednym i tym samym procesem dziejowym co rewolucya zachodu? Gdyby tak być miało, sposób na zjednoczenie całéj Europy w pojęciach i zrównanie w układzie społeczeńskim, byłby od razu wynalezionym. Niechby tylko Europa przywołała sobie jakiego nowego Tamerlana lub Gengiskana, a raj ziemski wnetby zawitał. Któryżby naród opóźniony w postępie nie chciał pójść do takiéj szkoły by jednym rzutem dobiedz do mety, do któréj inni tak długo i z takim mozołem wędrowali? Pan Kosiński marzy, bawi się w teorye, fantazyuje, a mniema, że Polskę zwraca na naturalną jéj politykę. By się dobrać do rzeczywistego usposobienia i poznać charakter podobnych pisarzów, niema skuteczniejszego środka jak zapytać ich, cóż więc nam obecnie czynić wypada? Namiętny, podstępny, *turpia cogitans*, zamknie się w ogólnikach, lub się puści na złorzeczenia i groźby. Człowiek dobréj wiary, sumienny, chcący pożytku i zgody, otworzy ci swe serce, przelęknie się własnych urojeń, obali sztucznie napiętrzoną budowę swych fantazyi, i z wybujałego w teoryi stanie się pokornym w praktyce. Tak też p. Kosiński uczynił. Sam sobie zadaje powyższe pytanie na ostatniéj kartce swéj broszury, i tak na nie odpowiada:

„Pytania tego, acz w zadaniu naszém jego rozwiązanie nie leży, nie „mogliśmy zupełnie bez odpowiedzi zostawić, aby wszelkie fałszywe tłu„maczenie myśli naszéj usunąć. Mogłoby się bowiem podejrzliwemu czy-

„telnikowi zdawać, że ni mniéj ni więcéj nie radzimy, jak raz po raz spi„ski knować, rewolucye rozpoczynać, łączyć się z zagranicznymi demokra„tami, zgoła iść mniéj więcéj torem roku 46go lub 48go. Odsuwamy od „siebie najmocniéj takie myśli naszych tłumaczenie. Zdarzenia dwóch po„minionych epok były zdaniem naszém nieuchronne i uważamy je za ko„nieczne doświadczenia, ale znamy i czujemy przedział, który nas już od „tych prób rozłącza. Doświadczenia uczą nas, że ani w spisku, ani w zbroj„ném oparciu się dziś zbawienia szukać nie możemy, a zdrada, któréj do„znaliśmy ze strony ludów, każe nam być daleko oględniejszymi. Powiedz„my sobie otwarcie, że iniciatywa w politycznym ruchu nie do nas już na„leży. Pokazaliśmy co chcemy całemu światu i zrobiliśmy cośmy mogli. „Dziś kolej na innych robotników, innym ludom praca w tym kierunku przy„pada. Niechaj pokażą nie półśrodkami, ale całą energią woli, czego chcą, „i niech dadzą rękojmie, którym zaufać można, a wtedy dopiero w Polsce „czynnego sprzymierzeńca znaleźć-by mogły. Natomiast mamy i my pra„ce do wykonania, w których inne ludy nas prześcignęły, jest to praca „w kierunku spółecznym. Emancypacya chłopa w Polsce pod rosyjskiém „panowaniem zostającéj, jest niezaprzeczenie zadaniem najważniejszém, któ„rém intelligencya zająć się winna. Poprzestajemy na téj wzmiance dosta„tecznéj do wyjaśnienia myśli naszéj, bo nie mieliśmy zamiaru szczegółowo „rozprowadzić wszelkie praktyczne konsekwencye z położonéj teoryi wy„pływające."

Ile tu słów, tyle gromów na rozbicie do szczętu wątłéj, a tak pracowicie poprzednio ustawianéj teoryi. W ogólności zgadzamy się na ten okres ostatni. Nie widzimy tylko nieuchronności wypadków 46go roku. Doświadczenie mogło być potrzebném i pożyteczném dla p. Kosińskiego osobiście, co jeszcze nie dowodzi, że dla narodu albo zbyteczném albo szkodliwém nie było. Pragniemy wierzyć, że p. Kosiński dopiero na téj ostatniéj karcie jest samym sobą. Z niéj téż, nie zaś z poprzedzających wywodów, chcemy go sądzić i na przyszłość dobre o nim rokować nadzieje.

ŁASKA I PRZEZNACZENIE *przez Henryka Hr. Rzewuskiego, autora Listopada* — Warszawa 1851. (u S. H. Merzbacha) Tomów 2.

W ostatnich czasach zapowiedziano kilka nowych dzieł Henryka Rzewuskiego. Czekaliśmy i czekamy na nie żeby ile zdołamy zupełne studium o autorze *Pamiątek Soplicy*, *Mieszanin obyczajowych, Listopada*, *Zamku krakowskiego* i *Głosu na Puszczy* napisać. Do rzeczonéj pory odłożyliśmy obszerniejsze zdanie sprawy z powieści *Zamek krakowski*, niższéj pod względem artystycznym od *Listopada*, pełnéj historycznych niedokładności, wszakże zajmującéj z wielu względów, także z owéj nieporządnéj gawędki noszącéj tytuł *Głos na puszczy*, w któréj prawdy wysokie w oprawie tylu paradoxów i zdań nieszlachetnych się mieszczą. Henryk Rzewuski ma myśl potężną, wysokie uczucie artystyczne, wiele zna, wiele odgadł z przeszłości polskiéj, Henryk Rzewuski wyznaje zasady katolickie, i pewną liczbę wzniosłych pojęć pisarzów katolickich sobie przyswoił; Henryk Rzewuski z drugiéj strony zagrzązł w niebezpiecznych paradoxach, wyrzeka się swojéj ojczyzny, rzuca przekleństwo teraźniejszości i przyszłości Polski, Henryk Rzewuski na podstawie katolicyzmu opiera wszystkie swoje uprzedzenia i namiętności polityczne, wszystkie teorie uprawniające odstępstwo własne. Ileż tu powodów żeby sumiennie, rozważnie i dokładnie

rozpatrzyć całość jego wyobrażeń, oddzielić wedle przekonań naszych prawdę od fałszu z którym ją splątał, i rozświecić kierunek rozumowy mogący fatalnie chwiejące się umysły pociągnąć.

Dziś dajemy rozbiór dwóch nowych tomów przez p. Rzewuskiego ogłoszonych, tak jak kiedyś daliśmy rozbiór powieści *Listopada*. Robimy przytém zastrzeżenie, że zupełniejszą rozprawę na późniéj odkładamy.

O ogólnem stanowisku pana Rzewuskiego wspomnimy w kilku krótkich okresach. Pan Rzewuski jest katolikiem, absolutystą, arystokratą w wysokiém tego wyrazu rozumieniu, oprócz tego jawnym stronnikiem rządu moskiewskiego w Polsce, tudzież wyznawcą raz konieczności historycznéj połączenia Polski, z Rosyą, powtóre skupienia całéj Słowiańszczyzny pod zwierzchnictwem rosyjskiém. W jego umyśle mieszają się wyobrażenia ponurego mistycyzmu religijnego i politycznego z czcią siły materyalnéj; wzniosłego uszanowania dla przeszłości i tradycyi krajowéj, z pogardą i nienawiścią dla tego co żyje, cierpi i usiłuje w ojczyznie; twardéj wymagalności co do rzeczy moralnych względem swoich, z pobłażliwością pełną mizernego pochlebstwa dla obcych, zwłaszcza rządzących. Co tu sprzeczności, co niepodobieństw! I niedziw że widząc jak pisarz, który tyle o solidarności z przeszłością rozprawia, sili się by przeciąć nić historyczną i oddaje Polskę na łup wyuzdanemu radykalizmowi absolutnemu, niszczącemu w niéj systematycznie wszystko co przeszłość przypomina, jak moralista brak cnót gorzko i zawzięcie rodakom wyrzucający, gnie kolana przed najzepsutszemi, najgłośniéj niemoralnemi wielkościami, jak człowiek dbały o istnienie katolicyzmu, rzuca się do stóp prześladowcy wiary katolickiéj, mocarza co gwałtem Unitów od kościoła oderwał, — nieraz wątpić przychodzi o jego szczerości i dobréj wierze. Cóżkolwiekbądź, zdania które ten autor porusza są tak ważne, zastosowanie niektórych jego pojęć tak bliskie, tak groźne nam się wydaje, piętno znakomitego talentu tak dobitnie wszystkie pisma pana Rzewuskiego cechuje, że poczytujemy sobie za obowiązek poprostu i spokojnie rzecz całą rozpatrywać.

Dwa tomy najnowsze obejmują kilka rozmaitych co do treści i co do formy utworów, między któremi najwięcéj ma rozmiaru i najważniejsze trzyma miejsce powieść *Łaska i Przeznaczenie*.

Powieść wspiera się na pojęciu o solidarności rodzin, pojęciu które sam autor tak wykłada: „Historya i doświadczenie rodu ludzkiego uczą, „że człowiek pod pewnym względem nie umiera, ale się odnawia, i że je„steśmy solidarni za przewinienia naszych ojców właśnie dla tego, że je„steśmy przedłużeniem ich bytu. Jeżeli więc odpowiedzialność podobnego „rodzaju, cięży na jakiejś jednostce spółeczeńskiéj, charakter jéj staje się „bezsilnym do zwalczenia lub kierowania przeznaczenia, i wola potężniej„sza od naszéj, ciągnie nas gwałtem do zadosyć uczynienia, jeżeli nam „zbywa na odwadze, ażeby dobrowolnie do tego przystąpić (T. I. str. 2).“ I gdzieindziéj: „Historya święta i świecka pełne są téj strasznéj sprawie„dliwości, która ściga plemiona występne aż do ich ostatniego pokolenia. „Czyż my wszyscy nie nosimy w sobie kary za grzech Adama? Potom„kowie Chama, który szyderstwem znieważył swojego rodzica, czyż nie„zostali skazani na nieustającą niewolę, i czy ta niewola dotąd nie ciąży „na ich barkach zczerniałych afrykańskiém słońcem? Żydzi rozproszeni po „powierzchni świata, czyż dotąd nie pokutują za bogobójstwo przez ich „przodków dopełnione? Szanujmy tajemnice niedocieczone, a nieaśladuj„my tych umysłów ciasnych a pysznych, które wolą obwiniać Boga o nie„sprawiedliwość, niż przyznać że ich pojęcie ma jakieś granice! (T. II. str. 61).“ Pan Rzewuski dodaje jeszcze w przypisku: „Ta solidarność rodu „ludzkiego, na któréj się opiera każda religia i byt każdego stowarzyszenia, „jest i będzie zawsze kamieniem zgorszenia dla wszystkich umysłów logicz-

„nych, nie mających dość pokory, żeby upaść pod stopy krzyża, z któ-„rego wszelka mądrość pochodzi. Nie tylko syn za ojca, ale nawet są-„siad za sąsiada odpowiada w téj niepojętéj a tak oczywistéj ekonomii bo-„skiéj." Oto myśl rdzenna opowiadania. Co do nas, przyjmując wedle Pisma Śgo wyobrażenie solidarności familijnéj (ileż to razy napotyka się w biblii o karze aż do trzeciego pokolenia), nie będziemy się tutaj o szczegóły z autorem sprzeczać.

Przejdźmy do osnowy romansu. Rzecz dzieje się w okolicach Neapolu, wypadki jedne obszerniéj jak drugie opowiedziane obejmują kilkadziesiąt lat czasu. Starożytna i można rodzina Torrcalmar książąt Altavilla, podzieliła się była w XVIII. wieku na dwie gałęzie. Dumny Aloizy został naczelnikiem starszéj książęcéj, łagodny i roztropny Emmanuel młodszéj. Między dwoma gałęziami nastąpił przedział z powodu że Emmanuel ożenił się z kobietą nizkiego pochodzenia w Sycylii. Książę Aloizy Altavilla ze swojéj strony pojął za żonę złośliwą, pyszną i skąpą księżniczkę Izabellę di Medina Celi. Izabélla powiła syna Alfonsa, który przeszedł ją samą w złości. Ten książę Alfons połączył się z anielskiéj dobroci osobą Anną Colonna; ale że Dona Izabella przeklęła raz w gniewie syna i synową, nie mieli potomstwa. Cóżkolwiekbądź, księżna Anna, by się z przekleństwa wyzwolić, przebrała się raz za żebraczkę i tak błogosławieństwo staréj księżnéj uzyskała. Narodził się jéj zaraz syn Benedykt. Wróciła zgoda między Doną Izabellą a synem, i pięciu jeszcze synów pomnożyło rodzinę. Ale spokój trwał nie długo na zamku. Książę Alfons zabił śpiewaka którego niesłusznie o związki z Anną posądził, własne dziecko z podejrzliwości kazał udusić i tym sposobem żonę w grób przedwcześnie wtrącił. Nowe między nim a Doną Izabellą o bogactwa nagromadzone zatargi, skończyły się na tém że się pozbył własnéj matki. Donę Izabellę zamurowano w podziemiu, zostawując mały otwór dla podawania jéj żywności. Tam dobrowolnie się zamorzyła przeklinając swoje potomstwo. Skutki przekleństwa ujrzano zaraz. Wszystkie dzieci księcia Alfonsa wymarły, został tylko Benedykt cnotami Annę przypominający. Nie długo skończył i książę Alfons tknięty apoplexyą. Tymczasem Emmanuel wydał był jedyną swoją córkę za zacnego margrabiego Severaldi. Owoż z synem téj pary, Ferdynandem Severaldi, książę Benedykt najczulszą się przyjaźnią połączył. Oba się ożenili, choć nie w jednym czasie, i margrabiemu Severaldi urodził się syn Rudolf. Benedykt długo pozostał bezdzietny. Trapiło to księżnę która wreszcie przedsięwzięła pielgrzymkę do Assyża, by uprosić świątobliwego O. Leonarda o modlitwy i radę. a) Ten O. Leonard jest to zapewne błogosławiony Leonard który urządził nabożne processie w Kolizeum, i przy którego zwłokach w kościołku Ś. Bonawentury na Palatynie tylu się zawsze pobożnych modli. Bądź co bądź przywitał on księżnę rozumną mową. „Córko „moja, były jego słowa, sama nie wiesz czego żądasz! Rozporządzenia Naj-„wyższego są niedocieczone, ale niemniéj są przeto wypadkiem nieskończo-„néj mądrości. Twoja familia zasłużyła na Jego gniew i jest skazaną na „to by wygasła. O moje dziecię, prawdziwa mądrość chrześciańska jest „posłuszeństwo, pokora i zjednoczenie woli z nieomylnemi wyrokami Boga." Księżna przełożyła O. Leonardowi że Pan Bóg jest wszechmocny i że się przebłagać daje; wszakże pobożny zakonnik odrzekł: „Wiara jest szczytną „cnotą, ale pokora i posłuszeństwo są jeszcze szacowniejsze w obliczu Boga. „Nie jest to tak wielka zasługa wierzyć iż Bóg jest wszechmocny i zdolny

---

a) Autor mówi. „gwałtowna exaltacya ją opanowała i ta wiara sztuczna któréj „się zdaje że hołd oddaje Bogu, podczas gdy usiłuje go skłonić do spełnienia swoich „samowolnych i ludzkich żądań."

„spełnić wszystkie nasze chęci, ale największa cnota jest przełożenie Jego „świętéj woli nad swoją własną. Możemyż wiedzieć czy to czego żądamy „nie jest zgubném dla naszego zbawienia? Przypomnijmy sobie tę matkę „nierozsądną o któréj wspomina Śty Franciszek Salezy. Ona widząc na „śmiertelnéj pościeli swojego syna, z tak namiętną wiarą prosiła o jego wy„zdrowienie że je nakoniec otrzymała. Ale ten syn który umierał jak święty, „nie wrócił do zdrowia, tylko żeby się wnurzyć w przepaść grzechów i żeby „goryczą zatruwać serce matki. Skończył późniéj nędznie, i jego matka „miała do opłakiwania nietylko jego śmierć cielesną, ale nawet utratę duszy.” Księżna nieprzekonana słowami świętego, jęła się nabożnie modlić i otrzymała od Boga łaskę, któréj tak pragnęła. Wkrótce wydała na świat dwóch bliźniaków, którym dano imiona Oktaw i Oktawian. Śliczne te dzieci były zadziwiająco do siebie podobne i kochały się namiętnie wzajem. Wraz z niemi wychowywano starszego o sześć lat Rudolfa, już wtedy sierotę. Zaślepieni rodzice prowadzili jak najgorzéj bliźniaków, i dwaj margrabiowie wzrośli w niewiadomości prostych pojęć o religii i świecie, nie nauczyli się niczego, przyzwyczajeń lenistwa nabrali. Darmo mieli przed oczyma wzór przykładnéj pracowitości w Rudolfie. Tak przeszło ich dzieciństwo, przeszła pierwsza młodość aż do pełnoletności. Było powiedziane, że razem posiądą majorat, który potém spadnie na najpierwéj urodzonego syna, któregokolwiek z dwóch: o ożenieniu przecież żaden nie myślał. Jednego razu Oktaw i Oktawian z Rudolfem, który im niejako mentorował, wybrali się na szczyt Wezuwiuszu. Otóż tam przy blasku płomieni buchających z otworu, zapoznali się fatalnie z hrabią Pollioni, córką jego Florą i siostrzeńcem Orsinim. Pollioni wielki archeolog, fanatyczny wielbiciel starożytności pogańskiéj, roskosznik wedle nauk Horacego, przytém bezbożnik z Rzymu za głośny ateizm wypędzony, Pollioni mimo jakiegoś obłąkania, mimo ubioru dziwacznego staro-rzymskiego, zajął wyobraźnią trzech młodzieńców. Więcéj jeszcze zrobiły wrażenia na Oktawie i Oktawianie oczy pięknéj i namiętnéj Flory. Orsini odrzucony kochanek Flory, materyalista z wykształceniem, zbrodniarz melodramatyczny, postanowił dla zemsty i dla zysku korzystać z tego spotkania. Hrabia zaprosił do siebie nowych znajomych. Wszystkie ponęty umysłu, fantazyi i serca, otoczyły bliźniaków w Villa Romana, rozkosznéj siedzibie hrabiego, nad brzegiem morza po starożytnemu urządzonéj. Darmo Rudolf chciał uchronić swoich kuzynów od wpływu niebezpiecznych wrażeń, czary miłosne powabnéj Flory zakochanéj gwałtownie w obu braciach, i przebiegłość Orsiniego pokazały się mocniejszemi. Orsini do tego rzeczy doprowadził, że Oktaw i Oktawian oddaliwszy się z Neapolu pod pozorem podróży do obcych krajów, skrycie w Villa Romana osiedli. Rudolf, który w tym czasie ożenił się z ukochaną przez siebie osobą, dociekł zdrady, ale jak na to tylko, żeby się stać powiernikiem strasznych tajemnic Orsiniego bez możności ich odkrycia, i być przytomnym potwornemu szlubowi Flory z dwoma obłąkanymi braćmi. Brak znajomości tego co dobre i godziwe u pogańsko wychowanéj dziewicy, i niepewność zasad u zaniedbanych moralnie a namiętnych młodzianów sprawiły, że w tym razie wszystko troje, wbrew ostrzeżeniom Rudolfa, przystali na sofizmata Orsiniego i nastawionego zbrodniarza w szacie kapłańskiéj.

Wróciły wkrótce bliźnięta do domu rodziców i Orsiniego im jako przyjaciela przedstawiły. Rudolf zaś z obawy o drogie osoby nie przestał milczeć. Burza wybuchła niespodzianie. Książę postanowił był ożenić synów i zażądał od nich posłuszeństwa. Skoro napotkał niezwalczony a nieuzasadniony opór, kazał obu braci zamknąć w więzieniu. Otóż Oktaw i Oktawian uciekli z zamknięcia zostawując list wyznający nareszcie całą prawdę. Na tę okropną wiadomość matka umarła, a ojciec przeklął winowajców. — Rudolf starał się wyrobić w Rzymie nadzwyczajną dla bliźniąt

dyspensę; nie powiodło mu się jak oczywista w tych usiłowaniach. I stało się, że stary jakoby bezdzietny książę osiadł przy Rudolfie, jego na dziedzica domu Torrcalmar przeznaczając. Zamieszkali wszyscy razem zamek Torrcalmar gdzie leżały niepogrzebane kości dony Izabelli. Tam pewnego wieczora przeraził Rudolfa i jego żonę śmiech szyderski portretu mściwéj Hiszpanki. Późniéj się pokazało, że właśnie w téj saméj chwili zginęli od pioruna dwaj bliźniaki i Flora. Książę Benedykt nic jeszcze o téj katastrofie nie wiedząc, uderzony tylko nadnaturalném zdarzeniem w sali portretów, kazał zburzyć cały zamek i do miasta z krewnymi się przeniósł. Wkrótce potém Orsini wydany rządowi przez wspólnika bandytę, życie samobójstwem zakończył. Starego obłąkanego archeologa znaleziono w Villa Romana w opuszczeniu zupełném i umierającego z głodu. Śladów Oktawa, Oktawiana i Flory długo nie można było napotkać; w końcu Rudolf odszukał w Sycylii miejsce, w którém ci szczególni a nieszczęśliwi kochankowie przeżyli kilkanaście miesięcy, piękne ustronie gdzie ich gniew Boży dosięgnął i gdzie ich ciała pogrzebu próżno czekały. Pozostał był po nich mały synek imieniem Polidor; tego Rudolf zabrał do Neapolu. Książę Benedykt miał się właśnie ku schyłkowi, ale złożył jeszcze błogosławieństwo na czole wnuka, zażądał zarazem od Rudolfa, żeby Polidor w zupełnéj niewiadomości o swojém urodzeniu wychowany został. Przeszło lat wiele, Rudolf odziedziczył tytuł i dostatki książąt Altavilla a Polidor tymczasem rósł w cnoty i naukę... Na akademii w Padwie gdzie go niektórzy prześladowali, wyrzucając mu z domysłu nieprawe urodzenie, znalazł młodzian opiekuna i przyjaciela w młodym i szlachetnym księciu Delvio. Zkądinąd tajemnicza opieka która od dzieciństwa czuwała nad sierotą, usunęła się w epoce w któréj młodzieniec wszedł w lata męzkie. Nieznajomy dobroczyńca przysłał mu wtedy znaczną summę pieniędzy i list zalecający żeby nie badał tajemnicy swego rodu. Serce Polidora zawsze pobożne, teraz zranione przeczuciem nieszczęść zwróciło się jeszcze bardziéj do Boga. Delvio przedsięwziął podróżować z swoim przyjacielem i tak obadwa dostali się do Neapolu. Opatrzność postawiła na ich drodze syna Rudolfa któremu uratowali życie w bitwie z rozbójnikami. Ztąd poszło zbliżenie Polidora z Rudolfem, a następnie, gdy księżna poddała się gwałtownie dziwacznym posądzeniom, wykrycie tajemnicy. Rudolf w tém zdarzeniu pokazał się jak najszlachetniéj, postanowił oddać Polidorowi córkę swoją za żonę i wyrobił mu tytuł u króla. Ale Polidora inne myśli zaprzątały.

Raz tak rozmawiał z księciem Delvio: „Przekleństwo rodziców, były „słowa Polidora, i występki rodziców zarówno ciążą na ich dzieciach. Je„stem uderzony tym podwójnym biczem i wiele mam do zmazania. — Je„dnak, odezwał się książę Delvio — sam przyznasz, że jeżeli Bóg ma moc „karania, ma niemniéj moc przebaczenia. Lewi był przeklętym od ojca swe„go Jakóba, a jednak z jego lędźwiów powstali prawodawcy Izraela: Moj„żesz i Aaron. — Pokolenie Lewi poświęcone zostało kapłaństwu, odparł Po„lidor, przekleństwo Jakóba zmazane zostało łaską świętego powołania.” Jakoż młodzieniec wstąpił do zakonu by zagniewanego Boga za winy rodziców przebłagać.

Oto cała powieść. Jak widzimy składa się ona z tak niesłychanych, tak wyjątkowych zdarzeń, że czytając ją trzeba zapomnieć wszelkich wymagań prawdopodobieństwa. Nam ta ciągła fantazmagoria, to upodobanie w nadzwyczajności, przykre zrobiły wrażenie. Nie jesteśmy w literaturze wielbicielami sztuk na wyprężonéj linie, oprócz tego sądzimy, że kiedy kto myśl wysoką wciela w opowiadanie, powinien *exceptis excipiendis* jak najprostszych wypadków, jak najpokrewniejszych wielkiéj liczbie ludzi charakterów dobierać. Prawdziwe wrażenie, wrażenie umysłu i serca a nie nerwów, rodzi się w warunkach ograniczenia i skupienia. Zkądinąd czer-

stwe natchnienie pogardza sztucznem drażnieniem fantazyi, a blask i urok poezyi chętniéj na codzienniejsze rzeczy zlewa. Cóż wynosi autora *Łaski i przeznaczenia* nad powieściopisarzy szalonéj szkoły, nad fejletonistów francuzkich? Tyle u niego morderstw, zbrodni, przekleństw, widm, zdrajców, zbójców, wariatów, takie wysilenie by coś nowego wymarzyć (bliźniąt podobnych do siebie mamy nie mało i na teatrze i w powieściach, ale bliźniąt mężów jednéj żony, jeszcześmy nigdzie nie widzieli), co gorsza tak wyraźnie działa tam maszyneria zakulisowych sposobików, że niewidzimy gdzieby istniała rożnica. Prawda scena się dzieje we Włoszech a nie w Polsce, jak w romansie *Swiatło i Cienie*, alec przecie i Włochy są ludzie a nie szatany lub anioły. Powie kto, pan Rzewuski mimo całéj melodramatyczności zewnętrznéj religijne chrześciańskie ma dążenia. Alboż to brak religijnych zdań w romansach francuzkich? Przecież czciciele przedmiotowości w piśmiennictwie, bardzo chętnie religijności jako żywiołu sprzeciwieństwa używają. Pan Rzewuski chce pisać w duchu religijnym, a dla czegoż u niego ta obfitość zmysłowych obrazów i wyrażeń, ta pogańska cześć piękności fizycznéj, co wszystko sprawia że wstydliwa kobieta w rękę książki tego pisarza wziąść niemoże? Wspomnieliśmy o podobieństwach między panem Rzewuskim a fejletonistami francuzkimi, dodać jeszcze musimy że Francuzi lepiéj umieją całość złożyć i pojedynczym ustępom dać właściwy rozmiar a wydatność. Powieść pana Rzewuskiego jest zszyta bardzo niezręcznie. Zaczyna się i kończy opowiadaniem księcia Delvio o młodości Polidora i o rozwiązaniu jego losu; w środek dopiero zamieszczone jest główne opowiadanie, opowiadanie Rudolfa. Dla ułatwienia sobie w pracy, autor wiele drobnych niepodobieństw tu i owdzie rozsiał. Niewczesna i śmieszna trochę zazdrość żony Rudolfa służy mu za sposobik do wyświecenia tajemnicy, piorun uwalnia go w chwili danéj od poszukania staranniejszéj końcowéj katastrofy, — Rudolf znowu zbyt dochowuje tajemnicy Orsiniemu. Niebrak i zbytecznych, trochę ckliwych szczegółów, jak miłość syna Rudolfa z Beatryxą i ks. Delvio z Emilią. Taka obfitość epizodów przypominająca dawniejsze romansopisarstwo szkoły Godwina i Lewisa, że niesięgniemy do autora Gil Blasa i wyżéj, dziś już zbyt pierwotnie wygląda.

Wyliczyliśmy niedostatki, teraz koléj na rzeczy piękne. Raz przypuściwszy rodzaj, dużo do chwalenia w powieści pana Rzewuskiego znajdziemy. Wszędzie tam są ślady wyższego talentu, a niektóre ustępy wielkie robią wrażenie. Obraz Włoch, zwłaszcza Wenecyi, ma świeżość, barwę, życie. Villa Romana i jéj właściciel uważający piękne za prawo absolutne (nam się zdaje że tacy ludzie nieprzypuszczają rzeczywistego istnienia praw absolutnych) powtarzający ciągle wiersze Horacyusza i przemawiający językiem pisarzów starożytnych, Flora pokazująca się coraz to w innéj a zawsze statuy greckie przypominającéj postaci, są pomysłem pełnym oryginalności i siły, niedosyć tylko rozwiniętym. Napad zbójców przedstawia autor w sposób bardzo zajmujący. Co się zaś tyczy scen fantastycznych, jest między niemi jedna, piętno prawdziwego artysty nosząca. Ten ustęp przytoczymy.

Pan Rzewuski opowiada o poszukiwaniach Rudolfa w Sycylii szczęśliwym uwieńczonych skutkiem. Rudolf znajduje miejsce schronienia bliźniaków i Flory.

- Rudolf puścił się ku domowi swoich niegdyś krewnych z wpół umarłym ze strachu Bernardem. Przeszli całą długość sioła i kilka pagórków piaszczystych, rozgrzanych od promieni słonecznych. Nakoniec weszli do lasu. Ścieszka zapuszczona ledwo była widzialna między masami ziół i kwiatów, a wiszące gałęzie dębów, aloesów i kasztanów tworzyły ze wszystkich stron bogate firanki zieloności, których powiew balsamiczny orzeźwiał zmysły niezrównaną świeżością. Słońce z trudnością wciskało się do téj ciemnéj samotni na którą natura rozsypała swoje najdroższe skarby, gdzie purpurowe kwiaty granatów, oleandry i kaktusy zdawały się wspólubiegać z sobą

o pierwszeństwo w barwie, piękności i woni. W chwilach szczęśliwych Rudolf umiałby ocenić ten powab leśny, tę słodką jednostajność harmonii niewysłowionéj, ale teraz ponęty natury nie były zdolne ułudzić jego serca, postępował więc w milczeniu. Las coraz się stawał gęstszym. Nierówności drogi niczém nieutartéj utrudzały nie mało naszych podróżnych. Ale nic Rudolfa zrazić nie mogło. Z mozołem dostali się aż na wierzch pagórka, tam masa czarnych cyprysów zasłaniała domek nie wielki, zawieszony na skale, wszakże dość okazały przez ozdoby swoich gzymsów. „Oto jest dom" odezwał się Bernard blady jak trup i palcem wskazał na ten domek. „Ach, odrzekł Rudolf, jeżeli moi kuzyni chcieli się ukryć przed wzrokiem ludzi, zaiste lepszego wyboru zrobić nie mogli od tego siedliska dzikiego i niedostępnego. Tak niedostępnego dla wszystkich oprócz karzącego Boga." Przebiwszy się przez las cyprysów Rudolf mógł w całości widzieć ten dom. Były to szczątki świątyni pogańskiéj o które się oparł budynek nowy, ale także już ulegający zniszczeniu. W saméj rzeczy było coś dziwnego w tém skojarzeniu ruiny starożytnéj z ruiną świeżego budownictwa, a szlachetna surowość doryckich kolumn świątyni, zdawała się pogardzać wykwintnością czterech kolumn rzymskiego porządku, na których się opierał ganek willi do téj świątyni doczepionéj. Rudolf postępował naprzód nie bez pewnego uczucia bojaźni. Ponura samotność miejsca, pamiątki wiążące się do tego budynku, jakiś duch zniszczenia, który zdawał się nad tém siedliskiem unosić, to wszystko go przejęło jakby jakieś nocne widziadło, Czarne ślady piorunu, były widoczne jeszcze na murze i ostrzegały, że palec Boży dotknął się był tych ścian. Większa część tafel od okien była pokruszoną, a czerwone promienie zachodzącego słońca, odbite przez szyby, które jeszcze pozostały, tworzyły jakby światło piekielne, wzniecające trwogę.

Powój, winokrzew dziki i inne ścielące się rośliny, zaległszy rozpadliny domu, kołysały swoje zielone girlandy, posuszone wiatrem gorącym i cichym. Rudolf a za nim przestraszony Bernard przeszli przez kamienne schody do wnętrzów domu. I krata zardzewiała, która zamykała wnijście, skrzypnęła na swoich zawiasach, a powiew zimny i grobowy dał się czuć kiedy weszli w salonik okrągły, z góry oświecony. Widne były wszędzie ślady dostatków ostatnich właścicieli, którzy zdołali tak upiększyć dom niczém się nie odznaczający powierzchownością swoją; nawet kilka posągów mistrzowskiego dłuta widzieć się dawało. Rudolf nie mógł oprzeć się silnemu wzruszeniu, kiedy wpatrując się w około, obaczył stół nakryty pożółkłą bielizną, przygotowany do objadu czy wieczerzy. Karafinki już nie miały żadnego płynu a jego miejsce kurz zsiadły zastąpił. Pod ścianą stał drugi stół, na nim farfur gęsto opylony i kilka talerzy z owocami zupełnie wysuszonemi. Srebra były czarne jak węgiel, a w kilku rozpadlinach piorun zostawił ślady swojego przechodu. Pokój sypialny do którego weszli, pozostał takim, jakim był podczas téj strasznéj katastrofy.

Zabobon otoczył te ślady sprawiedliwości boskiéj przedmurem bojaźni fantastycznych które dotąd, nawet złoczyńcom wzbraniały przybliżenia się do nich. Co tylko miłość ziemska była wywołała zbytku, wykwintności, już było teraz zniweczone i zczernione płomieniem niebios. Draperya spłowiała od czasu i pyłu, pokrywała jakby całunem, potrójne a świętokradzkie łoże, stojące tam jakby dla usprawiedliwienia bożego gniewu. Trzy gitary z porwanemi struny leżały na sofie, a w marmurowych urnach zdobiących sypialnią, było coś wysuszonego podobnego do liści jesiennych. W łazienkach przytykających do pokoju, pułap jeszcze był oparty na kolumnach z marmuru szarego, a z ich kapitelów zagnieżdżone tam nietoperze, przestraszone przybyciem dotąd od nich niewidzianych istot, rojem rzuciły się ku wychodowi.

Noc już się zbliżała a uroczystość wieczoru przyczyniała się jeszcze do nadania przedmiotom smętnéj postaci grobowéj. Wszędzie pieczęć śmierci była wyciśniona, zdawało się że ręka niewidzialna wyryła na ścianach piorunowemi zgłoskami te same wyrazy karzące, które niegdyś przeraziły Baltazara. Bernard, a nawet Rudolf, nie byli w stanie wyrzec słowa. Niewypowiedziana trwoga sączyła się w ich żyłach. W głębokiém milczeniu weszli do galeryi, niegdyś szklannéj, ale gdzie gałęzie kasztanów, wciskając się przez pokruszone tafle z poza pułapu, gęstemi liściami powiększały rozpoczynającą się już ciemność widokresu. Posągi starożytnych bożków zdobiące ga-

eryą, wydawały się jak widma błąkające się po starych cmentarzach. Rudolf z towarzyszem czemprędzéj przeszli przez tę galeryą, i spiesznie otworzyli drzwi przeciwległe tym, któremi weszli. Przebóg! jaki widok ich uderzył! Krew zlodowiaciała w ich żyłach, trwoga im siły odjęła, musieli oprzéć się o drzwi, bo czuli, że nogi pod nimi omdlewały. Mieli przed sobą gabinet zasklepiony: okna były otwarte, zpoza okien konające światło zachodzącego słońca, przedzierając się przez gałęzie cyprysów, rzucało na ściany blask krwawo-jaskrawy, jakby oddalonego pożaru. Ściany gabinetu i mozajkowa posadzka, więcéj niż reszta gmachu zachowały ślady piorunu, który nie tylko że wszystko zaczernił, ale nawet wywrócił część muru. Niezliczona masa ziół kwiatów okrywała gruzy i przedstawiała bolesną sprzeczność życia i zniszczenia. Około małego stolika postawionego naprzeciwko otworu, przez który piorun uderzył, siedziały trzy trupy wyschłe, czyli raczéj trzy samokosty, okryte szatami rozdartemi i spłowiałemi. Ten, który siedział w środku, zdawał się być zamyślonym i jego ręce bezmięsiste, ściśnione były w dłoniach samokostu, po jego lewéj stronie będącego. Samokost z prawéj strony miał głowę opartą na jednym ręku, a drugą wskazywał na wiersz w książce otworzonéj.

Bernard prawie bez przytomności stał jakby przygwożdżony do drzwi

Rudolf odważniejszy, zbliżył się powoli na palcach, jak gdyby się obawiał przerwać uwagę czytających, tak okropnie przebudzonych. Przystąpił do stolika i schylił się żeby obejrzeć książkę. Było to piekło Dantego: a palec samokostu wskazywał właśnie na wiersz:

Quel giorno più, non vi leggemono avanti.

Z rzeczy czystszego natchnienia przytoczymy ostatni list Polidora do księcia Delvio, list któryby był prawdziwie piękny gdybyśmy w nim pod koniec zdań mistycznych wątpliwéj wartości nie znajdowali.

Wiedz o tem Adryanie, pisze Polidor, że szlubowałem wstąpić do zakonu. Co do ciebie powołanie świetniejsze ale może jeszcze trudniejsze jest twoim udziałem. Będąc panem, przykład wszystkich cnót publicznych i prywatnych powinien przez ciebie świecić w obliczu świata jako pochodnia. Będąc bogatym powinieneś pamiętać, że Bóg pożycza a nie daje i że twoje skarby są złożone u ciebie jako depozyt. Niech błogosławieństwa nędzarzy staną się dla ciebie prawdziwym dochodem. — Podczas gdy będę modlił się w mojéj celi, a z niéj wychodząc ratował konających i leczył niemocy dusz, ty będziesz szafarzem dóbr ziemskich, odblaskiem Opatrzności, narzędziem Tego, który wspiera wdowy i żywi sieroty. Ja będę Maryą a ty Martą. Święty węzeł miłości boskiéj i miłości bliźniego nie przestanie nas zjednaczać w tak odmiennych naszych zawodach.... Adryanie, ani twoje bogactwa, ani wysokie twoje imie nie będą najdroższą spuścizną jaką przekażesz swoim potomkom, ale pamięć twoich cnót. Przewinienia przeciw Bogu i Jego przykazaniom wprowadzają pierwiastek jadowity do krwi wielkich rodów. Jeżeli kaźń sprawiedliwości ludzkiéj nie wyprowadzi tego pierwiastku (o téj idei wspomnimy rozbierając przypiski), on zarazi przyszłość i zostanie takiémże przeznaczeniem zabijającém i prowadzącém do najohydniejszéj zgnilizny, te rody, historyczne, te kolossy sławy, które kiedyś natrząsały się z wszystkiego co ich wielkości sprostać nie mogło. W bezkarności jaką sobie były przywłaszczyły domy rzeczywiście wielkie, zaszczepiony został zarodek ich upadku. Umieszczone poniekąd nad prawo, przesądem w źródle swojém zasługującym na szacunek, ale z którego nielękały się nadużywać, zmusiły samego Boga zastąpić niedołężną sprawiedliwość ludzką i zostać katem. Biada takiemu co chce podnieść co Bóg wywrócił, co chce to poświęcić co Bóg potępił (jakiż sposób dowiedzenia się co Bóg wywrócił i co potępił niepowrotnie, a co usiłowaniom ludzkim do odzyskania pozostawia? — Mgliste wyrazy p. Rzewuskiego tém są niebezpieczniejsze że mógłby je kto chcieć stosować do Polski). Prawdziwa wielkość jest cnota, nie można, ale pokorna, posłuszna, chrześciańska. Prawdziwe szlachectwo jest niewinność... Nasze serca Adryanie, nasze dusze pozostają w zjednoczeniu. Jest węzeł świętszy, ściślejszy, potężniejszy od przyjaźni i miłości A tym jest obcowanie dusz, mających szczęście należéć do jednego kościoła, a ten węzeł jest wieczny i nierozerwany, bo wiąże nas z samym Bogiem

Zdawna praktykowanym przez siebie zwyczajem P. Rzewuski do powieści dodał przypiski, wszakże tą razą nie u spodu stronnic osobno, jeno na końcu razem je umieścił. Z przypisków o których mowa, przypisków zawierających zdania ważne, tylko zbyt pospiesznie i nieporządnie, jakby od niechcenia sformułowane przytoczymy myśli główniejsze.

P. Rzewuski powiada: „Im więcéj w społeczeństwie panuje religia ściśle określona, im więcéj członkowie jego unikają poddawać pod rozumowanie wiarę i warunki bytu społeczeńskiego, tém rzadsze będą tam wypadki obłąkania umysłowego. W stosunku do ludności Francya ma dziewięć razy więcéj chorych na umyśle niż Rosya a cztery razy więcéj niż Anglia. Rozwinięcie potęgi myśli naraża umysł na wielkie niebezpieczeństwo, jeżeli silne przekonania religijne nie przeciwważą przyrodzoną niespokojność.” (*) Rzecz ta prawdziwa o tyle, o ile jest niezaprzeczoną rzeczą że umysł ludzki ograniczenia i miary koniecznie potrzebuje. Zastosowanie przecież źle autor dobrał. Jakże można porównywać z zachodem pełnym życia, dobrego i złego ale zawsze życia, zmartwiałą w objęciach schizmy i samodzierstwa Rosyą? Gdybyśmy chcieli P. Rzewuskiego do absurdum popchnąć, wzięlibyśmy jako jego ideał Chiny gdzie także obłąkanie (wyjąwszy u piaków opium) rzadko się zdarza.

W końcu tego samego przypisku czytamy prawdziwe spostrzeżenie: „Umysły nasze, mówi Pan R., nie są tak wytrwałe i silne jak naszych przodków. Jeżeliby w tém mogło być mniéj i więcéj tobym powiedział że religia dla niniejszego pokolenia jest więcéj potrzebną, niż była dla naszych poprzedników. Bo tamci będąc mężami czynu więcéj niż myśli, niewycieńczali umysłu marném jego użyciem. Głównym rysem naszego pokolenia jest czynność ducha przy bierności omal niezupełnéj ciała. Cóż z takiéj dysharmonii wywiązać się może?”

Gdzieindziéj znajdujemy co następuje: „Dusza i ciało zarówno potrzebują pokarmu .... Tylko prawda przynosi duszy pokarm pożywny. Nauki o tyle są pożyteczne o ile przynoszą prawd chociażby tylko względnych. Wszakże zachodzi wielka różnica między tém co jest niezbędném, a tém co jest tylko pożyteczném. Prawda absolutna wyłącznie jest niezbędną dla człowieka, bo ona jedna utrzymuje żywot umysłowy. Każda nauka, choćby była tylko zbiorem lub przypomnieniem faktów, udzielać może prawdy absolutnéj, bo każdy fakt dokonany jest w sobie jakąś prawdą absolutną. Prawda filozoficzna dostatecznego pokarmu umysłowi przynieść nie może, bo ani jest ani być może absolutną. Ona jest prawdą pewnéj epoki i nic więcéj. Dziś taki coby był ścisłym Platonicyanem nawet Kartezyanem lub Encyklopedystą z równą słusznością uchodziłby za szalonego jak w swojéj własnéj epoce za mędrca. Jeżeli w tych systematach filozoficznych jest jaka prawda absolutna, ona nie była wydobyta siłą indywidualnego umysłu, ale oderwaną została od jakiegoś objawienia i przekazała się podaniem w starożytności. Uprawa filozofii przynosiła ludzkości korzyści niezaprzeczone ale które powtórzone być nie mogą ... Racyonalizm miał jakąś siłę dodatnią w okresie kiedy religia wyłącznie poetyczna nie mogła być węzłem moralnym w społeczeństwie już wyszłém z okresu młodocianego. Dziś kiedy religia którą sam Bóg objawił i krwią własną zatwierdził, przynosi wszystkie bez wyjątku warunki moralne bytu i ukształcenia społeczeństw, cóżby pozostało filozofii któraby wprost z téj

*) P. Rzewuski nie umie szanować przeciwników swego zdania i tém sobie samemu ubliża. Powiada on naprzykład: „Szczerze się lituję nad wielu z naszych, którzy rzucili się na drogę, która ich doprowadzić może do szaleństwa i to w kraju, któremu zbywa na zakładach dla tego rodzaju niemocy.” Ta na pół żartobliwa obelga niczego nie dowodzi.

„religii nie wytryskała? Samo nicestwo, sama ujemność ... Nauka filo-„zofii pozostaje jedynie jako historya myśli ludzkiéj w rozmaitych jéj okre-„sach." Pojęcia te, jakkolwiek okryte bezładną szatą dyalektyczną, uznajemy za prawdziwe.

Przejdźmy do innego przypisku. Pan Rzewuski utrzymuje i słusznie: „Człowiek z przyrodzenia swego jest istotą wierzącą, bo inaczéj niebyłby „towarzyskim i zdolnym do przyjęcia światła. Kto w nic nie wierzy ten „nic nie umie. Ztąd ludzie prawdziwie uczeni a zwłaszcza geniusze są ła-„twowierni (żałujemy, że Pan Rzewuski innego wyrazu niepołożył) podczas „gdy ludzie ciasnego umysłu są podejrzliwi i trudni do przekonania. Nie-„ufność względem drugich może być i jest wielce korzystną dla wszystkich „materyalnych interesów żywota, ale to pewna, że co tylko wychodzi z ich „koła nigdy zdobyte nie będzie bez jakiéjś łatwości do wierzenia drugim. „Tu zawodzenia odstraszać niepowinny. Nienakłaniam nikogo do wierze-„nia w strachy, czary, sny, ale o tém niewątpię, iż można być bardzo ro-„zumnym, uczonym mężem, a temu wszystkiemu w całości albo w części „wierzyć. Mniemane silne duchy potępiają jako zabobon to wszystko cze-„go nierozumieją. Dla nich co tylko logicznie udowodnioném być nie mo-„że, odrzucone być winno. Jakby logika była warunkiem prawdy! Jakby „fałsz nie mógł być logicznym. Niektórzy niby filozofi nierozumieją co to „jest logika; biorą formę obmyśloną do rozumowania, za warunek samego „rozumu i prawdy." Żeby dowieść, że wielkie geniusze polityczne i wojskowe ulegały jak to nazywają zabobonom, Pan Rzewuski wspomina przykład Cezara i Napoleona.

To co teraz przytoczymy za wielki uważamy paradox „Są narody, pi-„sze Pan Rzewuski, dla których pociechy intellektualne są niezbędną potrze-„bą. Takimi są Araby a w naszéj Europie Neapolitańczycy. W plemio-„nach germańskich i słowiańskich, człowiek znużony pracą czuje potrzebę „pokrzepić siebie rozpalającym trunkiem. Żeby im odjęto użytek trunków, „więcéjby z tego szkody niż pożytku wynikło. Ani piwo ani gorzałka nie „są przeszkodą do rozprzestrzenienia jak to mowią cywilizacyi. Przecież „Anglicy stoją na jéj najwyższym szczeblu. A z drugiéj strony niewidzi-„my, żeby Mahomet pobudził wykształcenie. Twierdzę że lubo filantropia „już utworzyła stowarzyszenia trzeźwości, nie dopnie ona wprzódy swoich „celów, aż przerobi wszystkich na Neapolitańczyków, którzy zmęczeni dzien-„ną pracą nie do szynków biegną ale na Molo słuchać improwizatorów „i im dają udział swoich zarobków." Fakt cząstkowy, źle sprawdzony (niezawodnie więcéj daleko Neapolitańczyków w szynkowniach jak w kole improwizatorów się znajdzie) wystarczył Panu Rzewuskiemu do nieusprawiedliwionéj napaści na zbawienną instytucyę. Prawda zakazał jéj u siebie cesarz rosyjski jako rewolucyjnéj. Zresztą instytucya trzeźwości jako bractwa nie na drodze filantropii ale na katolickiém polu wyrosła. Niechaj się autor spyta gorliwych o dobro kraju Irlandczyków co za skutki missye O. Macieja wydały, a oświeciwszy się pewno sobie raz drugi lekkomyślnéj zaczepki niepozwoli. Niewola w jakiéj arendarze trzymają lud wiejski w Polsce, demoralizacya pijacka szerząca się w naszych miasteczkach, głośno przeciw takim dziwacznym zdaniom, jak zdanie przywiedzione przez nas, przemawiają.

Pan Rzewuski powiada znowu: „W społeczeństwach gdzie żywioł ary-„stokratyczny wygasł i materyalnie i moralnie a industryalizm stał się głó-„wnym żywiołem życia społecznego, można być pewnym, że wkrótce po-„ezya i sztuka znikną a za niemi i nauki. Oprócz tego po perturbacyi mo-„ralnéj zwykle następuje i perturbacya materyalna." Jest to bardzo przesadzone. Przyznalibyśmy słuszność autorowi, gdyby był żywioł religijny za

warunek konieczny wyższego społecznego życia położył: tak jak jest sformułowane jego zdanie tylko w części prawdę zawiera.

W jednym przypisku czytamy: „Żydzi muszą owładnąć Europę bo wierzą, a chrześcianie, to jest ci którzy przewodniczą cywilizacyi, stracili wiarę i są gotowi wszystko za pieniądze oddać; żydzi im ich dostarczą." Wygląda to na dowcipny sarkazm, przecież fałsz leży w założeniu. Większość żydów na zachodzie wcale wiary niema. Między nimi jeszcze się znaczniejsza liczba sceptyków prawdziwych, jak między Chrześcianami znajdzie. Szczególniéj to powiedzieć można o żydach w Prusiech.

Autor pisze na inném miejscu: „Mamy tyle przepisów, tyle środków „dla zachowania czerstwości ciała, a tak mało dla zachowania czerstwości „umysłu. Przecież i dla niego potrzebna jakaś hygiena. Każdy wie że są „pokarmy materyalne zgubne dla pewnych organizacyów, a jak mało jest „takich co umieją poznać, że są niektóre pochwyty intellektualne szkodliwe „dla duszy.... Wiele to ludzi lekkomyślnych szydzi z kongregacyi indexu, „nawet z takich, którzy nauczeni doświadczeniem umieją poznać, że żaden porządek społeczności dotrwać nie może, przy wolności ogłaszania „wszelkich myśli bez jakiéjś kontroli. Wszakże cenzura czémże jest jeżeli „nie kongregacyą indexu? Cała różnica, że pierwsza zabrania ogłaszać książki szkodliwe a druga zabrania je czytać.‟ Ta szczególna apologia cenzury z prawdziwych na początku założeń wyprowadzona, to jéj porównanie do indexu na surową odprawę zasługuje. I cenzura i index nie są przecież rzeczami oderwanemi, znamy je w historyi. Z kogóż się składa kongregacya indexu tak konieczna do pilnowania zboczeń w rzeczach wiary, która ma jedną pozostać? Oto z duchownych poważnych, światłych, wysokiego stanowiska.

Jakżeż to ciało postępuje? Oto powoli, wytrawnie, dekreta swoje światu ogłaszając. Cóż za podobieństwo z cenzorami ludźmi niskiego urzędu, działającymi skrycie w ciemności, wedle kaprysu i w widokach mizernego interesu chwilowego władzy? Cenzury wysokiéj, systematycznie na podstawach moralnych opartéj, niewidzieliśmy jeszcze w żadnym kraju. W Rosyi mniéj jak gdziekolwiek godzi się cenzurę chwalić. Przecież pan Rzewuski wie dobrze że cenzura rosyjska tak sroga ile razy chodzi o historyczne i religijne rzeczy, coby mogły prawdziwie umysł Polaków podnieść, wszystkie bezeceństwa obyczajowe (gorsza to trucizna, od trucizny politycznéj) wszystkie tłumaczenia Pawła de Kock i *Żyda Wiecznego* skwapliwie przepuszcza.

Wypada nam jeszcze napomknąć o tych z Józefa de Maistre w rzeczy zadosyćuczynienia na tym świecie pożyczonych wyobrażeniach. „Filantropi, przeciwnicy kary śmierci, twierdzi pan Rzewuski, nie chcą poznać „że między ludźmi jest taka solidarność, że jeżeli sprawiedliwość ludzka „nieukarze należycie niektóre przewinienia, wtedy sprawiedliwość boska uderzy na całą społeczność, która poniekąd staje się wspólnicą tych przewinień swojém pobłażaniem. Wedle zasad chrześciańskich władza nad „ludem jest spuszczona od Boga jego prawym pasterzom i prawo życia „i śmierci nad podwładnymi nigdy nie było praktycznie im zaprzeczone." Co do nas jesteśmy przeciwni karze śmierci, mniemamy że więcéj o poprawę winowajcy, jak o zadosyćuczynienie i groźny przykład społeczeństwu chrześciańskiemu chodzić powinno, ufamy nawet że systemat zupełnego odosobnienia w domach karnych z odpowiedniemi sobie bractwami religijnemi, nad nawróceniem więźniów czuwającemi, zastąpi z czasem krwawe exekucye. Ztém wszystkiém nie myślimy tu na nowo i nawiasem przedmiotu takiéj wagi dotykać. Z innéj strony zaczepimy systemat pana Rzewuskiego. Oto w Piśmie Ś. które wyraźnie mówi o karaniu na dzieciach i wnukach za przewinienia ojców ciążącém, niema wzmianki o konieczno-

ści krwawéj expiacyi. Śmierć krzyżowa Chrystusa Pana umęczonego za grzechy ludzkie reguły niestanowi. Wyraźnego tekstu, wyraźnéj tradycyi w kościele, żądamy na usprawiedliwienie ponurego pojęcia, które o ile źle zrozumiane, może najsroższym tyraniom za tłómaczenie posłużyć. Jak we wszystkich rzeczach świata, tak i w teoryi o solidarności rodzin i społeczeństw chrońmy się mistycznego pociągu do wniosków ostatecznych. Pamiętajmy też zawsze że Boski Zbawiciel prawo miłości a nie prawo krwi przyniósł.

Uderzający jest dosyć ostatni przypisek. Autor rozwija w nim myśl taką: „Nasz okres nazywają okresem postępu ludzkości a właściwiejby go „nazwać okresem kar boskich. Świat ukształcony cierpi, bo swoje ukształ„cenie zboczył od drogi jemu otworzonéj od Chrystusa."

I w przedmowie ogólnéj, sklejonéj nieporządnie, za pośpiesznie, nieprzejrzanéj jak się zdaje w chwili spokojniejszéj, zastanawiające rzeczy autor pomieścił. Między innemi czytamy tam: „Myśl dworska tylko wtedy „powoduje przyrodzony pochód ludzkości, kiedy opiera się na jakiemś po„daniu, inaczéj robi skoki często zadziwiające, ale bez żadnego dla niéj „pożytku. Obyczaje, prawa, nauki, kunszta, narodowości nie są czém „innem tylko szeregiem im właściwych podań. O tém zapomniały umysły „które przywłaszczyły sobie kierunek dzisiejszéj cywilizacyi. Zdołały przer„wać nić narodowych podań, mniemając że postęp ludzkości może być „pobudzony myślą indywidualną niewiążącą się z przeszłością. Tyle siły „tak nieograniczoną swobodą przyznawszy pojedyńczemu rozumowi, świat „dzisiejszy powinienby wyradzać potężne indywidua w każdym zawodzie. „A czyż owszem niemożemy się użalać na ich niedostatek? Rzecz dziwna, „okresy w których umysł ludzki był że tak powiem skrępowany tysiącem „względów i wymagań towarzyskich, obfitowały w wielkie męże każdego „rodzaju, a w naszym...." (*a*) To wszystko dobrze tylko radzibyśmy wie-

---

a) W przedmowie napotkaliśmy dosyć ważne literackie spostrzeżenia, które przytaczamy:

„Byłoby do życzenia, są słowa p. Rzewuskiego, żeby jaki pracowity a dobrochę„tny uczony raczył się zająć u nas wyszukaniem misteriów jakie przed dwoma wie„kami w Europie zachodniéj i południowéj, a w Polsce jeszcze przed stoma laty wy„stawiano po klasztorach zajmujących się wychowaniem młodzieży. Twory podobne „nie były nigdy drukiem ogłoszone. Byłaby to nie mała przysługa dla naszéj litera„tury i może posłużyłaby do umiarkowania rozpowszechnionego zdania, że literatura „polska wstąpiwszy do grobu z Zygmuntami, dopiero za Stanisława Augusta się od„rodziła. Co nigdy nie trafiało do mojego przekonania. Kto nie umie odróżnić histo„ryi drukarń, od historyi literatury, ten bezwątpienia bezwarunkowo uwierzy w to „mniemane odrodzenie nauk i piśmiennictwa Stanisławowskiego okresu. Tymczasem „nasi przodkowie więcéj pracowici a mniéj próżni od nas, wiele pisali a niekwapili „się z ogłaszaniem swoich prac, bo uważali piśmiennictwo być rozrywką a nie rze„miosłem. Posiadamy jeszcze ogromną literaturę rękopisową, chociaż znaczna jéj „część już zaginęła. Nietylko biblioteka niegdyś Załuskiego a teraz publiczna Peters„burgska, zakład Ossolińskich we Lwowie i inne powszechnie znane prywatne księ„gozbiory obfitują w najciekawsze rękopisy które nigdy ogłoszone nie były, ale nawet „jest w kraju naszym mnóstwo archiwów szlacheckich w którychby można znaleźć „ważne pomniki inteligencyi narodowéj." P. Rzewuski przypomina *Pamiętniki Paska* i nowo ogłoszoną epopeję *Wojna Chocimska* i epopeję wojny domowéj pod Olkienikami przez P. Przezdzieckiego wydaną. „Jeżeli, mówi jeszcze, w jakim narodzie „kunszt snycerski jawi się w płaskorzeźbie, musi koniecznie jawić się i w posągach. „Wedle ścisłych praw analogii między kunsztami, gdzie tylko okazują się epopeje, „tam muszą być i twory dramatyczne. Pierwsze zeszłéj epoki dopiero teraz zaczy„nają być nam znane, z czego wnioskuję że i drugie gdzieś się jeszcze ukrywają."

„dzieć jak autor pogodzi część tę podań w Polsce, z wyobrażeniami swo-„jemi o zatraceniu Polski i o poddaństwie Rosyi?

Wszystkie zdania, tak obszernie przytoczone przez nas powyżéj, spróbujemy kiedyś odnieść do pewnéj całości wyobrażeń. Mniemamy że się wówczas pokaże, jako pan Rzewuski przy całéj swojéj bystrości, całéj wytrawności, i całéj znajomości dobrych pisarzów, których mniéj lub więcéj ściśle powtarza, niema ściśle obmyślonego systematu, i jako raczéj wyłącznemi pociągami, kapryśną ochotą sprzeciwiania się, natchnieniami niepowściągliwego dowcipu, a nawet względami położenia osobistego, niż szczérą miłością dla prawdy i szczerą gorliwością o dobro bliźnich się powoduje.

Przejdźmy teraz do Mysterium czyli Kolendy dramatycznéj noszącéj tytuł *Zawód sprawiedliwego czyli Łaska*, *Pokusa*, *Upadek*, *Żal i Śmierć*. W téj pięcioaktowéj sztuczce chodzi o to, czy niebo, czy piekło mędrca Biona dostanie. Na scenie widzimy Chrystusa Pana, trzy cnoty teologiczne, także Skruchę i Łaskę, szatanów, i siedem grzechów głównych, osoby moralne jak Dusza, Geniusz, Rozum, Rozsądek, Wyobraźnia, Pamięć, Myśli i Serce, w końcu Śmierć. Piekło podobne jest do wszystkich piekieł. Charakterystykę zewnętrzną grzechów głównych dosyć zabawną znajdujemy. I tak *Pycha* ma frak ostatniéj mody, wąsy i brodę długie, czuprynę jakby kołtuniastą, guziczki do koszuli z fałszywych diamentów. *Lenistwo*, to młody dandy w szlafroku jedwabnym, z nogami w żółtych papuciach bez pończoch, z jedném cygarem w ustach, drugiém w ręku. *Lubieżność* kryje się w postaci starca, w surducie wigoniowym z mnóstwem breloków. *Gniew* nosi rysy kucharki Niemki.

Wspomnimy jeszcze że *Obżarstwo* występuje jako szlachcic w staro-dawnym stroju, a wspomnimy, żeby surowo ten wybryk skarcić. Pod cenzurą rosyjską takich się dowcipów nie stroi. Zresztą kiedy chodzi o grzech obżarstwa, to pono panu Rzewuskiemu łatwo było znaleść jego personifikacyą w towarzystwie w którém żyje, i niepotrzebował poruszać popiołów przeszłości. Między osobami moralnemi *Rozum* nosi spodnie nankinowe, frak werdepanowy starannie zapięty, *Rozsądek* w postaci notaryusza ma okulary i perukę, *Wyobraźnia*, to szarlatan włoski, *Pamięć*, to stary gaduła.

Są w kolędzie rzeczy zabawne, sceny prawdziwie komiczne. Kiedy *Pycha* wydziera się z piekła na ziemię mówiąc: „Moje miejsce jest na zie-„mi w mózgownicach tegoczesnéj młodzieży — waszeć mnie tu zatrzymujesz, „a tymczasem na dole dziwować się muszą że młodzież raptem została tak „skromną,“ albo kiedy się tłumaczy z zarzutu paraliżowania zdolności rozumowaniem. „Wątpienie jest to co najwięcéj ścieśnia rozum, bo niedozwala

---

P. Rzewuski, robiąc wzmiankę o nowo wydrukowanéj *Wojnie Chocimskiéj* utrzymuje że *pod względem potęgi języka, werwy i śmiałości*, niema się ona powodu lękać porównania z *Wojną Chocimską* Krasickiego. Tu dodaje następujący przypisek: „Bez wątpienia twory literackie całkowitego okresu od zejścia Zygmunta III. aż do „Stanisława Augusta, grzeszą zbytkiem makaronizmów, mówię zbytkiem, gdyż żadna „literatura nie obchodzi się bez jakichś makaronizmów, mniéj lub więcéj zręcznie „ukrytych. W mowie naszéj jest mnóstwo przybyszów łacińskich, niemieckich, „francuzkich, którzy uzyskali wszystkie prawa obywatelstwa. W literaturze Stanisła-„wowskiéj niemało przebija się toków francuzkich. To złe, jeźli złe jest nieuchron-„ném. Ale co jest rzeczywistém złem, to makaronizm w myślach, bo ten zabija ducha „narodowego. W pisowni poprzedzającéj mniemany okres odrodzenia naukowego „jest niesmaczny natłok wyrazów i wyrażeń łacińskich, ale wszystkie myśli i obrazy „są czysto polskie. W pisowni Stanisławowskiéj niby czystéj, i w naszéj teraźniejszéj „jeszcze niby czyściejszéj, czy wiele znajdziemy myśli polskich?“

„mu się ruszać po za kołem prawdopodobieństw znanych, i moje przyro- „dzenie zmusza mnie ścieśniać rozumy", w istocie śmiać się trzeba. Scena aktu trzeciego między ***Rozumem***, ***Rozsądkiem***, ***Myślami*** i ***Geniuszem***, scena zakończona bałamuctwami ***Wyobraźni*** i poddaniem się wszystkich sennéj atmosferze cygarowéj ***Lenistwa***, udała się szczęśliwie. Co razi, to wprowadzenie na widownią Chrystusa Pana, bez oświecenia boskiéj Jego postaci żadnym urokiem, bez podniesienia jéj na wywyższenie. Chrystus Pan w Kolędzie mówi pospolitości i jest jedną z podrzędnych osób. Znaleźliśmy i inne rzeczy do naganienia. ***Serce*** zbyt gapiowatą dostało rolę, ***Wyobraźnia*** zbyt trywialną. Wiele szczegółów złego smaku napotyka się w ciągu. Czytamy naprzykład w monologu ***Duszy***: „Jakże mnie boli (***Dusza puszcza wiatr***). Przecie! i to jest co nazywają westchnieniem. Wzdy- „chania są wiatry duszy która siebie przeładowała błazeństwami ziemskie- „mi. Święty Augustyn nazywał łzy ***Sanguis animae***." Oprócz tego trzeci akt kończy się kankanem diabelskim. Do podobnego rodzaju dowcipu zgoła nie posiadamy zmysłu. Zkądinąd i w Kolędzie p. Rzewuski pochlebia władzy; a co stokroć naganniejsze, każe ***Sercu*** i ***Myślom*** poloneza z grzechami głównemi tańcować. Wszędzie więc u niego ta zjadliwa przeciw własnéj ojczyznie zawziętość występuje!

By wypróżnić do szczętu swoją tekę literacką dał nam jeszcze p. Rzewuski kilka drobnych kawałków. Po Kolędzie znajdujemy powieści ***Dentysta*** z długim humorystycznym tytułem, fragment ***Stanisław Otwinowski***, opowiadanie z napisem: ***Jedno wspomnienie mojéj młodości*** i ***Wyjątek z dziennika Arki Noego***.

Powieść ***Dentysta*** przypomina próby fantastycznéj literatury pp. de Balzac, Jules Janin, i innych przed dwudziestu laty. Piękna jedna Hiszpanka nie ma zębów i znaczne pieniądze dentyście za fałszywe, byle białe i drobne zęby przyrzeka. Dentysta, by zębów dostać nawet do trumien zagląda, a potem z chciwości młodą dziewczynę zabija. Wszyscy podziwiają zęby margrabiny, tymczasém w rocznicę śmierci Papity krew zaczyna jéj ciec z dziąseł, szał ją jakiś porywa, zaczyna wściekle kąsać dentystę, i oboje umierają. Jest w tém wszystkiém zachcenie krytyczne; wszelako, choćbyśmy nawet cel rozgrzeszyli, niepodobna nam przystać na takie odrażające, takie bezecne szczegóły.

Opowiadanie o zbrodniach Stanisława Otwinowskiego, o karze nadprzyrodzonéj jaka go spotkała, o jego żalu za grzechy, i fundacyi kościelnéj w testamencie nakazanéj, z zajęciem przeczytać można.

Jedno wspomnienie mojéj młodości zaczyna się od zapytania: „coby „się stało z rodem ludzkim, żeby wszystkie religie zostały zniszczone pod „ciosem racyonalizmu, żeby filozofowie zostali jedynymi kapłanami, a logika „jedyną teologią?" Daléj znajdujemy pogadankę bez ładu, zakończoną uwagą że ruch filozoficzny i rewolucyjny Europy nie jest czém inném, tylko wojną między posiadaczami urzędów a aspirantami do urzędów, i odpowiedź na założenie. Odpowiedź ta brzmi jak następuje: „gdyby religia wy- „gasła, wszelkie zabobony, wszelkie głupstwa, wszelkie aberracye umysło- „we natychmiastby ją zastąpiły. Bo nie filozofia, ale właśnie religia od ich „natłoku chronią ludzkość. We Francyi w drugiéj połowie XVIII wieku „Illuminizm, Mesmeryzm i Martynizm wielką odgrywały rolę." Ztém wszystkiém utrzymuje autor, że nie wszystko nadzwyczajne jest zabobonem: Wielce poważne osoby zaświadczają o stosunkach świata niewidzialnego z widzialnym. Po takim wstępie opowiada p. Rzewuski o swojéj bytności z ojcem u Tadeusza Czackiego, i o nadzwyczajnych faktach jakie tam usłyszał z ust ks. Kołłątaja, któremu się miał pokazać po śmierci stary fryzier Niemiec, i od P. Oboźnego Grocholskiego, który złożył pisaną relacyą o ukazaniu się pani miecznikowéj Chołoniewskiéj, matki księdza Chołoniewskiego,

téj co zginęła w płomieniach, jéj siostrzenicy pani oboźnéj Grocholskiéj. Z ciekawością odczytaliśmy opis tych głośnych w Polsce wydarzeń.

Króciuchny *wyjątek z dziennika Arki* wyśmiewa tych co utrzymują że bezpieczniéj obcować z głupcami jak z rozumnymi.

We wszystkich teraz ogłoszonych utworach p. Rzewuskiego pełno jest przymówek do krytyki i krytyków. P. Rzewuski zaręcza, że się w dyskusye nie wdaje. „Dyskusya, powiada, dowodzi niepewność, a ja w tém czemu wierzę, najmniejszéj nie mam wątpliwości.“ P. Rzewuski zapomniał że i ojcowie kościoła dyskutowali. Ale mniejsza o to. Niechęć do dyskusyi nie przeszkadza p. Rzewuskiemu zaczepiać swoich piśmiennych przeciwników na wszelki sposób. Przytyki, sarkazmy, wszelka broń dobra dla niego. Raz nawet wzywa młodych literatów, o których powiada że go chcą krytykować, ale nie wiedzą jak, żeby się do niego z szczerością udali. „Ja- „bym, woła, z szczerością nauczył was jak macie mnie krytykować. Na tém „i wy i ja i czytelnicy wasi by zyskali. Wy, bobym wam pokazał słabą „stronę moich utworów, którą sami z siebie nigdy niezdołacie poznać. Ja, „bo tyle nażartowawszy się z innych, radbym z siebie pożartował. Wasi „czytelnicy, bo zamiast nudzenia się nad waszemi płaskiemi chryjami, nie- „razby się rozśmiali serdecznie.” Nie będziemy tu mówili o prawach krytyki w oświeconych towarzystwach, zrobimy tylko uwagę, że skromność do głównych cnót p. Rzewuskiego nie należy.

Wypada nam powiedzieć słowo o stylu w dwóch ostatnich tomach. Jest on jak zwykle u autora *Listopada* wlokący się, nie wygładzony, rażący zwrotami francuzkiemi, w najwstydliwsze błędy składni, gramatyki i pisowni obfitujący. Rzecz szczególna że p. Rzewuski, jędrny i poprawny w *Pamiątkach Soplicy*, nieutrzymał się na pierwszéj wysokości w następnych swoich pismach. Niedbalstwo jego prawie rozmyślne, wielkiego lekceważenia własnego powołania i czytającéj powszechności dowodzi.

Jeszcze jedno słowo na zakończenie, o naszych polskich do Pana Rzewuskiego urazach. Umysł ten, nieznający miary w niczém, uprzedzenie swoje do wysokości zdań wyrozumowanych wynoszący, brnie coraz daléj w ślepą zawziętość. W książce którą mamy pod ręką, to z ironią o świattle, o ukształceniu moralném Polaków rozprawia; to słusznie gniewając się na tych co miotają obmowy przeciw ludziom wyższym i zasłużonym, zarzut dotykający wszystkie kraje gdzie jest wolność druku, ogranicza do Polski, jak gdyby dla tego, by przy sposobności rzucić jéj w oczy wyraz zgnilizny, i oświadczyć że ją Pan Bóg z przyszłości wydziedziczył; to w końcu w Polsce tylko widzi niesumienność opiekunów, złodziejstwo officyalistów, lichwę, pieniactwo między krewnymi, zazdrość, obmowę i. t. d. Gdzież sprawiedliwość, gdzie szlachetność, gdzie rozsądek, żyjąc wśród ohydnego zepsucia mongolskiego, mając przed oczyma rozpasanie obyczajów, przedajność, nikczemność umysłową już nie ludzi prywatnych, ale piastunów władzy obcéj, całą surowość obracać na rodaków uciśnionych, a uciśnionych przez daleko gorszych od siebie? Prawdę narodowi winno się mówić, mówić jak się ją czuje, bez zastrzeżeń i omówień; ale żeby mieć prawo z prawdą do rodaków występować, trzeba kochać swoją ojczyznę. Po kilkakroć już surowo o Panu Rzewuskim mówiliśmy. Nie jesteśmy względem niego uprzedzeni. Ile razy znajdujemy w jego pismach rzecz wysoką, pożyteczną, nie zamykamy na nią oczu. Wszakże są zdania, są czyny tak wyraźnie złe i nieusprawiedliwione, że bez oburzenia mówić o nich niepodobna. P. Rzewuski jest renegatem Polski, jest nim jawnie, z namysłem, owoż jak z odstępcą obchodzić się z nim musimy.

WSPOMNIENIA z PODROŻY do SYBERYI i POBYTU w BEREZOWIE, spisane przez *Ewę Felińskę*. Wilno, 1850.

Znaczna część tych *Wspomnień* umieszczoną była przed kilkoma laty w piśmie wileńskiém *Athenaeum*. Obudziły one wówczas powszechną uwagę. Chlubne, patryotyczne przestępstwo, — surowość kary, — stan i wiek autorki, — jéj cierpliwość, pokora, umiarkowanie posunięte aż do względności dla prześladowców, — z drugiéj znowu strony szczegółowe opisanie kraju nader mało dotąd nam znanego, a przecież przeznaczonego na wygnanie i grób nie jednemu sercu polskiemu, — przytém styl pełny, prosty — wszystko to zbiegło się razem, by tę książkę postawić w rzędzie zajmujących dzieł literatury naszéj. Z radością przeto powitaliśmy ukazanie się jéj w osobném i uzupełnioném wydaniu. Autorka nie tylko wiele nowych rozdziałów dodała, ale nadto powiększyła znane już nam ustępy mnóstwem ciekawych szczegółów. Jak najusilniéj więc polecamy czytelnikom całe dzieło, w przekonaniu, że znajdą w niém wiele pokarmu równie dla serca, jak dla umysłu.

Jedną pozwolimy sobie zrobić autorce uwagę. Byliśmy świadkami czytania tych *Wspomnień* w liczném gronie rodzinném. I starsi, i młodsi z równém słuchali natężeniem. Był to festyn dla wszystkich, bo na nieszczęście tak rzadko u nas pojawia się książka, którą bezpiecznie w towarzystwie kobiet i dzieci bez opuszczeń czytać można. Dzieci, osobliwie przy obudzonéj do najwyższego stopnia ciekawości i imaginacyi, każde słowo chciwie chwytały. Posuwiście szło czytanie. Zdało się, że jednym tchem cała książka odczytaną będzie. Otóż jakież musiało być nasze zdziwienie, a razem i żal, gdy nadeszły miejsca, które nieprzygotowany lektor plątającym się językiem co prędzéj przebiegać, lub następnie lepiéj ostrzeżony, całkiem przeskakiwać był przymuszonym. I już odtąd obawa psuła wrażenie do końca. Ośmielamy się więc dać autorce radę, aby podobne ustępy jak na stronie 151—159—162—174—223 — zechciała wypuścić w następnéj edycyi. Nic na tém dzieło jéj nie straci, a może się stać klasyczném dla młodzieży. W Anglii połowę książek przeznaczonych dzieciom do czytania stanowią *Podróże*. Uważano, że tym sposobem nauka prędzéj przylega i władze umysłowe rychléj się rozwijają. Ztąd powstały podróże urojone, jak Robinson Crusoe, o którego użyteczności świadczy popularność, we wszystkich krajach od przeszło stu lat wzrastająca. U nas zbyt jeszcze mało jest podobnych utworów. Nie możemy przeto życzyć autorce świetniejszéj nagrody i chwały, jak żeby książka jéj stała się równie korzystną, a przyjemną rozrywką dla starszych, jak dla dzieci. Radzilibyśmy przytém przejrzeć niektóre wyrażenia, albo niedość ścisłe i jasne, albo zarywające w pospolitą deklamacyą. Już błąd ten uważaliśmy *w Hersylii*. Tu on więcéj jeszcze razi. Nie godzi się naprzykład chrześciance utrzymywać, że ***człowiek nie wie skąd przyszedł, ani dokąd dąży*** (str. 60).

Gdybyśmy chcieli przytaczać choćiażby tylko najcelniejsze miejsca, zapełnilibyśmy wiele kart naszego pisma. Musimy się przeto ograniczyć na wyjątku historycznéj wartości, bo ściągającym się do jednego z ziomków co najwięcéj dla sprawy naszéj wycierpiał.

Tobolsk, kwiecień 1839. — W krótce przybyło do naszego towarzystwa grono tak nowych, jak odnowionych znajomości: mieszkańcy niegdyś naszéj okolicy, którzy nas poprzedzili do Tobolska. Zastaliśmy tam majora Szredera, niegdyś towarzysza służby wojennéj Seweryna Krzyżanowskiego, Antoniego Pawszę z Wołynia, Konstantego Wolickiego, Onufrego Pietraszkiewicza z Wilna, Ignacego Strumiłę z Wołynia, Stanisława i Rafała Kiersnowskich z Nowogrodzkiego. Karol hr. Marchocki uprzedził nas tylko na dni kilka do Tobolska. Ich towarzystwo rozbijało, jeżeli nie rozpędzało tęsknoty za tymi, których serce w żadnéj chwili życia zapomnieć nie mogło.

Podczas jednéj z naszych przechadzek w gronie znajomych, nawiedziłyśmy Seweryna Krzyżanowskiego, który z przyczyny nóg sparaliżowanych nie mógł wychodzić z domu. Onufry Pietraszkiewicz, będący w naszém towarzystwie, poszedł naprzód, aby uprzedzić pólkownika o naszém przybyciu. Krzyżanowski prosił, abyśmy wstrzymały wejście na kilka minut; Niemka zajmująca się u niego zarządem domu zaprosiła nas tymczasem do swego pokoju. Mniéj więcéj w kwadrans, byłyśmy wezwane. Krzyżanowski siedział wgłębiony w krześle z poręczami (à la Voltaire,) gdyż członki pozbawione siły potrzebowały opory. Bielizna cienka, świeża choć nienowa, i surdut szaraczkowy, składały ubior. Włosy ubielone, jak się zdaje, przedwczesną starością, rzadkie, długie, gładko rozczesane, spadały na plecy, sięgając prawie łokci. Twarz miał nadzwyczaj bladą i dużą, jakby nabrzękłą, wzrok przygasły. Drżące usta i oczy wyrażały wielkie wzruszenie. Widno że chciał mówić i nie mógł. Dał znak ręką, prosząc abyśmy się zbliżyły do jego krzesła, aby mógł bliżéj z nami się powitać. Było nas dwie, ja i Józefa Rżążewska. Umysł Krzyżanowskiego był w tym momencie czysty, co niestety! niebyło jego stanem zwyczajnym, powszednim, tylko wzruszenie odejmowało mu resztę władzy, pozostałéj w sparaliżowanym języku. Jednak mówił z nami jakiś czas przytomnie, choć z trudnością. Wiedząc że jedziemy do Berezowa, miejsca mu dobrze znanego, gdyż tam przemieszkał miesięcy czternaście, zalecał nam swoją gospodynię, u któréj mięszkał przez czas swego pobytu, radząc, abyśmy za przybyciem na miejsce, u niéj zajęły mieszkanie. Uspokajał nas względem przesadzonych może niewygód, któremi nas zastraszano. Chwalił prostoduszność i gościnność Berezowian Cała ta rozmowa szła z wielką trudnością. Trzeba się było więcéj domyślać z gjestów i ust ruchów, niż ze słów wymówionych. Po kilku chwilach rozmowy, która szła jako tako, władze umysłowe Krzyżanowskiego musiały stanąć u kresu siły swojéj. Mówił jeszcze w rozpoczętym przedmiocie, ale widno było że wyobraźnia jego zrobiła skok nad brzegi znajomych mu Tagu, czy Sekwany. Zapewniał nas ze znajdziemy w Berezowie kawony, melony, winograd i inne przyjemności właściwe krajom południowym. Rozmowa ta według kierunku jaki przybrała, wiele mię kosztowała; umyśliłam ją skrócić, żegnając gospodarza, który ten ruch postrzegłszy, zatrzymując ręką, sparaliżowanym wymawiał językiem: jeszcze . . . dłużéj . . . jeszcze . . dłużéj. Bojąc się wszakże, aby te odwiedziny, nie podziałały szkodliwie na zdrowie Krzyżanowskiego, odłożyłam na inny raz powtórzenie, i odeszłam.

Na drugi dzień po obiedzie byłyśmy u siebie, kiedy dorożk a jednokonna stanęła przed gankiem naszego domu. Z wielkiém podziwieniem zauważyłyśmy, że gość przybyły z niéj nie zsiada. Hr. Marchocki za zbliżeniem do okna poznał półkownika Krzyżanowskiego, który nie władając swobodnie członkami, nie mógł wysiąść, z pomocą tylko swoich ludzi. Upłynęło kilka minut nim się zebrało dość osób dla wniesienia Krzyżanowskiego do pokoju, co było tém trudniejszém do spełnienia, żeśmy mieszkały na piętrze. Osłabienie Krzyżanowskiego było tak wielkie, że trzeba go było nieść na ręku jak dziecko. Przyjęłyśmy gościa naszego z rozrzewnieniem; a w niedostatku krzesła z poręczami, dla utrzymania bezwładnych członków posadziłyśmy go na kanapie, i otoczyły poduszkami. Tego dnia Krzyżanowski mówił z daleko większą łatwością, niż poprzedzającego. Mówił dużo, jakby chciał nagrodzić sobie przymus który nieraz krępuje wolę jego, skazując język na milczenie wtenczas, kiedy myśli cisną się do głowy. Z wielkiém ożywieniem, z wielomownością prawie, Krzyżanowski mówił o wielu rzeczach, uderzając to o przeszłość, to o teraźniejszość, jakby czując że momenta przytomności jego umysłu są mu porachowane, wydzielone skąpą ręką; chwytał chwile, aby z onych korzystać; jakoż po upływie nie więcéj godziny, myśli zaczęły się mu plątać; późniéj zupełnie się zmięszały. Mówił zawsze dużo, z wielkiém ożywieniem, ale ze smutkiem dawało się dostrzegać że żaden promyk rozumnéj woli nie włada mową. Serce się ściskało, widząc taki upadek umysłu, niegdyś w całéj sile, który błyskał jeszcze chwilami, ale bardzo na krótko. Starałam się skupić na powrót jego wyobrażenia, zwracając do przedmiotów od których odstąpił. Napróżno! myśl nie mogła zwrócić się na ścieżkę, z któréj

się zbila bez powrotu. Zawsze ożywiony, wielomowny, robił mi różne zwierzenia osobiste; to znów mówił o przytomności ciągléj jakichś duchów niewidomych, które i w tym momencie śpiewały mu jakieś piękne piosenki, których chciał nas nauczyć. Mówił że te duchy ciągle mu śpiewają i uczą go swoich śpiewek. To znów wpadając z materyi w materyą prawił o Hiszpanii, Anglii, Hollandyi, o naszéj przyszłości. Jednem słowem, wyobraźnia wyemancypowana od pęt rozumu, wziąwszy język na swe usługi, bujała w szalonych podskokach, uderzając o wszystko co niegdyś było dostępne jego wiedzy. Służący, widząc ten smutny stan umysłu swego pana, chciał namówić, aby odjechał do siebie; ale Krzyżanowski go odtrącił. Widno, że w tym momencie potrzebował towarzystwa. Bawił godzin kilka, lecz stan jego umysłu zawsze w jednakowym był stanie, bez żadnego polepszenia. Wieczorem odjechał.

Berezów, 13 lipca 1839. — Wróciwszy z Cerkwi, odebrałam wiadomość o śmierci Krzyżanowskiego, która nastąpiła 1go lipca. Serce się ścisnęło, ale rozwaga niepotwierdziła niewczesnego smutku Po co żałować człowieka, który przeżył najlepszą część siebie? Cóż mu zostawało na osłodę życia? Nic, nic zgoła. Nawet pamięci przeszłości, tego jedynego skarbu nieszczęśliwych, nie dochował nietkniętéj na pociechę w niedoli. Krzyżanowski już nieżył oddawna. Ciało ożywione niegdyś przez duszę, przeciw porządkowi zwyczajnemu przyzostało jeszcze na chwilę na ziemi, ale to już nie był Krzyżanowski. Pokój jego popiołom! Pamięć jego imieniowi!

ŹRÓDŁA MINERALNE W KRÓLESTWIE GALICYI I NA BUKOWINIE, tudzież ROZBIÓR WÓD MINERALNYCH W IWONICZU, przez *Teod. Torosiewicza.* Lwów 1849.

Im mniéj w kraju naszym pisze się i drukuje w przedmiocie chemii i innych nauk przyrodzonych, tém pożądańszém jest każde dzieło téj treści Z przyjemnością więc powitaliśmy obszerne sprawozdanie pana Torosiewicza o wodach mineralnych w Iwoniczu.

Pan Torosiewicz aptekarz lwowski, członek wielu towarzystw uczonych, znany jest z kilkunastu rozbiorów chemicznych wód mineralnych w Galicyi. Ciekawy czytelnik znajdzie w dziele jego tytuły licznych rozpraw, które w tym przedmiocie drukiem ogłaszał. Chwalebną ze wszech miar jest rzeczą obznajmiać tak świat nasz medyczny, jak i publiczność polską z wodami mineralnemi, znajdującemi się w kraju. Zwykle albowiem zdrowia za granicą szukamy, pomijając skarby rodzinnéj ziemi, które albo się mocą leczącą zakładom obcym równają, albo przewyższają je nawet. Jest w tém trochę chęci przejrzenia odległych a nieznanych okolic, jest wrodzona Polakom wada lekceważenia wszystkiego co krajowe, ale największą winą niewiadomość najbliższych nam rzeczy. Brak dokładnéj analizy wód naszych, niedostateczna świadomość składowych pierwiastków, nie dozwala lekarzowi zastosować ich i wybrać stosownie do choroby i indywidualności pacienta, a przekonanie o tém zabija zaufanie chorego, które przecież jest podstawą i jedyną rękojmią uleczenia. Powtarzamy przeto że wielką mają zasługę prace pana Torosiewicza. Z tém wszystkiém musimy dodać, że raczéj się one zamiarem i poczciwém usiłowaniem, niż trafnością wykonania zalecają. Autor w wykładzie jest nieporządny i drobiazgowy. Styl jego wydaje nam się suchy, jednostajny i często nie polski. Nagromadził masę szczegółów, które ledwie w dziele chemii lub fizyki na swojém stałyby miejscu, a tutaj rażą niestosownością. W specyalnym opisie trzeba przypuszczać, że czytelnik ma dostatecznie przygotowawcze wiadomości, uczyć go początków nauki niepodobna. Przykładów na poparcie naszego zdania nie brak jest w dziele. Bierzemy pierwszy lepszy, który nam właśnie podpada: „Wodę odparowano w płaskiéj misce porcela-„nowéj aż do suchości; ciepło do odparowania użyte nie przechodziło 65° R;

„zachowano też przytém tę ostrożność, żeby żadne obce ciała nie wpadły. „Masę solną wyjęto starannie z misy, a część, która się do niéj przywarła, „starto i spłókano naprzód wyskokiem, potém wodą, a naostatek zadano „kwasem chlorowodorowym, i każden z tych częściowych rozczynów, tudzież „roztwór wlano do właściwego sobie” (zapewne naczynia). Opis ten, na pozór tak staranny i szczegółowy, nie jest nawet jasny. Wiemy dobrze, że dla wzbudzenia ufności do swojéj analizy trzeba podawać drogę jakiéj się trzymało w robocie, ale znowu ostrzegać że żadne obce ciała nie wpadły, jest za wiele i niepotrzebnie. Żaden analityk na całym świecie nie będzie podawał rozbioru zanieczyszczonego płynu. Nie godzi się również mówić w dziełku specyalném o rzeczach w żadnym, a przynajmniéj w niezmiernie oddalonym związku z głównym przedmiotem będących. Tym czasem autor jak się rozgada, to prawi o drzewie, torfie, węglach kamiennych, spleenie i podróżach angielskich, o ś. Janie z Dukli, a nawet w przypisku rodowód rodziny Załuskich i nagrobek jednego z nich zamieszcza.— Jedną z nieszczęśliwych nomenklatur naszych naukowych (mamy tyle wybornych), jest bezwątpienia chemiczna. Łatwości Śniadeckich w stworzeniu nowych technicznych wyrazów nie odziedziczył żaden z późniejszych uczonych. Tymczasem chemia w ostatnich latach postąpiła tak ogromnie, że dawna nomenklatura częścią nie wystarcza, częścią zaś okazała się mylną. Zdarzy się wprawdzie czasem, że ktoś to i owo nienajgorzéj nazwie, ale przy naszém rozstrzeleniu, przy braku wszelkiego ogniska naukowego miano to nie utrze się, nie przyswoi. Ztąd każdy autor nowe tworzy wyrazy, nową nomenklaturę, uczniowie Zdzitowieckiego nie rozumieją Bełży, i na odwrót. Pan Torosiewicz party ogólną potrzebą, czuł się także uprawnionym do wprowadzenia nowości. Nie możemy powiedzieć, żeby mu się udały. Kończy on n. p. niższe związki haloidów na *et*, a wyższe na *id* (chloret, chloryd). Zakończenie to zdaje nam się być nieszczęśliwe i niepolskie. Wolimy już p. Radwańskiego chlorek i chlornik. Wyrażenie Jodet i Jodyt tak są w brzmieniu do siebie podobne, że łatwo do zamieszania powód dać mogą. Autor odrzuca wyraz chlorek, jodek itd. jako zakończenie zdrobniałe, a używa na oznaczenie oxydalów niesmacznego zdrobnienia niedokwasek. Chemicznie czysty węgiel niekonsekwentnie nazywa węglętem, przyjąwszy raz zakończenie *et* na oznaczenie związków haloidalnych. Na miejsce utartego i spolszczonego ługu kładzie: wywar surowicy. Wodę królewską nazywa wodą chlorazoto-chlorową, popadając w powszechny błąd Niemców, którzy chcą jednym wyrazem pojęcie rzeczy wyczerpnąć i wszystkie jéj części oznaczyć. Niesłusznie przypisuje sobie odmianę wyrazów Jodynu, Chlorynu, na Jod, Chlor etc., gdyż to już dawno przed nim zrobiono. — Pomimo jednak te wszystkie usterki uważamy dzieło pana Torosiewicza, za pracę ważną i godną uwagi lekarzy. Oby ono było początkiem obszerniejszéj literatury wód naszych mineralnych.

Z opisu wód Iwonicza wyjmujemy następujące ciekawsze szczegóły: Wieś Iwonicz leży między Krakowem a Lwowem, w obwodzie Sanockim. Zawiera ona trzy źródła mineralne, z których dwa pierwsze mieszczą w sobie sole bromu i jodu, trzecie zaś, części żelazne. Dwa pierwsze odpowiadają w składzie chemicznym źródłu Adelaidsbrunnem w Heillbrunnen. W okolicy Iwonicza znajdują się także też same rośliny, co i na polach Heillbronskich. — Sposób używania wód Iwonickich przepisuje pan Torosiewicz na karcie 92 i następnych. Służy ona zdaniem jego na najrozmaitsze choroby, chociaż sądząc po składzie, najskuteczniejszą jest na skrofuły, a jak autor chce, zołzy.

Druga połowa dziełka obejmuje krótkie sprawozdanie ze składu chemicznego innych wód polskich. Znajdujemy tam wymienione porządkiem alfabetycznym: Bolechów, Borkut, Busk, Dornę, Drohobycz, Jarosław,

Jurowce, Konopówkę, Korsów, Kraków, Krościenko, Krynicę, Krzeszowice, Lubień, Łyskawicę wyższą, Niemirów, Nowosielce, Podgórze, Radowce, Rosulnę, Sokolniki, Starąsól, Suliguli, Swoszowice, Szczawnicę, Szkło, Truskawiec i Wieliczkę, razem 28 wód mineralnych rozmaitego składu i siły. Jakiż to bogaty skarb narodowy, jakie obfite pole do przyszłych doświadczeń medycznych. Ta część dzieła p. Torosiewicza ma swoją wartość i może wraz z tabellami umieszczonemi na końcu, zostać aż do pojawienia się prac dokładniejszych, dobrym podręcznikiem dla praktycznego lekarza.

Ost und West. 1849. Eine politische Rundschau. Agram. Bei Fr. Suppan. 1850.

Dziełko to jest zbiorem artykułów politycznych, które autor od czasu do czasu w Südslawische Zeitung umieszczał, a potem na prośbę przyjaciół osobno oddrukować kazał. — Z żywym interesem bierzemy zawsze w rękę płody literatów słowiańskich. Z jednéj strony pociąga nas naturalne współczucie do dziedziny umysłowéj pobratymczych szczepów, z drugiéj łatwa do pojęcia chęć obznajomienia się z kierunkiem, który przez samą nowość swoją wiele ma powabu, a ciekawszym stał się jeszcze w skutek licznych i świetnych nadziei, jakie doń przywięzują niektórzy z naszych uczonych. Radzibyśmy w każdém słowie które nas ze słowiańskiéj dolatuje niwy, dopatrzyć się śladów owego olbrzymiego, z więzów niemowlęctwa i niewoli wyrywającego się ducha, który ma wydrzeć berło Zachodowi i postawić szczep nasz na czele cywilizacyi Europy. Ztém wszystkiém dotąd napotykaliśmy raczéj odczarowanie, niż stwierdzenie owych marzeń i owych nadziei. Nie wymagamy od Słowian za wiele. Dalecy od uprzedzenia tych ludzi, co w charakterze, usposobieniu, wiedzy i czynach słowiańskich widzą zawsze i wszędzie wrodzoną wyższość nad wszystkie pokolenia ziemskie, staramy się spokojném okiem upatrywać cnoty i przywary szczepu naszego, nie chcemy żadnéj nadzwyczajności i blasku, nie spodziewamy się dzisiaj już przodkowania w cywilizacyi i oświacie, ale żądalibyśmy od ducha słowiańskiego, jeżeli ma choć w części usprawiedliwić świetne o sobie przepowiednie, żeby się samodzielnym, niezależnym, jako osobna jednostka, jasnym i prostym jak niezepsuta dziecinność, czerstwym i pełnym sił żywotnych jak młodość wzrastająca okazał. — Pogląd ów polityczny z r. 1849 nie zadowalnia skromnych wymagań naszych. Mniejsza, że go cechuje pośpieszna płytkość — własność to wspólna literaturze peryodycznéj, a tém bardziéj powstającemu dziennikarstwu. Przebaczymy chętnie niedoświadczenie i porywcze sądy, gdyż wytrawności i męzkiéj pogody umysłu nie spodziewamy się jeszcze. Nie możemy jednak darować bezimiennemu autorowi, że się tak śmiało za objaw nowéj, słowiańskiéj myśli ogłasza, ze słowiańskiego stanowiska na rzeczy patrzeć obiecuje, gdy tymczasem dziełko jego jest odbiciem teoryi niemieckich, słabo zmodyfikowanych i niezręcznie wszczepionych na ziemię słowiańską. — Między czynniki stanowiące istotę narodowości liczy on język, literaturę, obyczaje i instytucye, tylko o religii zapomniał, choć ona najszlachetniejszą cząstkę duchowéj indywidualności Słowian stanowi, i daje im energią czynu, wyższą od innych narodów. W sądzeniu wypadków historycznych dziwną stawia zasadę: że „gdzie jest siła, tam życie, gdzie życie, tam widoczny objaw bo„skiéj ręki." A zatém każda jaka bądź siła ma być wypływem i narzędziem woli bożéj, każda uprawnienie swych gwałtów w łonie swojém nosić? W cóżby się wtedy obróciły wszystkie dobre, a pognębione sprawy? Cóżbyśmy mogli powiedzieć przeciw odwiecznemu uciskowi Słowian przez Germanów, którzy bez wątpienia większą dotąd od pierwszych okazali siłę?

Myślimy, że autor nie rozważył dobrze całéj wzniosłości podobnego zdania, gdyż i duch jego pisma nie odpowiada mu i możnaby zeń nawet wprost przeciwne przytoczyć twierdzenia. — Nie wiemy, czyby autor potrafił udowodnić, a tém bardziéj z przekonaniem słowiańsko-chrześciańskiém pogodzić następujący okres. „W téj saméj chwili, w któréj człowiek począ„tku dokonał, utraca wątek sprawy z ręku, a dalsze rozwinięcie czynu jest „rzeczą dialektyki historycznéj." Na takie orzeczenie heglowskie nie łatwo przystanie umysł słowiański. Zapewne że często trudno zetrzeć wpływ poprzednich czynów, trudno uniknąć nieubłaganéj konsekwencyi historycznego rozwoju, ale zaprzeczyć zupełnie człowiekowi mocy kierowania sprawami swemi, zwracania kroków błędnych, byłoby to odzierać go z wolności moralnéj, najdroższéj władzy duszy, byłoby odejmować mu zasługę uczynków, robić nieodpowiedzialnym za nie, i ducha ludzkiego, który się przecież przez świadome siebie i moralnie wolne wypowiada jednostki, zniżać do sfery istot bezrozumnych, ulegających ślepo niezmiennym prawom swojego istnienia. Są wprawdzie chwile, gdzie ludzie utracają do pewnego stopnia ów przywilej wolności moralnéj, chwile to zwykle wielkich historycznych epok. Człowiek staje się wtedy poniekąd narzędziem, tylko nie owéj ślepéj, czczéj dialektyki, któréj znaczenie potem dopiero umysł ludzki a posteriori odkrywa, lecz świadoméj i wszechmocnéj Opatrzności, co od wieków i jeszcze przed wiekami dzieje świata i ludzi podług swéj myśli i woli a priori snuje.

Powiedzieliśmy i powtarzamy raz jeszcze, że nie żądamy od młodéj literatury słowiańskiéj wykończenia i wytrawnego sądu, musimy jednakże naganić jałowe i nadęte zdania, które ani są dowcipne, ani rozumne, ani trafne, ani głęboko pomyślane. Do takich policzymy np.: „Rzym tryumfuje; kardynał „Oudinot odprawił mszę i śpiewał *Te Deum,* bo go łaska boża przezna„czyła do przywrócenia stolicy Piotrowéj" etc. etc. Takich miejsc, takich orzeczeń, gdzie płaski dowcip zakrywa słabość myśli, moglibyśmy przytoczyć bardzo wiele. — Mówiąc o sprawie niemieckiéj, a zwłaszcza o kwestyi zjednoczenia Niemiec wyraźnie autor naśladuje *Hegemonów* pana J. K. Przypuścilibyśmy że ma takież samo zdanie, podobne myśli, ale trudno nam pojąć, jakim sposobem powtarzają się w jego broszurze wyrażenia *Hegemonów.* Słaba ta strona tém łatwiéj w oczy uderza, że autor, jak się zwykle naśladowcom dzieje, nie zalety, ale wady pana J. K. przyswoił sobie. Gdybyśmy chcieli jedną po drugiéj wytykać, musielibyśmy powtarzać wszystko, cośmy roku przeszłego w Hegemonach naganili. Praca to niepotrzebna. Czytelnicy nasi wiedzą, że nigdy kopia nie przewyższa oryginału. Cóżkolwiekbądź, wspomnieć musimy że szorstkość pana J. K. przeszła pod piórem autora „Poglądu" w zupełne grubijaństwo, oryginalność w manierowaną przesadę, śmiałość sądu w niedowarzone zuchwalstwo.

Autor objeżdżał po kolei całą Europę, w końcu nawet do Stanów Zjednoczonych zawitał; znajdujemy przecież, że o sprawach własnych, o interesach i położeniu Słowian, zbyt krótko i zbyt pobieżnie napisał. Twierdzenia jego sprowadzić się dadzą do opozycyjnych przeciw centralizacyi austryackiéj oświadczeń. Niechęć podobna jest słuszna, opozycya godziwa, ale to niedość. Trzeba Słowianom południowym przyjść przedewszystkiém do dokładnego poznania swych potrzeb i rzeczywistych interesów; trzeba o położeniu swojém siebie i drugich dokładniéj oświecić. Te są konieczne warunki, aby w chwili działania nie dać się opanować pierwszéj lepszéj namiętności, a nawet aby ułatwić prawdziwe porozumienie i zgodę szczepów słowiańskich, teraz lub na przyszłość.

Aufklärungen über die Zeit vom 20. März bis zum 4 Mai 1848. Von L. Gr. Ficquelmont. Leip. Joh. Barth. 1850. Zweite Auflage.

Hr. Ficquelmont był jak wiadomo ministrem spraw zewnętrznych w najkrytyczniejszych dla Austryi chwilach od 20 marca do 4 maja 1848 r. Żywemi kolory nakreślił on obraz okropnego położenia cesarstwa w tym czasie. Zewnątrz wojna, wewnątrz powstania lub anarchia, z góry brak decyzyi i siły, z dołu coraz śmielsze domagania się, ustawicznemi ustąpieniami podsycane. Z mocarstw zagranicznych jedne miały dość do roboty u siebie, jak Niemcy i Francya, drugie (Anglia) nie dawały gwarancyi szczeréj pomocy — wezwać zaś opieki potężnego sąsiada, było wtedy oburzyć przeciw sobie wszystkie warstwy społeczeństwa i zapalić najkrwawsze powstania. Autor ocalenie przypisuje jędrności organizmu austryackiego, sprężystości ludzi stanu i oręża, wyższości idei państwa, polegającego, jak mówi, na ścieraniu się przeciwieństw rodowych, po nad myśl narodowości, myśl jednolitą i z natury swojéj wszelkie wykluczającą różnice. Autor myli się. Prawda, że organizmy tak stare jakim jest rząd austryacki, przetrwają nie jedną burzę, nim je kiedyś zwali potężny orkan nowéj myśli; prawda, że państwo kilkowiekowe nie upada przed rewolucyą miejską, jak sztuczna monarchia Ludwika Filipa; prawda że administracya austryacka rozwinęła w wypadkach 48 i 49 roku znakomitą czynność, wojsko okazało odwagę, wodzowie, zwłaszcza we Włoszech, decyzyą i znajomość sztuki wojennéj; ale mimo to wszystko widocznèm jest dla bezstronnego umysłu, że dzielny opór kilkomilionowego szczepu mógł rozwalić całą tę spruchniałą budowę. Z drugiéj strony nie możemy przystać na teoryą filozoficzną, jaką nam hr. Ficquelmont o państwie podaje. Pomimo całego uznania dyalektycznéj wagi przeciwieństw, nie przystaniemy nigdy na gwałtowne i nienaturalne wiązanie z sobą sprzecznych i niechętnych żywiołów. Każda narodowość większa ma w sobie dosyć potęgi do samodzielnego istnienia w państwie osobném, każda dosyć przeciwieństw posiada w łonie swojém do utrzymania życia, polegającego tu, jak i wszędzie, na walce i równoważeniu się różnorodnych istot, sił i wpływów. Około niéj, jak satellity w okrąg większych ciał niebieskich, krążyć powinny przez właściwe sobie ciążenie pokrewne narodowości pomniejsze. Oto jest naturalny i zgodny z rozumem i moralnością układ społeczeński, którego w bólach porodu domaga się Europa i którego dojdzie w brew woli zwolenników przestarzałéj idei państwa, co albo przemocą najsłuszniejsze żądania tłumią, albo obłudną obietnicą równego uprawnienia i podstępném podniecaniem nienawiści rodowych, chcą sobie panowanie zapewnić.

Autor oświadcza się wyraźnie za zcentralizowaną Austryą. Brakowi jedności administracyjnéj, zbytniéj niezawisłości prowincyonalnéj, przypisuje dotychczasową słabość Austryi i poniżenie jéj w Europie. Zapomina, że kto tak jak dom Rakuzki pod jedno berło najróżniejsze zgromadzi szczepy, kto dzisiaj jeszcze średniowiekową ideę państwa zachować pragnie, powinien także zostać przy średniowiecznych urządzeniach, dozwalających wszystkim odrębnym żywiołom istnieć i rozwijać się na drodze ich właściwości rodowych, ich praw i instytucyi osobnych.

Jak zresztą autor pojmuje w Austryi równe uprawnienie narodowości, dowodzi następujący wyjątek z pisma jego. Na stronie 63 i 64 powiada p. Ficquelmont: „Któżby mógł się ośmielić zamknąć w szczupłych granicach państwa ową płodną siłę rozmnożenia, która się zawiera w naturze rodu ludzkiego, a w rozszerzeniu narodowości objawia? A z drugiéj strony, *któżby chciał zakładać państwo na podstawie narodowości nie mającéj w sobie siły rozmnożenia?*“ — „Idea państwa zawarowaną jest rozmaitemi, zmiennemi okolicznościami jego początku i wzrostu; państwo sta-

„nowi najbardziéj skomplikowane pojęcie, do jakich kiedykolwiek umysł „człowieka wynieść się zdołał, a bolesne dzieje rodu ludzkiego dowodzą, „jak trudném jest to pojęcie. Zaś idea narodowości jest prostą; granice „jéj tylko inne narodowości oznaczają. Ztąd walka jéj istotą, i walka ta „wybucha wszędzie, gdzie pojęcie państwa nie stanie się pośredni- „kiem. Tak się oddawna i w Austryi działo. Państwo wraz z ustawą ró- „wno-uprawnienia, choć nie zawsze objawianą, ale zawsze w duchu insty- „tucyi leżącą, było pośrednikiem i pokój czyniło. Pod opieką tego prawa, „gdzie tylko uznaném zostało, ustawała walka sił politycznych. Walka sił „moralnych nie została wprawdzie usuniętą przez takie równo-uprawnienie; „zadaniem jéj jest równo-uprawnienie do równego przywieść uzdolnienia „(gleiche Befähigung), *gdyżby to w wolném państwie niedorzecznością było „chcieć świadomego z nieświadomym, wykształconego z nieoświeconym „we wszystkiém na równi postawić.* Państwo ma tylko obowiązek pilno- „wać, żeby nie tamowano wolności walki, żeby żadnéj strony nie pozba- „wiano oręża; *wtedy wypadek przyjdzie sam przez się. Oświeceńszy nie powinien być przymuszany do zatrzymywania się dla tego, że inni za nim „zdążyć nie mogą.*“ Otóż mamy, lubo trochę nie jasne, ale jednak zrozumiałe widzenie rzeczy urzędnika austryackiego. Państwo swoje opiera on na podstawie narodowości niemieckiéj, która, jak się spodziewa, ma siłę rozkrzewienia się i inne szczepy potłumi. Równe uprawnienie pojmuje, jako panowanie oświeceńszego nad nieoświeconym, jako walkę pierwiastku bardziéj ucywilizowanego z mniéj wykształconym. Centralizuje państwo, choć wie że ono z najróżnorodniejszych części się składa, choć pojmuje, że do administracyi tak skomplikowanéj nie wystarczą domowe siły narodowości mniéj wykształconych. Naszle im Niemców; „oświeceńszy nie powinien zatrzymywać się dla tego, że inni za nim zdążyć nie mogą.“ Czy taka centralizacya, takie równo-uprawnienie nada Austryi siłę wewnętrzną, a powagę na zewnątrz, jakiéj sobie życzy p. Ficquelmont? Pozwalamy sobie powątpiewać.

Przeciw Polakom bardzo jest hr. Ficquelmont zawzięty. Oskarża ich o tworzenie zastępu ciągłéj agitacyi politycznéj, o podkopywanie władzy przez związki ze stronnictwami radykalnemi stolicy. Skarży się, że o jego osobie uwłaczające i nieprawdziwe siali po dziennikach wieści, czego dowodzi wypadkiem, że nazwisko jego krewnéj, pani Tyzenhaus, która mu niby miała przywieść pieniądze od cesarza rosyjskiego, wydrukowano w gazecie polską ortografią. Dowód to błahy, a zarzut należy do kategoryi owych licznych germańskich potwarzy, któremi nas obsypali w r. 1848 sąsiedzi nasi.

Pan Ficquelmont od samego początku był nieprzyjazny idei ściślejszéj jedności niemieckiéj. Powiada że ministeryum z góry oświadczyło się przeciw zlaniu prowincyi austryacko-germańskich z Niemcami, że wyraźnie (dnia 21. kwietnia) przyjęło za zasadę ugodę (Vereinbarung), nie zaś wszechwładztwo ludowe. Skarży się na 2 i 3 artykuł konstytucyi frankfurckiéj (zabraniający władzcy niemieckiemu nad obcemi narodami zarazem panować), uważając postanowienie takowe za umyślne osłabienie Niemiec. Obwinia stronnictwo unitarne w Wiedniu, że szerzyło nieukontentowanie między ludem, że wespół z radykalistami i stanem kupieckim pokoju we Włoszech, z krzywdą państwa, domagało się. — Ministerstwo, powiada, z trudnością tylko przyjęło zasadę wyborów ogólnych. Nie mogło ono sejmowi powstałemu z takiego źródła zostawić układu konstytucyi. Nadało więc ją od siebie, zabezpieczając dziedziczność izby Iéj i określając wolność polityczną, która jak pan Ficquelmont utrzymuje, nie jest, jak osobista, prawem, ale trudnym obowiązkiem i gwarancyi oświaty wymaga. O tę konstytucyą rozbiło się ministerstwo.

Hr. Fiequelmont użala się gorżko na Anglią i politykę lorda Palmerstona. Powiada że postępowanie jego we Włoszech podczas wojny z Karolem Albertem było dwuznaczne i nieszczere. Oskarża Anglią o zamiar rozbicia Włoch na drobne państwa, żeby sobie tém łatwiéj wpływ na półwyspie zapewnić. Utrzymuje że panowanie Austryi w Lombardyi ratuje Włochy od konwulsyjnych targań angielskiego i francuzkiego wpływu, które wyłączają się wzajem. Na to nie przystanie zapewne żaden Włoch uczciwy.

Interesujące szczegóły zawiera broszurka p. Ficquelmont o bezrządzie panującymi pod owe czasy w Wiedniu. Deputacya profesorów uniwersytetu żądała od niego rzeczywiście, żeby wydał insygnia państwa niemieckiego chcąc je zawieść na sejm do Frankfurtu. Rozruch przez wyrobników i studentów wywołany, zmusił na dniu 3 maja p. Ficquelmont do ustąpienia z ministerstwa. W chwili owéj ani dowódzca gwardyi narodowéj, ani minister spraw wewnętrznych mający do dyspozycyi siłę wojskową, pomocy dać mu nie śmieli.

Autor mówi ciągle o zamiarach wiarołomnego oderwania prowincyi od państwa, tak jakby nabycie ich zupełnie prawném, zupełnie uczciwém było. Dopóki rządzący nie przestaną dopuszczać się takich jak względem Polski niesprawiedliwości, niechaj nie wymagają od rządzonych uczucia wierności i prawa. Ludy pojmują i wykonywają tylko po swojemu naukę jaką ciągle odbierają z góry.

Rückblicke auf die polit. Bewegung in Oestreich in den Jahren 1848 und 1849. Von Franz v. Pillersdorf. Wien 1849.

Broszura o któréj chcemy mówić, skreślona jest w duchu umiarkowania i wyrozumiałości dla wszystkich stronnictw, ztąd mile się czyta. Nie jedno ona przytem ciekawe daje objaśnienie do historyi naszych czasów. Słusznie autor przyczynę gwałtownego ruchu w Austryi, brakowi stosownych reform przypisuje. Reformy w porę przedsięwzięte zabezpieczają postęp bezpieczny, godziwy, — ślepe obstawanie przy dawném naraża na wstrząśnienia i konwulsye. Tak się stało i teraz. Gwałtowne parcie przerwało tamy systematu rządowego, nagłe i łatwe zmiany zrodziły nienasycone wymagania i niepomiarkowaną swawolę, korzyści odniesione bez pracy, często z wyraźném pokrzywdzeniem praw przeciwnika, zbudziły nieufność, obawę utraty i odwetu. Dwór z swojéj strony przykładał się także nie mało do pogorszenia stanu rzeczy. Ucieczka jego do Insbrucku rozdrażniła stronnictwa do podejrzenia i nienawiści. Pan Pillersdorf (min. spraw wewn.) tłumaczy się pokilkakroć dla czego nie powściągał surowiéj anarchii i skandalów ulicznych. Nie było to słabością, mówi on, ale roztropném umiarkowaniem, gdyż siły rządowe rozstrzelone to na wojnach zagranicznych, to po niespokojnych prowincyach, nie dozwalały drażnić ludu i wywoływać nowych rewolucyi. Pan Pillersdorf radził koronie nadać konstytucyą, nie sądził bowiem iżby zgromadzenie nowe, niedoświadczone, złożone z najrozmaitszych żywiołów, mogło ułożyć ustawę zgodną z dobrem państwa całego. Konstytucya ta, powiada on, była nadzwyczaj wolnomyślna, a przecież nie narażała prerogatyw korony. Mimo to przyjęto ją niechętnie. Autor broni sejmu wiedeńskiego, oskarżanego gorzko przez wszystkie organa rządowe. Powiada, że chciał dobrego, a dążył doń jak mógł i umiał. Skarży się, że ministerstwo które po nim objęło rządy, zbyło lekko tę reprezentacyą narodową, że jéj nie dopomogło w pracach parlamentarnych. W istocie ministerstwo nie przysposabiało materyałów do

narady, nieporozumiewało się, nie ostrzegało w ważnych wypadkach. W takiém położeniu w jakiém się sejm znajdował, trudno było zrobić więcéj i lepiéj.

Pochwaliwszy bezstronność pana Pillersdorff dla stronnictw politycznych, nie możemy nie naganić stanowiska jego co do kwestyi narodowych. Każdy co się otrze o organizm rządowy w Austryi, przesiąka mimowolnie ideą państwa, wyniesioną po nad wszystkie inne zasady. Błędu tego i pan Pillersdorf nie uniknął. Austrya jednolita, potężna, jest jego ideałem, przed tą jedną myślą upada u niego wszelki wzgląd na właściwości i interesa rodowe. Zdaje się jak gdyby on rozliczne narodowości składające państwo austryackie uważał za martwe atomy, nabierające dopiero znaczenia w organicznéj centralizacyi wiedeńskiéj. O sympatyi stolicy dla ruchów węgierskich tak się wyraża: „Do tego stopnia zagnieździło się niedowierzanie, albo téż oszczerstwo zaćmić sąd zdrowy umiało, że uważano oddziałanie ministerstwa austryackiego (przeciw samoistności Węgier) raczéj jako ucisk wolności, aniżeli jako obronę jedności i potęgi monarchii, a zarazem pokoju i dobrego mienia.“ Pokój i potęga są owocem zaufania wszystkich części składających państwo, zaufanie zaś wypływa jedynie z przeświadczenia o możności rozwijania się materyalnie i duchowo na właściwéj drodze, każdemu szczepowi od Opatrzności wytkniętéj. Dobre mienie, choćby nawet przy zobopolném niedowierzaniu do pewnego stopnia osiągnąć się dało, nie potrafi odjąć uczucia wyższych potrzeb narodowych, nie zaspokoi szlachetniejszych stron ludzkiego ducha. A jedność wreszcie nieuznająca naturalnych różnic, grożąca im wytępieniem i zagładą, albo do rozpadnięcia szybkim dąży krokiem, albo téż zabijając ducha narodowości, potęgę państwa niweczy.

Pan Pillersdorf oburza się, że poseł papiezki żądał ustąpienia Austryi z Lombardyi. Jakto zawsze prawdziwe i uczciwe umiarkowanie, u stronnictw ostatecznych nieukontentowanie i niesłusznie skargi obudza. Jedni chcieli, żeby na czele wojsk, z krzyżem w ręku stanął papież kapłan pokoju, ojciec katolickiego świata, wzywając do krucyaty przeciw Austryi; drudzy żądają żeby tenże sam papież Włoch i z zasady przeciwnik przywłaszczeń, uznawał panowanie cudzoziemców we Włoszech inaczéj jak fakt istniejący, i świeckie ich zabory powagą swoją osłaniał.

Autor nieprzyjazny jest zjednoczeniu Niemiec, a raczéj chciałby tę trudność tak rozstrzygnąć, żeby cała Austrya mogła przystąpić do związku. Zkądinąd dzisiejsze położenie trafnie maluje. „Dwa, mówi, systemata walczą o lepszą, oba chcąc ocalić prawny porządek i zachować towarzystwo „od grożących mu wstrząśnień. Jeden polega na surowém użyciu siły i podejrzliwém dozorowaniu wolności, drugi radby przez pojednanie zwaśnionych interesów, także nieodbitą moc przeświadczenia, powiązać z organami „władzy wszystkie przedniejsze siły społeczeństwa.” Jak naturalnie drugiemu systematowi przyznaje pan Pillersdorff pierwszeństwo.

Das preußische und deutsche Verfassungswerk mit Rücksicht auf mein politisches Wirken. Von Dav. Hansemann. Berlin F. Schneider et Comp. 1850.

(Zweite Auflage)

Liberalny mówca z czasów połączonego sejmu, minister finansów w r. 1848, pan Daw. Hansemann uczuł potrzebę w obszerném dziele wytłumaczyć się z czynności swoich krajowi. Od czasu jak popadł w niełaskę u dworu i tekę swą złożyć musiał, zwaliły się nań wszystkie niekorzyści, wszystkie gorycze, jakie się pojawiają, kiedy wielkość polityczna

minie. Potępiany z góry i z dołu, posądzany zewsząd o przeniewierzenie się zasadom swoim, oskarżany o skłonność do schlebiania panującéj opinii od jednych, o reakcyą od drugich, nie doczekał się nawet téj pociechy, by go bronił który z przyjaciół dzielących jego widoki polityczne. Przeczekać burzę, zostawić czasowi wyświecenie drażliwych kwestyi, usprawiedliwienie działań swoich, było najlepszą drogą, bronią. — Nie tak myślał pan Hansemann. Nie jestto patryota pełen poświęcenia, któremu przeświadczenie o prawości zamiarów i czynów wystarcza, który przestaje na każdéj, choć i najmniejszéj posłudze krajowéj, nie dążąc do wysokich posad. Pan Dawid Hansemann zawsze wysuwa się naprzód, wszędzie uznania i poklasku szuka, kocha władzę i godności; skromne położenie, cicha zasługa, zaspokoić go nie zdołają. Jak z jednéj strony namiętność taka, ludzi prawdziwie wyższych do wielkich przeznaczeń prowadzi, tak znowu z drugiéj, jest niebezpiecznym szkopułem dla zwyczajnych talentów. Zmusza ona ich często do rozbratu z sumiennie pojętym obowiązkiem, rozrywa jedność i energią w działaniu, i kala charakter polityczny pyłem osobistych widoków. Nie zawsze potem rozpędzić można zarzuty wiatrem słów choćby kilku tomami objętych. W tę ostatnią trudność popadł pan Hansemann w najnowszéj karyerze swojéj rządowéj.

Kiedy nad dawnym systematem pruskim, ślepo w bezpieczne trwanie ufającym, zagrzmiały burze rewolucyjne w r. 1848, gdy władza straciła urok, a potęga przeświadczenie siebie, wspomniano o ludziach co niegdyś podobną katastrofą grozili, co radzili uniknąć jéj wczesném ustąpieniem życzeń godziwych, i utworzono ministerstwo pana Camphausen, w którém pan Hansemann objął departament finansów. Ministerstwo to zadowolniło na chwilę wszystkie stronnictwa. Konstytucyoniści spodziewali się, że mężowie składający je utwierdzą na posadach trwałych nowy systemat rządowy, że pogodzą wolność osobistą z obowiązkami dla państwa, swobodę prywatną z porządkiem publicznym. Stronnictwo monarchiczne ufało, że obalając dawny systemat administracyi, zachowają potęgę korony, że nie dopuszczą żadnego środka, któryby mógł zasadę monarchiczną na szwank narazić. Obiedwie strony czują się niezadowolnione, obie oskarżają ministerium, choć ono na pozór dołożyło wszystkich starań dla wykonania obowiązków swoich, do pogodzenia sprzecznych a żywotnych interesów. Skądże taka niewdzięczność? Czyż się w tych oskarżeniach, w tych naganach prawda i słuszność mieści, czy téż są one gorżkim owocem zawiedzionych marzeń z jednéj, a upojeniem łatwego tryumfu z drugiéj strony? I jedno i drugie poczęści. Ministerstwo Camphausen w ogóle, a pan Hansemann w szczególności, nie sprostali trudnościom swego czasu, nie stanęli na istotnéj wysokości położenia. Przynieśli do tragicznéj wielkości wypadków mierność umysłu i woli. Chcieli się prześliznąć wśród zawiłych kwestyi za pomocą przebiegłości dyplomatycznéj, nie umieli stawić czoła ani reakcyi z góry, ani anarchii z dołu, nie zdołali przeto zająć silnego, niezawisłego między przeciwieństwami stanowiska. Nie jestto patryotyzmem, jak pan Hansemann sądzi, w czasach krytycznych przyjąć władzę dla zyskania czasu i sprawować ją wbrew przekonaniu swemu, nawet ze szkodą sumienia. Znaczy to raczéj przedłużać bolesne konwulsye towarzystwa i ułatwiać zwycięztwo jednemu z ostatecznych stronnictw.

Przyznajemy jednak, że wiele zarzutów czynionych dobréj wierze pana Hansemann są niesłusznemi, a nawet śmiesznemi. Wymawiają mu, że się wyrzekł zasady demokratycznéj, że się oparł tak nazwanéj najszerszéj podstawie, że nie pochwycił silnie, a raczéj sprzeciwił się idei jedności niemieckiéj. Tymczasem z pism dawniejszych, z mów mianych na sesyach połączonego sejmu nie trudno było panu Hansemann okazać, że wszystkie te zarzuty są niesłuszne, a przynajmniéj mocno przesadzone, tudzież, że dzia-

łanie jego w roku 1848 i 49 jest dalszym ciągiem i naturalném następstwem zasad i wyobrażeń od osiemnastu lat wyznawanych. Dla wyraźniejszego dowodu przytacza on memoryał swój w roku 1830tym podany ówczesnemu królowi, w którym skreśliwszy niebezpieczeństwo wypływające dla rządu ze sprzeciwiania się naturalnemu biegowi rzeczy i żywotnym narodu opiniom, prosi o zniesienie cenzury, zabytków feudalnych z duchem wieku niezgodnych, o zamienienie sejmów prowincyonalnych w reprezentacyą narodową; — oświadcza się jednak przytém jak najwyraźniéj za monarchią (konstytucyjną), żąda arystokracyi majątku i znaczenia artystokracyi, odświeżanéj nowemi przybytkami z dołu, chce mieć parów i majoraty, chce ograniczyć używanie praw politycznych dla uchronienia się przedajności i anarchii. — Uznajemy zgodność słów i czynów autora w głównych zasadach, niepodobna jednak przyznać mu żeby ich stale, otwarcie i śmiało bronił w r. 1848. Trudno pojąć dla czego został w ministerstwie po upadku rządowego projektu konstytucyi. Mógłże łudzić się, że Izba ówczesna statut odpowiedni wyobrażeniom jego o monarchii konstytucyjnéj uchwali?

P. Hansemann już, w roku 1830 oświadczał się za ściślejszém połączeniem Niemiec, za supremacyą Prus. W pisemku „Preußen und Frankreich“ żądał, aby Prusy śmieléj na drodze związku celnego i traktatów handlowych do zjednoczenia Niemiec dążyły. Na sejmie prowincyonalnym (od r. 1845) domagał się polityczněj organizacyi związku celnego, którego do Austryi rozciągać nie radził. — W r. 1848 był przeciwnikiem idei cesarstwa Niemieckiego. Radził zawsze utworzenie komisyi związkowéj, nie zaś władzy centralnéj. Ks. Jana słuchać nie chciał, sprzeciwiał się przysiędze wojska na posłuszeństwo jemu, przyłożył się nawet do zawarcia, bez wiedzy i wbrew woli frankfurckiego ministerstwa, zawieszenia broni w Malmö (dnia 26. Sierp. 1848 r.) — Po upadku ministerstwa Auerswald udał się, jak powiada, do Frankfurtu, w celu nakłonienia członków sejmu aby się wyrzekli idei wszechwładztwa ludu, ustanowili ostatecznie władzę centralną i porozumiewali się z nią co do konstytucyi. Zabiegi jego żadnego nie odniosły tam skutku, równie jak i natrętne a częste rady, które powróciwszy do Berlina ministerstwu Brandenburg-Manteuffel udzielał. — Słusznie autor noty Pruskie z 23. stycznia i 16 lutego 1849 za słabe i niedostateczne uważał. Doradzał on by konstytucyą frankfurcką z dnia 28. marca (1849) odrzucić jako dla Prus niebezpieczną (w osobnéj broszurze). Sądzimy że rada ta była zupełnie zbyteczną. I bez niéj nigdyby rząd ówczesny na żądania sejmu niemieckiego nie był się zgodził. — O usiłowaniach pruskich ku zjednoczeniu Niemiec wydaje p. Hansemann sąd bardzo surowy. Zdaniem jego Prusy utraciły najlepszą porę (maj roku 1849), upierając się przy punktach niepodobnych do osiągnienia. Na czele państwa związkowego, mówi autor, stać musi rada związkowa, inaczéj na gruzach federacyi powstanie państwo jednolite. Skoncentrowanie władzy w osobie króla pruskiego niszczy samoistność państw pojedynczych i jest pokrywką medyatyzacyi. Przeniesienie prawa zakładania veto do kollegium książęcego nie daje temuż żadnego wpływu na rządy państwa, a mąci porządek konstytucyi. Artykuł dozwalający władzy centralnéj wypowiadać wojnę, i wojskiem związkowém dowodzić, wyraźnie się sprzeciwia postanowieniom traktatu wiedeńskiego. Tylko w takiéj ostateczności, w jakiéj się w onczas znajdowały Hanower i Saksonia, mogły one do podobnego związku przystąpić. Wyłączenia ich spodziewać się można było na pewno. — Dowcipnie zarzuca autor złą wiarę i dwuznaczność postępowania rządowi pruskiemu. Czemu, pyta się, żądacie tak usilnie przyzwolenia Austryi na ściślejszy związek, jeżeli tenże, jak utrzymujecie stanowczo, nie sprzeciwia się traktatom dawniejszym? Wreszcie oskarża ministerstwo o burzenie umysłów w Niemczech, straszy je niebezpieczeństwem dyssolucyi przez zbyt

szybkie powiększenie państwa, prosi aby się upamiętało i na praktyczną powróciło drogę.

O projekcie konstytucyi pruskiéj z dnia 5. grudnia trafnie powiada p. Hansemann, że zawiera okresy demokratyczne, a nie daje konstytucyjnych rękojmi. Myślicie, mówi, żeście manewrem waszym ocalili Prusy, kiedy tymczasem kraj i was uratowało od klęski zaślepienie stronnictwa radykalnego. Dosyć było radykalistom stawić się na sejm do Brandenburga, żeby przyjąć zasadę projektu, a obłudne wasze zastrzeżenia wyrzucić.

Styl autora jest gładki, ale suchy. Obszerne przytoczenia z własnych dzieł dawniejszych nużą umysł czytelnika. Nie przyjemnie uderzają ciągłe pochwały siebie samego. Gdybyśmy panu Hansemann na słowo wierzyć mieli, musielibyśmy sądzić, że on i jego przyjaciele ocalili w roku 1848 zagrożony porządek towarzyski. Byliśmy, mówi on, u steru w najtrudniejszych dla kraju okolicznościach. Powaga władzy zachwiała się, nie wspierała jéj prasa, nie umacniał sejm berliński, frankfurcki zaś systematycznie osłabiał. Ministerstwo wytrwało jednak; sprowadziło wojsko, utworzyło konstablerów, i tak powiększyło bezpieczeństwo publiczne, że już w sierpniu roku 1848. mógł Junkerparlament publicznie obradować w Berlinie. Urzędowanie nasze tę jeszcze przyniosło korzyść krajowi, iż korona zyskała na czasie, stronnictwo zaś demokratyczne zdepopularyzywało się przez niestosowne środki i straciło poparcie u ludu. A jeżeli całe ministerstwo ważne dla kraju oddało usługi, to nie mniéj wedle swego widzenia rzeczy zasłużył się pan Hansemann. On z nieustraszoną odwagą popierał wszystkie użyteczne środki, on oszczędnościami skarb zbogacił i zebrał na uzbrojenie kapitały! — Jest w tém trochę prawdy, ale przesady więcéj jeszcze. Ministerstwa pp. Camphausen i Auerswald pokazały mało siły i mało odwagi. Nie mogły wznieść się na pewne, nieugięte stanowisko. Z jednéj strony ustępowały sejmowi, z drugiéj pozwalały rządzić ubocznym wpływom. Księstwo wie o tém najlepiéj.

ROZMAITOŚCI.

SŁOWO O LITERACKICH ZASŁUGACH *P. Jastrzębskiego.*

Korespondent Paryzki *Gońca*, z godną pochwały troskliwością o prace rodaków za granicą podejmowane, doniósł temu pismu (patrz No. 22) o poszukiwaniach historycznych p. Ludwika Jastrzębskiego. Opisał, jako ten uczony nasz paleograf pierwszy odkrył i objaśnił że sławny *Texte du Sacre*, w Rheims znajdujący się, po głagolicku pisanym jest, i jako późniéj w Rzymie nazbierał wiele szacownych materyałów do historyi polskiéj i w ogólności słowiańskiéj, między innemi wspominając o odnalezieniu w Rzymie kościoła polskiego, przez dawnych naszych królów utrzymywanego. Tym dwom ostatnim zasługom pana Jastrzębskiego, pan S. M. w numerze 24tym *Gońca*, daje bezwzględne zaprzeczenie. Powiada, że po zwiedzeniu archiwum Watykańskiego przez Albertrandego, Schulza z Lignicy i Aleksandra Przezdzieckiego, nic już tam do odkrycia nie pozostało, a co do rzeczonego kościoła twierdzi, iż on znanym jest w kraju naszym, nie tylko literatom, ale każdemu oświeceńszemu człowiekowi, i w końcu ironicznie zapytuje czy p. Jastrzębski w Rzymie nie odkrył także kościoła Śgo Piotra i Pawła.

Chcielibyśmy tutaj niektóre znajome nam szczegóły objaśnić.

P. Jastrzębski przybył do Rzymu w r. 1844, i oddał się zaraz w tém mieście mozolnym poszukiwaniom po bibliotekach. Z czasem wynalazł bardzo wiele ciekawych dokumentów, listów, osobliwie zaś relacyi o Polsce, czynionych przez Nuncyuszów, lub niższych kapłanów, po powrocie z poselstw do kraju naszego. W r. 1847 miał już materyałów na kilka tomów druku. Hr. Adam Potocki przyobiecał zająć się wydaniem onych. Wypadki 1848 r. przerwały ten zamiar. Można się jednak spodziewać po znanéj gorliwości obywatelskiéj p. Potockiego, że czy prędzéj czy późniéj, zechce się z swego przyrzeczenia wywiązać. Wtedy okaże się owoc pracy p. Jastrzębskiego. Tymczasem świadomsi rzeczy mogą i powinni donosić o otrzymanych rezultatach. Zaprzeczać stanowczo w żadnym razie nie godzi się. Czyż dla tego że Albertrandy, albo Schulz z Lignicy, przerzucili archiwum watykańskie, to już nic w niém nie pozostało do wyszukania? W najlepiéj przejrzanych bibliotekach często późniéj ważne odkrywają się dokumenta, to na okładkach, to wszyte między inne manuskrypta. Tym sposobem Kardynał Mai osiągnął w temże archiwum nader cenne zdobycze. Być może, że korespondent *Gońca* zbłądził, ograniczając swą wzmiankę do Watykanu. Przecież w Rzymie nie jedna lub dwie, lecz kilkadziesiąt znajduje się bibliotek. Każdy prawie kościół i klasztorek ma swoją. Pan Przeździecki przejrzał ich 16. Nawet archiwum Śgo Izydora, małego klasztorka irlandzkiego, dostarczyło kilka ciekawych odkryć co do Polski. Czemużby P. Jastrzębski przez cztery czy pięć lat skrzętnéj pracy, nie miał nic ważnego i dotąd nieznanego napotkać? Zasługi zacnemu p. Przeździeckiemu nie chcemy w niczem odejmować. Ale przybył on do Rzymu dopiero w końcu 1846 r. Wyciągał po większéj części wypisane już dawniéj dokumenta przez p. Jastrzębskiego, a że bogatszy, prędzéj o nich wiadomość ogłosił. Tak to my Polacy częstokroć podwójną i potrójną pracę dajemy jednemu przedmiotowi. Dla tego téż na drugi i jednéj nas nie staje.

Co do odkrycia kościoła polskiego, pomyłka Pana S. M. pochodzi z niewiadomości, że jest w Rzymie więcéj niż jeden kościół, którego początek ub związek odnieść można do Polski. On tylko wie o jednym i to nie dobrze. Kościół Śgo Stanisława biskupa znajduje się przy ulicy ***Botteghe Oscure***, bokiem przytyka do ***Vicolo dei Palacchi***. Co rok odbywa się w nim z wielką uroczystością święto patrona 7go Maja, nie jak u nas 8go. Dziś zależy od Rosyi. Cesarz Mikołaj, jako król polski, jest kollatorem Lecz oprócz tego kościoła, oprócz Śgo Klaudyusza dziś *par excellence* polskiego, bo jest w ręku kapłanów zakonu Zmartwychwstania, oprócz jezuickiego przy Kwirynale, zwykle kościołem Śgo Stanisława Kostki zwanego, oprócz wreszcie kościoła zbudowanego na pamiątkę zwycięztwa pod Wiedniem, przy forum Trajana, znajdują się jeszcze dwa inne, mniéj dotąd znane, a temi są: 1o ***N. Panny Żyrawieckiéj*** nie daleko Kwirynału, gdzie pełno grobowców polskich, między innemi Miszewskiego i Charzewskiéj, — 2o ***S. Paolo, primo eremita*** obok placu Barberini. O tych dwóch w żadnéj nowszéj książce czytać nam się nie zdarzyło. S. Paolo rzadko otwartym znaleść można. Pierwszy ołtarz po prawéj stronie mieści w sobie wielki obraz Matki Boskiéj Częstochowskiéj. Kościół ten był dawniéj w posiadaniu Paulinów. Te dwie okoliczności odkrył p. Jastrzębski. Z nich wniósł że to był zakład Paulinów z Częstochowy. Suum cuique.

NEKROLOGI.

Czytamy w dzienniku *Czas* (Ner 4 z r. 1851), pod datą 6 Stycznia. „W dniu wczorajszym ponieśliśmy dotkliwą stratę. Jeden z członków re„dakcyi Eugeniusz Chrząstowski, administrator dziennika i dyrektor drukarni „*Czasu*, w pełni życia dni swoje zakończył. Od młodości gorąco spra„wie publicznéj oddany, ośm lat przecierpiał w więzieniu, i uwolniony „w skutek amnestyi w r. 1848, w owych dniach burzliwych, głosem ro„stropności, umiarkowania i szczerego patryotyzmu, wpływał na opinią pu„bliczną i w tym duchu wydawał *Gazetę Powszechną*. Od połowy r. „1849 nieprzestannie z nami pracował, a ile gorliwością i wytrwałością „w pracy przyczynił się do wzrostu dziennika, tyle łagodnością, życzliwo„ścią i bezinteresownością swego charakteru wkupił się do miłości wielu, „do szacunku wszystkich którzy go znali."

W drugiéj połowie Grudnia umarł po chrześciańsku w Rzymie Fryderyk Bastiat członek Zgromadzenia Narodowego francuzkiego, autor ważnych pism z działu ekonomii politycznéj, głośny w ostatnich czasach ze swojéj świetnéj na końcu r. 1849 i na początku 1850 w dzienniku ***La voix du Peuple*** dyskusyi z Proudhonem. Z celniejszych pism p. Bastiat wymienimy ***Cobden et la ligue*** i ***Mélanges d'économie politique***.

SPRAWY PUBLICZNE.

DWA IDEAŁY POLSKIE.

Ktokolwiek żyje na świecie życiem serca i umysłu, ktokolwiek czuje w sobie godność duszy nieśmiertelnéj, obiera koniecznie jakiś ideał i dąży do niego. Ideał raz przyjęty, prowadzi, przyświeca, ogrzewa i chociaż nie wypełniony, do usiłowań pobudza. Oprócz tego wywiązuje się on w następstwo nieuchronne. I nie tylko ludzie pojedynczy za ideałem jak za gwiazdą przewodniczką wzrok obracają, wszystko co się na świecie we wspólność zawiązało, rodziny, pokolenia, narody, ma ideały swoje.

Bezwzględny dla całego katolickiego świata ideał, stanowi słowo Boże spoczywające pod strażą Kościoła. Katolickie narody podnosić się ku niemu wiarą silną, cnotliwą wolą i cnotliwemi dziełami powinny. Koło niego dopiero mają krążyć inne ideały sfer pomniejszych. Wartość tych ostatnich próbuje się, jak oczywista, ich harmonią z owym ideałem chrześciańskim. Im który ideał bardziéj tu zbliżony, tem pewniejsze jego światło, im dalszy, choćby głośny, obietnicami ponętny, tem większą, tem sumienniejszą w obec niego ostrożność mieć należy. Tylko ideały zgodne z prawdą Bożą mają siłę trwania i siłę płodności, ideały jéj przeciwne przemijają, a przemijają bezowocnie.

Ideały narodów pojedynczych są albo dziejowe, albo czasowe. Czasowe zależą od przeszłości, od obaw i nadziei, od ambicyi, od uprzedzeń nawet. Jedne i drugie świadczą o wysokości moralnéj narodów, wyrzekają o ich losach. Dobre ideały wiodą narody do wielkich przeznaczeń,

chronią od zguby, ratują w niebezpieczeństwach. Złe ideały, o wielkie przyprawiają je klęski i wszelkiéj poprawie skutecznéj drogę zagradzają.

Pan Bóg tak zrządził że poezya pisarza czy opowiadacza najdobitniéj ideały maluje, w najprzystępniejsze dla wszystkich przyobleka je szaty. Inni mogą czuć prościéj i lepiéj, poeci do największéj liczby przemawiają. Godeł i zaklęć poezya zawsze dostarczała.

W téj chwili mamy zamiar porównać z sobą dwa ideały czasowe polskie, w pismach dwóch wielkich poetów odbite. Zanim przecież bliżéj myśl naszą oznaczymy, podamy kilka historycznych uwag. Trzeba zrozumieć wśród jakiéj rzeczywistości owe dwa ideały zabłysły, co je wywyższyło i co stanowiło, albo stanowi ich znaczenie.

W epoce nieszczęśliwego zakończenia wojny Kościuszkowskiéj, po upadku kraju, ideał polski, wojenny i patryotyczny, wcielał się z jednéj strony w żyjącą poezyą legionów, z drugiéj, w uczuciowy kierunek Woronicza, Niemcewicza, tudzież całego towarzystwa Puławskiego, także w usiłowania Tadeusza Czackiego. Jego urzeczywistnienie ma swoje wzniosłe strony, ma pamiątki chwały wojennéj i uczestnictwa w wielkich sprawach świata, ma zasługę szkoły Krzemienieckiéj i kuratoryi Wileńskiéj. Cóżkolwiek bądź, że brakowało tam podstawy religijnéj, a często i prostego pojęcia obowiązku, wyrodziły się w kraju złe następstwa, mianowicie kosmopolityzm wojskowy i osłabienie moralnych przekonań. Już to zwykle długie wojny, tudzież ciągłe koleje przemian politycznych, prowadzą za sobą rozprzężenie moralne i osłabienie najzwyczajniejszych wyobrażeń o tém co cnotliwe a nawet o tém co godziwe. Owoż kiedy z upadkiem Napoleona nadzieje polskie upadły, zachwiały się umysły. Mało kto jął się użytecznéj pracy, większość ludzi czynnych powierzyła się zwodnym wielkościom wolnego mularstwa i karbonaryzmu, zapuściła się w kolej sprzysiężeń. Nastąpiło w lat kilkanaście powstanie narodowe, najpotężniejsze z powstań polskich. Objawiły się wtedy wiara w odrodzenie i zapał; okoliczności sprzyjały, można było zwyciężyć. Upadliśmy, i jakaż nauka została z katastrofy? Oto że najmniéj gorliwości pokazali dawni sprzysiężeni loż mularskich, że nowi sprzysiężeni niepodołali zadaniu i że najlepszych żywiołów do organizacyi sił narodowych dostarczyli ci, co nienależeli do żadnych spisków, albo co użytecznemi zajęci robotami, byli spiskom przeciwni.

Wśród sprzysiężeń litewskich wyrobił się Adam Mickiewicz. Znalazł on w kraju wiarę w podziemne środki i wszedł w otwarty przed sobą zawód knowań tajemnych. Cnotliwéj, prostéj, najkorzystniejszéj prawdy nie przejrzał, nie stanął przeciw głośnym mniemaniom, dał się porwać prądowi. Czy się dziwimy temu? Nie. Ale bolejemy że się wtedy mylił polski naród i że się wieszcz jego omylił. Torem wielkich umysłów pochwyciwszy myśli fałszywe, Mickiewicz przydał jeszcze do złego; za wielkiemi także idąc przykładami; swoje zboczenia moralne (cóż to są za obowiązki patryotyczne które moralnych poświęceń, moralnéj surowości nie wymagają?) upoetyzował, wytłumaczył. Dzieje jego tłumaczą jego pojęcia dawniejsze i późniejsze. Z razu przechodził próby cierpień serca i wtedy należał do tajnych związków, zagrzązł potém w zmysłowych rozkoszach, co opowiedział potężną i ognistą mową, niedobry wzór młodemu pokóleniu stawiając. Dopiero późniéj zaczął jawnie pracować w kierunku patryotycznym i błędny ideał wznosić. Przyszła chwila nawrotu do religii, już po upadku rewolucyi 1831go roku. W téj epoce życia swego Mickiewicz wywarł wpływ potężny, przekonał, pociągnął wielu, pokierował umysły na drogę prawd wysokich i rzeczywistéj tradycyi narodowéj. Wielka to zasługa, wszakże i tu odezwało się w jego pieśni kilka fałszywych akordów. Późniejsze zboczenia mistyczne poety, pomijamy. Nie przydały one ani jednego promienia do ideału jaki naród już był z rąk jego przyjął.

Ideał Mickiewicza, wedle nas szkodliwy dla Polski, oznaczamy teraz bliżéj, biorąc pod uwagę: *Odę do Młodości, Wallenroda*, wiersz *Do Matki Polki, trzecią część Dziadów, Księgi pielgrzymstwa* i ustęp *Rozum i wiara.*

Oda do młodości zaczyna się od słów pogardy dla świata. Poeta obudza niechęć, krytyczne usposobienia podsyca. Wzbija od razu w dumę bez granic, a zaślepiając oczy na wszystko co czcić i kochać na świecie należy, pozbawia młode serca pogody czystości, ufności usposobień które są równie potrzebne do rozwinięcia przymiotów duszy, jak słońce jest konieczne do wzrostu drzew i ich kwitnięcia. Wiersz wstępny brzmi jak następuje:

Bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy!

Ziemia dla poety to:

Obszar gnuśności zalany odmętem.

Mówi on także:

W krajach ludzkości jeszcze noc głucha.

Dopiero tak odepchnąwszy rzeczywistość, w kraj ułudy młodzieńcze umysły z sobą porywa. Pójdziemy powiada:

Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem,

Wartoż starać się zrozumieć, wartoż kochać to co istnieje? Oczywiście że nie, wyjątku tam żadnego niema, ani dla rzeczy, ani dla ludzi, nienapotykamy najmniejszéj wzmianki o ojczyznie. Nowość, nowość to wszystko. Cóż potém? Poeta coraz wyżéj rozkołysuje dumę

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca,
Ludzkości całe ogromy,
Przenikaj z końca do końca.

to niedość,

Razem młodzi przyjaciele!...
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele.

Owoż bałamutny kosmopolityzm! kosmopolityzm bowiem tli się w głębi tych orzeczeń o *ogromach ludzkości* i o *szczęściu wszystkich.*

Jednością silni, rozumni szałem,

dodaje jeszcze poeta, dostarczając zawczasu tłumaczenia wszystkim zachceniom pychy niedołężnéj. O! ileż to sumień te wyrazy *rozumni szałem*, wyrazy tak sprzeczne, tak się na wzajem wykluczające, zakłóciły i wykrzywiły?

Wiersz kończy się szaloną obietnicą, która o tyle lat poprzedziła wszystkie marzenia socyalistów:

Daléj bryło z posad świata!
Nowemi cię pchniemy tory,
A opleśniałéj zbywszy się kory,
Zielone przypomnisz lata.

Wspaniała to zkądinąd liryczna poezya; nieszczęściem wykołysała ona roje próżnych myśli i czczych zamiarów. Powtarzała ją, powtarza jeszcze dotąd młodzież szukająca w przedwczesném na świat oburzeniu, wymów-

ki dla własnych zboczeń, albo dla niechęci do użytecznego życia. Czystych, płodnych natchnień nie wypiastowała *Oda do młodości*.

Jest wielki przedział od szału do fałszu moralnego; przedział podobny istnieje między *Odą do Młodości* a *Wallenrodem*. Poemat *Konrad Wallenrod* tak bogaty w myśli wzniosłe, w obrazy urocze, taką muzykalnością formy pociągający, nacechowany taką doskonałością językową, powstał z najszkodliwszego wyobrażenia. Poeta wyidealizował w nim kłamstwo i zdradę na korzyść kraju, nikczemnéj doktrynie złych środków dla dobrych celów, najzłudniejszéj piękności użyczając. Ileż to marzeń o najrozmaitszego rodzaju Wallenrodyzmie pogodę dusz młodych odtąd zmąciło? Żaden Wallenrod się nie znalazł (to psychologiczne niepodobieństwo) a pojęcie proste cnoty, wielki w narodzie szwank poniosło. Miło jest przynajmniéj pomyśleć, że pierwsza idea tego skrzywionego bohaterstwa nie w Polsce się zjawiła, i że Mickiewicz tylko *Szpiega* Coopera w pewnéj mierze odtworzył.

Powstanie listopadowe, na którego przygotowanie nie mógł był jeszcze przeważnie wpłynąć Mickiewicz (jego wziętość rzeczywista, powszechna, jest późniejsza) przedziela Wallenroda od trzeciéj części *Dziadów* i od wiersza: *Do Matki Polki*. W Dziadach widzimy zapasy dumy człowieczéj z Panem Bogiem, dumy zwyciężonéj, ale nie upokorzonéj prawdziwie; wszystko udramatyzowane patryotycznie i oprawne w ramy epizodów z dziejów sprzysiężeń litewskich. Tu znowu, całe poświęcenie, cała zasługa, przyznane młodym spiskowym, co w pierwszém uniesieniu bez przeświadczenia o tém co robią, przeświadczenia które dopiero wartość moralną czynom daje, często przypadkiem wplątali się w odpowiedzialność. Towarzystwo zaś, obok którego stawia ich poeta (mówimy tu o towarzystwie polskiém w Warszawie) do tego stopnia śmiesznością okryte, że obryzg ironii nawet na Kazimierza Brodzińskiego pada. Nie zaprzeczamy wielkości trzeciéj części *Dziadów*. Rzadko w poezyi wszystkich krajów i wszystkich czasów śmielsza myśl w potężniejsze przyoblekła się szaty. Nie brak tam ustępów najdelikatniejszéj, najczystszéj piękności, nie brak rzewnych opowiadań, co płaczem myśl napełniają, i długo zostawiają tęskne ślady w pamięci. Wszakże w téj chwili chodzi nam jedynie o moralne znaczenie poematu (1).

W wierszu *Do Matki Polki*, wierszu pełnym goryczy rzewistéj, rzewnością głęboką porywającym, znajdują się te niedobre zwrotki:

Każże mu wcześnią w jaskinią samotną
Iść na dumanie.... Zalegać rohoże

1) W trzeciéj części *Dziadów* bluźnierstwa Konrada miarkują sceny religijne i słowa księdza Piotra. Autor daje odpowiedź na szaleństwa, na zwątpienia. Ależ to rzecz doświadczona że wszystkie podobne odpowiedzi, wrażenia nie robią. Człowiek zawsze łatwiéj może ranić jak goić, psuć jak naprawiać. Strute wyrazy trafiają do wszystkich, słowa pokoju i miłości, do niektórych tylko. Prawdziwe ukorzenie się wiedzie do troskliwości by wydrzeć z żywota swojego karty świadczące o zboczeniach. Kto chętnie i z upodobaniem grzechy opowiada, ten się jeszcze niepoprawił. Uważajmy co najwięcéj u nas z *Dziadów* powtarzano, co najlacniéj w pamięci utkwiło. Czy owa śliczna modlitwa Ewuni, czy cudne aniołów śpiewy, czy chwilami pełne namaszczenia wyrazy księdza Piotra? Nie bynajmniéj. Nasza młodzież powtarza *Improwizacyą* i śpiew o téj pieśni, co z grobu krew poczuła Zwrotka.

Tak, zemsta, zemsta na wroga
Z Bogiem i choćby mimo Boga

tkwi we wszystkich pamięciach, drażni daléj kosztem siły wewnętrznéj już i tak rozdrażnione uczucia, i bezbożne zuchwalstwo obudza.

Oddychać parą zgniłą i wilgotną,
I z jadowitym gadem dzielić łoże.

Tam się nauczy pod ziemię kryć z gniewem,
I być jak otchłań w myśli niedościgły;
Mową truć z cicha, jak zgniłym wyziewem,
Postać mieć skromną jako wąż wystygły.

Przepisów dzikiego stoicyzmu nikt w życiu nie zastosował, ale co wielu zrozumiało, to że wolno *mową truć z cicha*.

Są piękne i szlachetne, są zbawienne rzeczy, w *Księgach Pielgrzymstwa*. Często napotyka się tam myśli zdrowe, dowodzące o zwrocie do pojęć prostéj moralności, często widać wskazany kierunek drogi, na któréj Polska ujrzała potem Brodzińskiego, Witwickiego, Zaleskiego, ks. Kajsiewicza. Wszakże obok rzeczy wypróbowanéj wartości, rażą w téj książce, chwalba narodowa i ujemny krytycyzm, skryty pod kwiatami poetycznemi, pod zaręczeniami miłości. Równie jest źle narodom jak pojedynczym ludziom pochlebiać. Pochlebstwo zawsze upaja i zaślepia, zawsze poprawie przeszkadza. Tymczasem Mickiewicz w *Księgach Pielgrzymstwa* więcéj się rozwodzi o doskonałości Polaków, o ich wyższości nad inne ludy, jak o potrzebie zasługi i poprawy. W nich to znajdujemy pierwsze ślady kilku zbyt śmiałych albo fałszywych myśli, które odtąd po wszystkich zakątkach ojczyzny dźwięczą. Jest tam porównanie męczeństwa Polski do męczeństwa Syna Bożego (porównanie tak dziś nadużywane, tak zużyte), jest zalecenie sojuszu z wolnością świata (niebezpieczny ogólnik którego następstwa widzieliśmy), jest wszelka emigracya, jako obowiązek wyraźny zalecona (a).

Ale może najszkodliwsze owoce wydała owa dumna religijność, wywyższająca ciągle głowę nad ludzi, religijność która się objawiła w prorockich uroszczeniach, albo w dziwnym trybie zbratania się z Panem Bogiem. Przepowiednie mamy w trzeciéj części *Dziadów*. Zuchwalstwo religijne uderza nas i w *Dziadach* i w wierszu: *Rozum i Wiara*, w którym czytamy:

Kiedy rozumne, gromowładne czoło,
Zgiąłem przed Panem jak chmurę przed słońcem:
Pan je wzniósł w niebo, jako tęczy koło,
I umalował promieni tysiącem.

I będzie błyszczyć na świadectwo wierze,
Gdy luną klęski z niebieskiego stropu:
I gdy mój naród zlęknie się potopu,
Spojrzy na tęczę i wspomni przymierze.

Odtąd ileż to proroctw, ile mistycznych śmiałości w literaturze naszéj! Rzadko który pisarz z tych co Pana Boga ciągle na ustach mają, przypomni sobie piękne wiersze autora *Maryi*:

. . . Nad przepych świata i blasków pozory
Widniejsze pióra białe zniżonéj pokory

a) Nieraz wspominaliśmy jak szanujemy emigracyą i jak wysoko jéj powołanie stawiamy. W obec narodu wyobraża ona cierpienie i poświęcenie. Cóżkolwiek bądź, jesteśmy przekonani że niema powinności, niema potrzeby emigrować ciągle, ciągle kraju i tamtejszych spraw odbiegać. Ojczyzna na téj drodze się wycieńcza, a indywidua marnują się w wielkiéj części. Podnośmy dziś głos wszyscy, tłumaczmy dobitnie obowiązki, żeby dalsze emigracye powstrzymać.

albo myśl spolszczoną przez samego Mickiewicza:

Niech się twa dusza jako dolina położy,
A wnet po niéj jak rzeka poplynie duch boży.

Zbierając w jedno rozproszone nasze uwagi, powiemy że Mickiewicz raczéj dumę w młodzieży polskiéj podnosząc i uczucie jéj drażniąc, jak wzmacniając w sercach i umysłach moralne pojęcia, raczéj pochlebiając namiętnościom, jak ucząc powściągliwości, raczéj przystając na dualizm moralny, jak naprowadzając na drogi słoneczne, raczéj dając przykład jak wyzywać Pana Boga, niźli jak się modlić do niego, przyczynił się naszém zdaniem do obłąkania sumień polskich.

Jedna ogólna o poezyi nastręcza nam się tutaj uwaga. Mówią estetycy że poezya sobie saméj celem być powinna. My temu zaprzeczamy. Wszelka poezya i wszelka sztuka mają posłannictwo przypominać nieskończone piękno, nieskończone dobro, nieskończoną miłość; budzić, poprawiać, podnosić ku Bogu, do zbawienia zbliżać. Poezya która tego nie dopełnia, albo co gorsza, która obraża prawdy wiekuiste, zapoznała swego powołania i jest tylko próżném bawidełkiem.

Z téj strony oceniliśmy dzisiaj poezyą Mickiewicza i ideał jaki ona przed oczy narodu postawiła. Dla wielkości talentu litewskiego poety, mamy jak najwyższe uszanowanie; uznajemy wszystko dobre co zrobił; we wdzięcznéj pamięci zachowujemy wszystkie piękne myśli jakiemi skarbiec narodowy zbogacił. (*a*) Wszelako ciąg wydarzeń krajowych pokazał nam truciznę w niektórych jego zdaniach, a sumienne zastanowienie się potwierdziło wrażenie tych zewnętrznych objawów. Kiedy miną rzeczy co nas bolą i kłopocą, kiedy potomność przebierze w utworach mistrza i tym sposobem wieniec jego z kwiatów szkodliwego zapachu oczyści, nie będzie potrzeba ostrzeżeń; dzisiaj są one często koniecznością i obowiązkiem.

My przyznajemy żeśmy nie zawsze surowo Mickiewicza sądzili. Był czas kiedyśmy nikomu w uniesieniu dla niego nie dawali się wyprzedzić. Długo w jego słowach szukaliśmy wyrazu na najczystsze uderzenia serca naszego. Czy zmieniły się w nas uczucia, czy mniéj Boga i Ojczyznę kochamy, czy nie tak jasnéj szukamy prawdy na świecie, czy chłodne doświadczenie strawiło gorącość duszy naszéj? Nie bynajmniéj. Dziś tak jak kiedyś miłujemy Boga i Ojczyznę, wielbimy poświęcenie, cierpienie i ofiarę, prawdy gorliwie w miarę sił naszych szukamy. Ale nas oświeciły wypadki. Już od lat kilku spostrzegliśmy, że się źle dzieje w ojczyźnie, i badając, gdzie źródło pojęć niebezpiecznych, a przynajmniéj gdzie ich najponętniejsze uosobienie, znaleźliśmy się razem w obec wielkiéj postaci autora *Wallenroda*. Nie za wszystkie z resztą dziś w kraju fałszywie dźwięczące myśli, robimy poetę odpowiedzialnym. On tylko główne założenia przyjął i oznaczył. Następstwa wyciągają albo wyciągnęli inni mniéj wyniosłego ducha ludzie, którzy się mało jego całkowitych natchnień radzili i wybrali z jego pism to tylko, co im się pożyteczném wydało. Widzieliśmy ich chodzących po szlakach błędów francuzkich i błędów niemieckich, wielu z nich nawet dawno się już przeciw Mickiewiczowi obróciło.

Cóżkolwiekbądź, przez ciąg ostatnich lat dwudziestu ideał Mickiewicza zaprzątał u nas serca i umysły, sumieniami kierował. Sprzysiężenia wy-

---

a) W znamienitość wewnętrzną Mickiewicza wierzymy jak najmocniéj. Dla tego nie przestaliśmy się nigdy spodziewać, że to wzniosłe serce raz się prawdziwie przed Panem Bogiem ukorzy i wszystkie błędy popełnione głośno uznając, da światu najpiękniejszy pokory chrześciańskiéj przykład. Wiele dusz czystych błaga Pana Boga o tę łaskę dla wielkiego poety.

wiązały się jedne z drugich, (*a*) odbiegano kraju na wyścigi, dumna, w karby moralnych zobowiązań nie ujęta religijność na trójnóg proroczy się wdzierała. Co więcéj, poeci zamiast koić i wzmacniać, ani na chwilę nie przestali drażnić ran zaognionych i skrwawionéj szaty ojczyzny przed

---

a) Skryte sprzysiężenia mają wielki urok dla wyobraźni. Przyciągają ponętą niebezpieczeństwa dusze szlachetne, tudzież drażnią gorliwość nadzieją bliskiego działania. Sprzysiężenia narażają zarazem na utratę wszystkich pojęć moralnych, gorzkiemi, trawiącemi uczuciami przepełniają serca, krzywią umysły sofizmatami podziemnéj loiki. Sprzysiężenia rychło dojrzewają; bliski, prędki wybuch prawo dla nich stanowi. Ztąd konieczność chwytania się wszystkich, choćby najsprzeczniejszych z moralnością środków. Nie tak użyteczna, poczciwa praca, potrzebująca czasu, wytrwałych zabiegów, przygotowania i pilności; ta musi iść drogami środków cnotliwych. Sprzysiężenie wszystko naraz chce uczynić i dla tego niszczy prędzéj niż stawia. Spiski zwykle stronnictwa zawiązują żeby ubiedz politycznych współzawodników i przez organizacyą przygotowaną wpływ wyłączny osiągnąć. Doświadczenie przecież pokazało na co taka organizacya przydatna, do czego wyłączność stronnicza prowadzi. Spiski nie przemawiają do wolnéj a oświeconéj woli — one potrzebują szału z jednéj strony, przymusu względem drugiéj. Ach! Nie mówcie że sprzysiężenia są konieczne do wyzwolenia narodu! Sprzysiężenia pałacowe udawały się czasem, sprzysiężenia narodowe albo zawodziły, albo były niepotrzebne. Bez spisku byłoby się powiodło powstanie w r. 1830, spisek je tylko na niebezpieczeństwo naraził. Kiedy się miara krzywd doznanych w narodzie jakim przebrała, w tenczas bez sprzysiężeń jedno słowo w porę przez małą liczbę ważniejszych ludzi wymówione, porusza go do gruntu. Spiskowi w razie wybuchu który się udał, są najczęściéj zawadą, kłopotem, i organizujące się spółeczeństwo czemprędzéj ich usuwa. A wieleż się spisków udaje? Zwykle marny ich koniec. Spiski dostarczają tylko do więzień nieprzyjacielskich najpoświęceńszą, najgorętszą młodzież. Na téj drodze wyludnia się kraj z obywateli, których zapał i zdolności dobrze skierowane siłę by jego moralną i umysłową były podniosły. Nie mówcie także że spiski są potrzebne żeby podsycać w sercach płomienną miłość ojczyzny. Jeźli tradycya rodzinna, jeźli widok wszystkich pomników wielkości narodowéj, jeśli pamięć dawnych rzeczy i ciągle odnawiająca się uraza krzywd zadanych nie wpłyną dostatecznie na umysły i serca, jeźli dobre pojęcie obowiązku, stalowym puklerzem godności narodowéj charakterów nie zasłoni, coż pomogą wszystkie knowania i draźnienia? Draźnienia odbierają tylko prawdziwy hart duszom, tylko rozpaczy i rozpaczliwym natchnieniom drogę torują. Jest jedna strona która w oczach każdego Polaka broni sprzysiężenia w przeszłości; mówimy tu o wycierpianych ofiarach, o tym długim szeregu ludzi co śmierć za sprawę ponieśli. Niezawodnie każde poświęcenie, każde cierpienie dla ojczyzny zasługuje na cześć i pamiątkę; ale godzi się, ale jest obowiązkiem powtarzać krajowi że istnieją inne poświęcenia użyteczniejsze, inne cierpienia płodniejsze w owoce. Niestety u nas urok poetyczny otaczał tylko dotąd Sybir, więzienia, rusztowania. Rwała się młodzież niedojrzała, rwali się ludzie niepytający o dobro kraju, o jakąś myśl ogólniejszą, by czemprędzéj na palmę męczeńską zarobić. Tego nierozumieli że ojczyznie potrzebniejsi wytrwali a przygotowani pracownicy, i że moralne poświęcenie całéj pychy żywota, męczeństwo pracy nieprzerwanéj wśród okoliczności bolesnych dla uczuć polskich, wierna wytrwałość przy obowiązku z zachowaniem niepokalanie godności narodowéj, więcéj znaczą i bezpieczniejszą przyszłości rękojmię dają. Sprzysiężenia marnują ludzi umysłowo i moralnie, ojczyznę dotkliwie wycieńczają; wytrwała, rzeczywista praca, uzacnia pojedyńczych patryotów i znaczenie moralne całéj społeczności podnosi. Wszystkie spiski które się nie powiodły zostawują tylko kraj bardziéj na działanie nieprzyjaciół otwarty; usiłowania pracowicie narodowe obdarzają gó niesłychaną siłą oporu.

oczyma rozciągać (b). Wszystkie ujemne dążenia skorzystały z tych usposobień. Sceptycyzm francuzki towarzystwa demokratycznego, panteizm niemiecki, ironia Słowackiego, mistycyzm religijny (tyle u nas mamy rodzajów mistycyzmu dogmat łamiącego), pomieściły się w obszernych, na oścież otworzonych szrankach. Z następstw w następstwa doszliśmy do *Prawd żywotnyh* i do *Wiersza do autora trzech psalmów*, że nie wspomnimy mniejszych utworów.

Po owocach ich, poznacie ich, mówi Pismo Święte. Z czynów sądzić musiemy. Jakież czyny przedstawiają nam się w téj dwudziesto-letniéj epoce? Klika świetnych męczeństw! Męczeństwa te, jeźli odkupują wiele win, nienagradzają klęsk przez polskie w znacznéj mierze ręce Polsce zadanych. Patrzmy. W wyobrażeniach o słuszném i o godziwém zrobił się zamęt taki, że dziś pełno niepoczciwych pojęć słania się po ojczyznie, a ci nawet co w sumieniu niepokój o nie czują, nie mają dosyć odwagi cywilnéj, by głos podnieść. Uczucia zazdrości, niechęci, podejrzliwości, rozwielmożyły się jak nigdy. Idee gwałtu, przymusu, interesu stronniczego, owładnęły umysły. Zaś im kto sam wyraźniéj grzeszy, tém głośniéj innych posądza i oskarża.

Religia żyje w ludzie, coraz się więcéj do niéj wykształconych umysłów nawraca, wszakże zbyt jeszcze wielka liczba oświeceńszych uważa ją tylko jako jeden z kształtów myśli narodowéj, jako szanowny zabytek przeszłości, jeźli nie jako środek polityczny. Księży czujących całą wysokość powołania, wierzących gorąco, przygotowanych naukowo, czynnie bliźnimi zajętych, mało znajdzie. Materyalizm, ospałość, albo gorączka polityczna grasują w niższém duchowieństwie, kiedy wyższe (z kilku szanownemi wyjątkami) raczéj się za życzeniami władzy świeckiéj albo wymaganiami hałaśnéj bezbożności, jak za wzorami Świętych Pańskich ogląda. Między ludźmi pobożniejszymi iluż jest pobożnych z prostotą i posłuszeństwem? Jedni systemata rozumowe, inni marzenia fantazyi, inni swoje zachcenia, inni swoje utrapienia, inni jeszcze swoje słabości chcą koniecznie w granicach prawowiernéj nauki pomieścić. Rzadko kto wyniósł religię z domu, rzadko kto wie o jéj najprostszych katechizmem objętych przepisach, ztąd tyle zadziwień, tyle zastrzeżeń, tyle oskarżeń o wprowadzenie nowości na ludzi trzymających się starych podań ciskanych. Ci i owi wierzą szczerze, tylko chcąc uchodzić za ludzi nieprzesadzonych, za tolerantów, wyrzekają się głośno wyznawców ścisléj zasady. Uznajemy tu pojednawcze chęci, żeby jednak zebrać to co każdy pojedynczo odrzuca, niby się z mądréj i pięknéj katolickiéj budowy nie zostało.

Obyczaje poprawiły się nieco, to prawda, wszakże wzgląd na ojczyznę, która potrzebuje czerstwości moralnéj i fizycznéj w dzieciach swoich, która od nich możności długich usług wymaga, nie wpływa na surowość postępowania. Zagrożone, lub obalone na ziemię sprawy, jedynie się wielkiemi cnotami, wielkiemi poświęceniami ratują. U nas ani w narodzie, ani w rodzinach nie widać takiego skupienia moralnego, jakie religia, jakie wzgląd na ojczyznę nakazuje. Często się bardzo u młodzieży polskiéj napotyka rażący dualizm. Kiedyś towarzystwo za Stanisława Augusta

b) Poeci nasi nie mają wstrzemięźliwości, i ciągle bólów ojczyzny, jako środka wrażenia używają; gdy dotkną ręką téj struny, czują jak drga i jęczy, to też uderzają w nią bez przestanku. Jest to w wielkiéj części świętokradztwem. Nie każdemu wolno klaść dłonie na rany ojczyzny. Pobożność, głębokie przejęcie, zapomnienie o sobie, są tu koniecznemi warunkami. Powtarzamy, ci co spokojnie obliczają effekt i wiedzą jakie poruszą uczucia, ciężki grzech popełniają. Zresztą codzień ponawiane złorzeczenia, codzień roztaczane okropności, ileż to już uroku najrzeczywistszym boleściom odjęły?

miało ciągle w ustach retoryczny ustęp Krasickiego *„Święta miłości kochanéj Ojczyzny*, a tarzało się w szkaradach i ojczyznę gubiło, dziś rozpustnicy powtarzają z uniesieniem *Odę do młodości,* niszcząc w sobie zdrowie duszy i ciała. Jeśli niewidać więcéj lekkomyślności, nie sile zasad, ale poniekąd wielkim niepokojom epoki przypisać to należy.

Każdy zresztą powiada że gotów życie ojczyznie poświęcić, każdy obiecuje wziąść za szablę w potrzebie, i niezawodnieby dotrzymał, bo poczciwość patryotyczna tkwi w głębi, a ochota wojenna nie wygasła. Tymczasem mijają lata po latach, sposobność służenia ojczyznie się nie otwiera, a jędrność wewnętrzna kraju słabnie, a jego zasoby moralne i materyalne niszczeją. I temu trudno zaprzeczyć, że sfera umysłowa narodu znacznie się zniżyła. Piszących jest więcéj niż kiedy, między nimi błyszczą wysokie talenta; wszakże znaczna większość czytających coraz lżejszemi rzeczami się bawi, coraz bardziéj obojętnieje na dzieła istotnéj wartości. Cóż dopiero mówić o wykształceniu politycznem którego dawne narodowe tradycye już się skończyły, a którego dziś nabyć ciężko, często niepodobna.

Zwróćmy oczy na pojedyncze klasy narodu. Między ludźmi głośnymi z imienia i dostatków jest wielu uczciwie ojczyznie służących — Co tylko tam uderza obok wysokiéj honorowości postępowania, to brak rzetelnego smaku do rzeczy polskich. Który z panów ima się czynnéj pracy, zwykle nie przystępuje do robót gotowych, nie próbuje podeprzeć wznoszących się instytucyi, tylko, lub się odsuwa od wspólnych zajęć, i nowe sobie obiera drogi, lub wszystko zaraz na wstępie chce mieć odmienionem. Każdą rzecz u współrodaków surowo sądząc, sam fantazyuje, sam kapryśnie pomiędzy kierunkami, ludźmi i rzeczami wybiera. W niższéj sferze, stanowiącéj u nas dotąd naród myślący i działający, złe i dobre miesza się z sobą i splata. Ileż tam niepewności w kierunkach, ile pierwiastków ujemnych! Żywe uczucie dla ojczyzny, oczekiwanie i nadzieja powstania u wielu co chwila się wyradzają w namiętne współczucie dla wszelkié rewolucyi. Jak dzicy w lasach Ameryki czczą nie Boga, który rządzi burzami, ale błyskawicę i piorun, tak u nas ogromna liczba nie przyczyn wstrząśnień bada, nie sądy Boże uwielbia, ale się dla wstrząśnień jako takich podziwieniem unosi. Zkądinąd, niedostateczność wykształcenia i zamknięcie sfery publicznego życia powodują w Polsce tę ruchawość opinii publicznéj, i ten brak *criterium* w ocenieniach ogólnych.

Zdania najostateczniejsze, najniebezpieczniejsze, panslawizm rosyjski i socyalizm zachodni, tyle innych idei znajduje licznych zwolenników. Żywioł miejski mniéj u nas liczny jak w innych krajach, prędzéj jednak od ludu wciągnął w siebie wszystkie zazdrości i niechęci ku wyższym, łacniéj całą bezpośredność religijną utracił. W ludzie żyje wiara, żyje prawdziwe uszanowanie dla wszystkiego co ma związek z religią, dobre obyczaje się utrzymują. Wszelako i tam zdradziecki wpływ cudzoziemców zaraził umysły podejrzeniem, oczekiwania chciwości w sercach obudził. Obca zwierzchność chwyciła się oburącz łatwego środka rządzenia za pomocą niezgody. W Galicyi rozbrat sprowadzony zbrodniczemi czynami istnieje w całéj sile, tak jak w prowincyach Rosyi podległych obietnica przez rząd ogólnie rzucona a nieurzeczywistniona dotąd, jest ciągłą groźbą na horyzoncie. Najlepiéj pod tym względem dzieje się w Wielkiéj Polsce i Prusiech Zachodnich, gdzie trudność uwłaszczenia włościan wcześnie rozstrzygnięta została. Smutna to rzecz a jednak prawdziwa, że nieprzyjaciołom ojczyzny naszéj ułatwiły zadanie z jednéj strony lekkomyślna niedbałość znacznéj liczby obywateli, z drugiéj propaganda polska.

Nadzieje nasze muszą spoczywać i spoczywają na młodych pokoleniach. Jakież przecie te pokolenia odbierają wychowanie? Pomijamy wychowanie

domowe męczyzn, wątłe najczęściéj, pomijamy wychowanie kobiet w ogóle bardzo teraz zaniedbane; o szkołach chcemy słowo powiedzieć. Otóż w szkołach państwa rosyjskiego niema ani moralności, ani religii, ani nauki. Młodzież lub nikczemnieje obyczajowo, lub z braku jakiegobądź wykształcenia bierze za patryotyzm najgwałtowniejsze, najujemniejsze wyobrażenia, wcześnie cześć ideom rozprzęgującym społeczeństwo zaprzysięga. W Galicyi dotąd zniechęcano tylko umysły do pracy. Młodzież wychodziła bez interesu dla nauki, bez wyobrażenia o obowiązkach, i otrząsnąwszy się z więzów niewoli szkolnéj rzucała się na oślep w lekkomyślne życie. W Wielkopolsce znowu i Prusiech Zachodnich, gdzie naukowość stoi najwyżéj, naukowość ta oderwana, nie mająca związku z rzeczywistością, z obowiązkami, nie zależąca w niczem od religii i moralności, jest nieprzerwanie środkiem wynarodowienia. Książki do nauki służące wszczepiają tylko w młode umysły uprzedzenia do najświętszych rzeczy. Młodzież ucząca się nabywa ciągle przesadzonéj czci dla umysłowości niemieckiéj, pewnego lekceważenia dla oświaty narodowéj; oprócz tego myśl i język naleciałościami niemieckiemi sobie kazi. Patryotyzm jawnie żyjący w gimnazyach księstwa Poznańskiego ochrony tu wcale nie stanowi. Patryotyzm ten dotąd tylko przestrzegał zewnętrznych odstępstw, albo się przeciw najpoważniejszym w kraju rzeczom zwracał (a).

Cóżkolwiekbądź od przygotowania jakie z domu uczniowie do szkół przynoszą, zależy wiele, bardzo wiele. Żeby rodzice starali się z młodu przykładem i nauką wzmacniać rozsądek dzieci, chronić ich wiarę i czystość ich dusz niewinnych, żeby nie dali trującym kwasom świata, nieufności, krytycyzmowi, fałszywemu draźnieniu patryotycznemu do nich przeniknąć, inaczéj lepiéjby się zły wpływ obcy od serc i umysłów odtrącał.

Wina za wszelkie złe w ojczyznie istniejące nie na samych Polakach cięży, to pewna. Wpływ nieprzyjaciół władzę piastujących wiele i wiele rozprzęga w naszém społeczeństwie. Widzieliśmy to już mówiąc o szkołach. Rządy obce jeszcze zawzięciéj jak najostateczniejszy radykalizm pracują nad zniszczeniem podstaw religii, tradycyi historycznéj, języka, obyczajów i zwyczajów. Rosya kraje polskie sobie poddane zaraża zgniłą niemoralnością swoich wyższych i niższych urzędników: tam rozpusta i przedajność stoją jawnie na świeczniku. Rosya systematycznie katolicyzm niszczy, mniejsza o to czy gwałtu jak w sprawie unitów, czy pozornéj łagodności, jak teraz używając. Rosya stara się obłąkać sumienie narodu

---

a) Na wiele niebezpieczeństw pod względem wynarodowienia zupełnie są u nas oczy zamknięte. Mało naprzykład kto zwraca uwagę że zbyt żywe zajęcie sprawami politycznemi niemieckiemi, że związki polityczne z liberalistami Niemiec odciągają umysły od rzeczy narodowych. Nie dziwią się już ludzie, kiedy spotykają namiętności niemieckie na niwie polskiéj. Nas to bardzo dotyka. Żywo uznaliśmy złe widząc naprzykład jak nasze pisemka dla ludu, włościanom nic niewiedzącym o tylu zasłużonych Polakach, o Waldecku i o innych wielkościach opozycyi pruskiéj rozpowiadały. Powinniśmy się przeświadczyć, że wszelkiemi drogami wynarodowienie przyjść może. Niezawodnie szanujemy objawy życia katolickiego u obcych. Co więcéj, jeźli gdzie to w rzeczach katolickich, tam gdzie wszystko nosi na sobie cechę powszechności, wszystko od jednéj wspólnéj władzy zależy, naturalném jest porozumienie się, zbratanie jednych krajów z drugiemi. A jednak i tu wolno nam zachować ostrożność Istnieją naprzykład teraz w Niemczech pełne gorliwości i świętości bractwa *S. Bonifacego* i *Piusa*. Owoż uznając ich zasługi nieprzyłożylibyśmy ręki do wprowadzenia ich do Polski. I te uczucia nasze nie sprzeciwiają się tradycyi kościelnéj. Kościół uznaje odrębności narodowe, nie gniewa się on wcale że pewne instytucye katolickie wyłączniéj narodowym odpowiadające potrzebom, w narodowych zostają granicach.

wszczepiając na drodze urzędowéj i nieurzędowéj fałsz w dzieje polskie. Rosya prześladuje wszelkie podanie przeszłości: zniosła nazwy i podziały kraju, piętnuje stare polskie szlachectwo swojém szczególném zatwierdzeniem, nagromadzone przez tyle czasów skarby naukowe wydarła Polakom i na bezużyteczność w Petersburgu skazała. Rosya nadwerężeniem prawa własności, konfiskowaniem majątków, toruje drogę wszystkim socyalizmom. Rosya także rozdmuchała nieufność włościan do panów, i teraz w ręku swojém gotowe burze przeciw szlachcie trzyma. Rosya otwiera dla młodzieży instytuta, w których wszystkie wygody cielesne i wszystkie draźnienia próżności służą ku wypielęgnowaniu niskich instynktów. Nawet po przyszłe matki sięga zdradna ręka Rosyi. By wpłynąć na kobiety założono tam szkołę zbytku i lekkomyślności w Puławach. W całéj historyi niema przykładu zawziętszéj względem ujarzmionego ludu polityki. Cóż powiedzieć o Austryi, gdzie podstępna zawziętość poróżniła stany i plemiona, i doprowadziła do okropności roku 1846 i do rozdarcia roku 1848? Cóż o Prusiech, gdzie systemat bezwzględnego zniemczenia z taką nieubłaganą konsekwencyą wszystkie religijne, obyczajowe: społeczne zapory rozwala? Powtarzamy: to co zaciekły radykalizm robi za granicą, to u nas rządy obce za zadanie sobie wzięły. One najgłówniejszych czynników rozkładu dostarczają. Od nas przecież zależy ułatwić lub utrudnić roboty nieprzyjaciół. Są płyny, które więcéj lub mniéj środkom rozpuszczającym ulegają. Wzmocnijmyż się do tyla tęgością moralną, żebyśmy udaremnili zabiegi ku zniszczeniu naszemu przedsiewzięte.

Owoż nie dają potrzebnéj tęgości moralnéj ciągłe koleje sprzysiężeń i doszłych albo nie doszłych wybuchów; nie dają jéj, nieustanne draźnienia zemsty i oburzeń, od których nie uchronimy nawet dzieci naszych w wieku gdzie te draźnienia tylko zatruwają serca i krzywią charaktery; nie dają wszystkie wysilenia na raz, wszystkie fantazye i wielkie zaręczenia bez czynów. Trzeba cnoty prostéj, czynnéj, wytrwałéj, cnoty z obowiązku nie z przemijającéj ochoty, cnoty ugruntowanéj na niepożytéj opoce religii, by wszystkie próby i wszystkie koleje wytrzymać.

Ale ciężka jest rzecz przekonać ludzi którzy jedne tylko środki zbawienia znają i którzy jakby mechanicznie jednych się ciągle trzymają sposobów. Naszym patryotom zdaje się, że kiedy nie wiążą się w kraju sprzysiężenia, duch publiczny osłabł, przywiązanie do ojczyzny zmniejszyło się; zdaje im się że wszystko stracone, jeśli nie ma zaraz wybuch nastąpić. Roboty wytrwałe albo pogardą okrywają, albo się od nich odwracają z lekceważeniem; wyobrażenia prostéj moralności uważają za szkodliwe, przesądne, albo maską hypokryzyi mienią. Tym czasem sprzysiężenia jedne po drugich przemijają, a dla tego jeszcze zguba nie nadeszła i ci sami którzy zapowiadali że każde wysilenie jest ostatniém i że się musi udać bo inaczéj Ojczyzna na wieki przepadnie, znowu widzą się w konieczności nowe roboty rozpoczynać. Otoż czas jest zrozumieć jakie zasady powinny stać podstawą, by się roboty najużyteczniéj dla ojczyzny obróciły, by zostawiły najmniéj podobieństwa zawodów.

Nam się zdaje że w sumieniu narodu zbiorowo wziętém, już się pojawiają przeczucia o zbawiennym dla Polski kierunku. Indywidua jeszcze wyznają zdania szkodliwe, albo się do śmiałości głośnego wypowiedzenia innych przekonań nie podniosły; ogólnie czuć wpływ orzeźwiający na wszystkich. Cóż przeszkadza prędszemu nawrotowi do dobrego? Oto siła nawyknień. Najszlachetniejsi nawet ludzie do dróg ujemnych tylko przywykli. Boją się czy im się zdrady nie podsuwa, kiedy się im czyste, proste kierunki wskazuje. Odstępstwo wyraźne nie tyle ich kłopoce, oni jeszcze po odstępcach umiejących odstępstwo wielkiemi pozorami ubarwić

spodziewają się jakiegoś Wallenrodyzmu, tam gdzie jest przejrzysta prawda odstępstw się obawiają.

Od jakiegoś czasu świta w Polsce na lepsze. Brodziński, Witwicki, że nie wspomnimy innych usiłowań, przygotowali niejako pole i w końcu przyszedł wieszcz, który nowy ideał postawił. Wieszcz ten nie od razu poczuł i zrozumiał co się dzieje w narodzie; długo błąkał się po ciemnych częściach zwątpienia, to w przewidzeniu tego co nastąpi w Europie wzdrygał się jenialnym dreszczem, to się nachylał ku przepaści złego i o ubóstwieniu zemsty marzył, to sny fantazyi biorąc za rzeczywistość, rajskie ludziom szczęście obiecywał; prorokował nawet o przyjściu pocieszyciela, i w niebacznym zapale wstrząsał starym dogmatem by i tę zawadę z dróg w obiecaną przyszłość usunąć; — ale że kochał, że cierpiał z miłości, że w raj czysty wierzył i drogi do niego nieskalane wskazywał, że prawdy szukał szczerze, bezinteresownie, natrafił na jéj czystą krynicę i oto do niéj ludzi nawołuje. Tém większa jego zasługa, że kiedy poeta *Dziadów* wyidealizował tylko popęd ogólny, wziął gotowe zdania jakie mu burzliwa fala niepokojów narodowych pod nogi przyniosła, wieszcz *Psalmów* stanął naprzeciw głośnych, wziętych pojęć, i swój ideał wyżéj jak namiętności spółziomków od razu postawił.

Wieszcz *Psalmów* nie przerzuca się w żadną ostateczność, o teraźniejszości nie wątpi, lepszéj przyszłości się nie wyrzeka. Z jasnego stanowiska po za wszystkiemi ostatecznościami, nawołuje on do tych wiecznych prawd, których zapomnienie staje się przyczyną śmierci moralnéj, i zaklina by wszelki dualizm w życiu prywatném i w polityce odrzucić. Mówi błagająco:

Czas anielski podjąć trud
Czas odrzucić wszelki brud

przechodzi cały szereg złych i niebezpiecznych pojęć zagnieżdżonych na polskiéj niwie.

Jakże on sobie pięknie wyobraża tę Polskę, wtedy kiedy wzniośle ostrzega:

Szata Polski nieskalana....
Dotąd w Polski grobie leży.
Ten kto wzniesie pierwszy rękę
By śnieg zetrzeć z téj odzieży
Kto przemieni w zbrodnią — mękę,
Kto przekuje w nóż — kajdany
A nie w szablę, ten przeklęty.

I zaraz wywijają się u niego jedne z drugich rady uczciwe, mądre, w najprzejrzystsze, w najszczytniejszéj prostoty słowa obleczone. Słuchajmy!

Nie jest czynem — rzeź dziecinna,
Nie jest czynem — wyniszczenie;
Jedna prawda boska, czynna
To przez miłość przemienienie.

Albo:

Gdy wstępują w świat geniusze
Innym sprawę wiodą torem
Nikt przez mordy i katusze
Nie był wieków dyktatorem.

Gdzie indziéj widzimy dobitnie napiętnowane złe uczucia, które duch stronniczy w samolubnych widokach rozdmuchuje;

Nic nie spychać nigdy w dół
Lecz do coraz wyższych kół

Iść przez drugich podnoszenie
Wszystko, wszystko, wiecznie, wszędzie
Rwie się w górę z Bożéj myśli
Z wiecznym Bogiem ten nie będzie
Kto inaczéj świat swój kreśli.

Daléj odwracając się do sofistów woła poeta:

Kto chce iskier z czarta kuźni
By przepalić czarta moc,
Ten świat w gorszą wpycha noc
Ten mądrości wiecznéj bluźni.

Zadaje sobie potém bolesne pytanie:

Z kąd tych czarnych myśli rój?

i odpowiada:

One rosną gdzie kajdany
Ach niewola sączy jad.

Tu wydziera mu się przerażający wykrzyknik który takiém głuchém echem boleści niejednych piersi zawtórował

Niczem Sybir, niczem knuty
I cielesnych tortur król!
Lecz narodu duch otruty
To dopiéro bolów ból

Wieszcz widzi czynne szatańskie zabiegi i wskazuje na upostaciowanego przez siebie kusiciela

Sprosnościami hydnéj dumy
Pomieszał rozumy!
Rozwiązuje sam sumienia
Przez ogrom cierpienia!
Sieje kłamstwo i ciemnotę
Zmieni zbrodnią w cnotę,

Tu się obraca do Polski i wykrzykuje

Precz tym złudom... ,
Złéj godziny to są mary,
Ty nie zbędziesz dawnéj wiary
Że ten tylko więzy przetnie
Kto namaszczon cnoty znakiem.

Ach przekłada on gorąco: nie wierzcie *że cel wielki a ukryty, odwszetecznia podłe drogi* i błogosławione swoje dzieło naprawy wieńczy temi surowéj wielkości zdaniami.

Nie przypadek rządzi w świecie
Nikt nie stawia gmachu z błota
A największy rozum — cnota.

Są jeszcze w ***Psalmie*** rady, żeby znieść niewolę, nadać własność włościanom, mądre rady na które dotąd niektóre części Polski, o ile to od Polaków zależy, głuche pozostają. Śpiew kończy się nadzieją która się nieurzeczywistniła na teraz.

Wielkie wstrząśnienia nastały niedługo po gorącém odezwaniu się poety do narodu. Kilka kropel krwi padło na śnieżną szatę Polski; zrobiła się cisza i znowu potém cały świat zatrząsł się w posadach. Poeta wtedy w obec podżegań do obalania pod pozorem że się rajskie czasy przybliżą, wyrzekł te słowa pełne namaszczenia chrześciańskiego i mądrości o działaniu ducha św. w świecie.

Lecz on płynie a nie skacze
Lecz on wschodzi a nie spada
Ziemia pod nim krwią nie płacze
On nie woła: Biada

Czyż tu się każdemu mimowolnie porównanie z *Odą do młodości* nie nasunie?

Wypadki nie obudziły w poecie przerażenia; i teraz nie uciekł się do żadnych ostateczności, ale chroniąc w zamęcie dziedzinę niepokalanéj prawdy woła:

Że świętości duch jednolit
Ni mongolskich dziczy
Ni czerwonych rzeczpospolit
W swe cuda nie wliczy

To nie dość. Widzi on że trzeba sobie zapracować na lepszą przyszłość, widzi potrzebę zasługi i przyznaje przed Bogiem

Ty bez nas samych niemożesz nas zbawić.

Przed Panem Bogiem staje z jedynemi uczuciami z jakiemi się wolno do Niego przybliżyć, z miłością i pokorą. Któż nie pamięta tego pięknego ustępu: *Gdy pochylisz kornie czoło*, który tak odbija od zuchwałych przemów wszystkich poetów wznoszących się ku niebu *na paluszkach drobnéj pychy*.

Powiemy tu z całą szczerością, że nie jesteśmy bez pewnych obaw o prostotę religijnych pojęć autora *Psalmów*. Nawyknienia umysłu, więzy świetnéj przeszłości, wymagalność nieodrzuconych wyraźnie systematów filozoficznych tudzież wstręty a uprzedzenia raz nabyte, mogą stać się u niego zawadą i niebezpieczeństwem, ale wolno nam się spodziewać, że umysł który do takiéj prostoty w moralnych pewnikach doszedł, że serce miłością i pokorą tak głęboko przejęte z równą prostotą uznają i przyjmą: konieczność jasno i dostępnie określonych dogmatów, zupełną bezwarunkową wspólność wierzenia z ludem i ścisłą regułę religijną odpowiadającą regule moralnéj (u nas taki brak reguły we wszystkiém), zarazem stanowiącą warunek téj ostatniéj.

Bądź co bądź w moralności ideał wieszcza *Psalmów* wiernie w sobie czyste prawdy ideału chrześciańskiego odzwierciedla. Widzimy tam piękny szereg zbawiennych pojęć o potrzebie zasługi, o postępie kolejami wzniesienia, o nieodzowności dobrych środków, o konieczności odrzucenia wszelkiego fatalizmu i wszelkiego dualizmu, wszystko promieniejące wiecznie młodemi barwami wiary, nadziei, miłości i zlewające się jakoby w jeden dźwięczny akord, w pokorną prożbę do Boga, o łaskę *świętych czynów* i w modlitwie do matki Boskiéj o przyczynienie się do Syna by nam dał *czystą wewnątrz nas samych wolę*.

Takie słońcem prawdy a nie sztucznemi ogniami oświecone horyzonty, są horyzontami bezpiecznemi i zbawiennemi dla Polski. Do celu wyraźnie wskazanego prowadzą tam proste drogi. Wszystko widać na powierzchni, a wszystko się zgadza z najskrupulatniejszemi wymaganiami sumień. W obec wyrzeczonych godeł niema żadnych powodów do niepokoju. Równie najczystsze natchnienia cnotliwie wypielęgnowanych uczuć młodzieńczych jak i oświecona prawdziwém doświadczeniem mądrość wieku starszego od razu doznają swobodnego zaspokojenia. Poeta niekaże się kłaniać ani fałszywym bogom potęgi materyalnéj i władzy przez obcych wyobrażanéj, ani szatanom pychy, zemsty i gwałtu. Woła on: nie opuszczajcie waszego pola obowiązków narodowych i godności narodowéj, a trzymajcie się środków uczciwych; *największy rozum cnota*, nią nie zaś bronią *z kuźni czarta* zwalczycie mocy szatańskie. My to samo za nim powtarzamy, do-

dajemy tylko: bądźcie zawsze wiernymi myśli katolickiéj która stanowi najwyższą wartość waszą

A patrzący wiecznie z góry
Nie odwróci twarzy Bóg.

SPÓR MIĘDZY J. B. OSTROWSKIM A KSIĘDZEM HIPOLITEM TERLECKIM w dzienniku paryzkim *La voix de la verité.*

Nie wmieszaliśmy się dotąd w ważną dyskusyę, która się jeszcze w końcu września roku zeszłego w dzienniku *La voix de la verité* (zobacz numera wrześniowe 89 i 90 tudzież październikowe 107 i 108) między p. Ostrowskim a ks. Terleckim zawiązała. Nie chcieliśmy na razie dodawać do drażliwości. Rzecz cała przecież ma zbyt wielkie znaczenie żeby się godziło pismu publicznemu zupełnie ją pominąć. Zajmuje nas przedmiot, zajmują osoby, nagli troskliwość o oświecenie ile z nas jest sumienia kraju. Rozumiemy zatém że istnieją pobudki by kwestyą sporną wytoczyć przed czytelników *Przeglądu.*

Na wstępie zaraz widzimy potrzebę szczerze wypowiedzieć jakie jest nasze względem ks. Terleckiego położenie.

Wiadomo że ks. Terlecki na wygnaniu przed laty nie spełna dziewięciu do stanu duchownego wstąpił. Znaliśmy go i szacowali przedtém, znaliśmy i szacowali później, do dziś dnia zachowujemy dlań żywe uczucie przychylności i szacunku. Ks. Terlecki powszechnie jest ceniony. Odznaczały go dawniéj i odznaczają teraz pobożność, gorliwość o chwałę Bożą i o pożytek bliźnich, gorące przywiązanie do ojczyzny, przytém bystrość umysłowa. To wszystko uznajemy i wynosimy. Cóżkolwiekbądź zaszły w zawodzie duchownym ks. Terleckiego zmiany o których konieczności nie przekonaliśmy się jeszcze. Ks. Terlecki aż do r. 1847 należał do Zakonu Zmartwychwstańców. Był tam bardzo czynny i bardzo użyteczny. Razem w epoce którąśmy oznaczyli opuścił swoich towarzyszy i przeszedł na inny obrządek. Z księdza łacińskiego został za upoważnieniem Ojca Śgo księdzem uniackim. Zrobił to równocześnie z zawiązaniem się w Rzymie towarzystwa mającego na celu budzić życie duchowe i umysłowe w Unitach, i niezawodnie ważne i rzetelne powody kierowały jego krokami. Z tém wszystkiém my, którzy wiele się po zakonie Zmartwychwstańców spodziewamy, a którzy uważamy że u nas najzbawienniejsze przedsięwzięcia brakiem wspolności się rozchodzą, którzy zawsze ubolewaliśmy że w Polsce mało kto chce z innymi pracować, mało kto słuchać, tylko każdy zaraz na swoją rękę coś rozpoczyna, którzy wreszcie ciągle widzimy jak tyle robót polskich upadło i upada z powodu zbytecznego podziału sił albo niedotrwania robotników, zasmuciliśmy się z postanowienia ks. Terleckiego. Terazże przyznajemy że P. Bóg wzbudza szczególne wokacye i do dzieł pewnych pewnych ludzi powołuje. Być może że ks. Terlecki takie posłannictwo odebrał. Czyny przeświadczą ludzi sumiennych; my z naszéj strony nie odpychamy przekonania, nawet nie chcemy się kwapić z sądem, boć trzeba kilku lat, by się zamiar dostatecznie wypróbował. Tymczasem zachowując pewną powściągliwość dawnéj dla ks. Terleckiego przychylności nie składamy.

To co do osoby i przedsięwzięcia ks. Terleckiego.

Jeżeli rzecz samą w sobie pod uwagę weźmiemy, niepodobna nam jak tylko żywe dla niéj objawić współczucie. Unitów mamy wraz z kościołem za równie dobrych katolików jak łacinnicy i nieprzeczymy że Pan Bóg może względem nich wielkie zamiary chować. Podniesienie religijne, moralne i umysłowe współrodaków naszych i jednoplemieńców tego wyznania ob-

chodzi i obchodzić powinno całą Polskę. Tylko na drodze wiodącéj do tego szlachetnego celu, tak jak na wszystkich drogach ziemskich znajdują się niebezpieczeństwa. My utrzymujemy że Polacy przedsiębiorący działać na Unitów, jakikolwiek zresztą jest ich obrządek, mają obowiązek występować jako Polacy, nie zapierać się swojéj narodowéj przeszłości, nie wyrzekać się historyi (nadużycia chwilowe mało znaczą, gdzież i kiedy nie było nadużyć?) i oprócz tego powinni przeciw schizmie nie przeciw łacińskiemu obrządkowi, obrządkowi najdoskonalszemu między wszystkiemi i jedności katolickiéj najlepiéj odpowiadającemu, usiłowania swoje obracać. Wszelki krytycyzm, wszelka przesada myśli i sposobu zaszkodziłyby Polsce, a pomogły jedynie schyzmie rosyjskiéj.

O cóż chodziło p. Ostrowskiemu? Tu pomijając broszurę *les Panslavistes*, która się niepotrzebnie w szranki życia prywatnego wdarła, na artykuły dziennika *La voix de la verité* uwagę zwracamy. P. Ostrowski pisze: „Ks. Terlecki widzi niebezpieczeństwo grożące szczątkom kościoła sło„wiańsko-unickiego, katolicyzmowi i oświacie; wszakże przerażony złém „które się przybliża, gorliwością zapobieżenia mu zagrzany, przesadza w są„dach, i cel który sobie zamierzył prześciga.” Zarzuca p. Ostrowski ks. Terleckiemu zbytnie wywyższanie obrządku uniackiego, niechęć przeciw katolicyzmowi polskiemu i niesprawiedliwość względem dziejów Polski, nadto używanie rozmaitych przezwisk z wyłączeniem miana Polaka. „Ks. Ter„lecki, mówi p. Ostrowski, oskarża Polskę o nietolerancyą. Wzywam go „aby przytoczył choć jedno rozporządzenie prawodawcze przeciwne wol„ności sumień, wolności kościołów słowiańsko-katolickiego i schizmatyckie„go. Chwała to Polski że pierwsza w Europie wolność sumienia ogłosiła „i że ją utrzymała aż do ostatniéj chwili.” P. Ostrowski zbija takie często powtarzane przez ks. Terleckiego oskarżenie jakoby to było winą Polski że się szlachta ruska złaciniła i dowodami odpiera zarzut niedbałości o umysłowe podniesienie Rusinów Polakom uczyniony. „Gdyby, dodaje gdzieś „jeszcze, ks. Terlecki był się ograniczył do żalu nad upadkiem kościoła „słowiańsko-uniackiego pod przemocą rosyjską, gdyby był przedsięwziął „dzieło odrodzenia tego kościoła, żarliwie bym popierał jego usiłowania.“ Tak jak rzeczy stoją p. Ostrowski tylko niebezpieczne następstwa przy całéj dobréj wierze ks. Terleckiego przewiduje.

Przytoczyliśmy uwagi rozsądne i uzasadnione; ale p. Ostrowski nie ograniczył się do tego rzędu dowodów i popsuł dobrą sprawę nadużyciem przesadzonych oskarżeń o nienawiści ks. Terleckiego dla zachodu, o jego bałwochwalczém uszanowaniu dla Rosyi, zawziętością sposobu ciągle grzesząc.

Ks. Terlecki odpowiedział i w odpowiedzi swojéj zwrócił się jak oczywista przeciw oskarzeniom jego uczucia i jego charakter dotykającym. Nie trudno było mu dowieść przytoczeniami że zachodnią Europę, że cywilizacyą rzymską kocha, że jest z zasady przeciwnikiem stałym i nieugiętym Rosyi. Jeżeli ma przekonanie że przeciw Caryzmowi i schizmie najsilniejszą twierdzę obrządek unicki stanowi, toć się w tém nic uraźliwego dla sumień polskich nie mieści. Zresztą ks. Terlecki zwycięzko jak na katolika główne zarzuty odpiera mówiąc: „Oświadczam że wszystko co na„pisałem, lub napiszę, że wszelkie moje czynności poddaję sądowi kościoła „i że zawczasu potępiam to coby potępieniu kościelnemu uległo.

Jednakowoż ks. Terlecki nie wytłumaczył się dostatecznie z rzeczy mniejszego ogólnego znaczenia, a dla nas bardzo ważnych. Powiada on tylko: gniewacie się na mnie że Polskę o nietolerancyą oskarżam a przecież papież Pius IX. powiedział, że Polskę Pan Bóg za ucisk włościan, za prześladowanie unitów i za rozwody skarał (słowo papieża przytoczył ks. Jełowiecki w kazaniu z którego wyjątki daliśmy). Papież miał słuszność, wszakże mówił ogólnie. Polak znający dzieje swego kraju powinien staran-

nie rozróżnić instytucye od ludzi, dążności historyczne od chwilowych pojawów. Zresztą o poprawę nie o krytykę dziś jedynie chodzić może. Zagrzewać do poprawy jest zbawiennie, krytykować z niechęcią na nic się nie przyda. Krytyka dostarcza tylko broni tym co przeszłość Polski radzi szkalować.

Żeby dać czytelnikom naszym możność ocenienia sposobu ks. Terleckiego przytoczymy cały ustęp z jego kazania drukiem ogłoszonego (*a*).

„Gdzież jest ów kościół Grecko-Słowiańsko-katolicki, kościół Ruski ta „Matka Ojców moich? ta droga Matka moja, którćj ojcowie wasi tak złe „łoże usłali? On przeznaczony i wytknięty przezorną Opatrznością Bożą ku „wielkim w Słowiańszczyznie przeznaczeniom, ku zespoleniu całćj Słowiań„szczyzny w myśli Bożćj, a zepchnięty nie mądrą polityką ojców waszych „z drogi swych przeznaczeń. Przeciągnieniem szlachty ruskićj na obrządek „łaciński, a przeto uczynieniem kościoła tego kościołem gminu, kościołem „chłopskim, poniżeniem duchowieństwa, zamknięciem mu wstępu do oświa„ty i rozlicznemi drugiemi nadużyciami poniżony i zbezsilniony, upadł już „niestety i zaledwie jeno szczątki jego jeszcze zostają.“

Więc to kościół wschodni katolicki ma połączyć całą Słowiańszczyznę w jedno zapewne w myśli ks. Terleckiego. Katolicy łacińscy zostaną w swoim obrządku, boć on ostatecznie nierozróżnia w katolicyzmie, ale czy tak inni zwłaszcza słysząc podział na *my* i *wy* zrozumieją)? Więc Polacy jedynie prześladowali, mieli politykę prześladowczą, więc oni tylko winni są że unici nie zdołali wytrzymać parcia schizmy? Ah te niesprawiedliwości, przesady, niejasności pojęć i wyrażeń tylko się na to przydać mogą, żeby rosyjskie oszczerstwa i austryackie w Galicyi roboty podeprzeć.

Nas razi w Polaku, wychowanym po polsku, w księdzu niegdyś łacińskim, to przejęcie się namiętnościami jednćj części kraju przeciw całości myśli i tradycyi narodowych.

Ksiądz Terlecki rozpoczął zawód trudu i poświęcenia, otworzył w Paryżu szkołę, myśli o pracach misyonarskich. Z serca mu życzymy błogosławieństw Bożych. Wszelako żądamy i mamy prawo żądać, żeby szanował dzieje swego kraju, żeby wyraźnie jako Polak występował i żeby raz stanowczo wyrzekłszy się przeciągania łacinników na obrządek unicki, wszystkie usiłowania ku podniesieniu unitów a przeciw schizmie obrócił.

APOSTAZYA MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

Szczerą poczuliśmy żałość na wieść o apostazyi Michała Czajkowskiego. Zabolał nas tak jak pewnie zabolał wielu rodaków ten nowy dowód rozprzężenia moralnego w narodzie, pomięszania pojęć politycznych z religijnemi, gotowości chwytania się najgorszych środków do celów pozorami fałszywego patriotyzmu okrytych; wzgląd na nieszczęśliwego renegata zasmucił. Człowiek wykształcony, i jakkolwiek fantasta zdający sobie sprawę ze wszystkich swoich czynności, musiał on przejść niesłychane koleje zwątpień i boleści zanim się na taką okropną ostateczność odważył. Winy jego żadne względy nie zmniejszają. Cóżby było z religią chrześciańską gdyby w czasach prześladowań takich tylko znajdowała była wyznawców? Słychać że Czajkowski już żałuje popełnionéj zbrodni. Ach niezawodnie prędzéj czy późniéj gorzki żal ściśnie mu serce, prędzéj czy późniéj przekona się że Polsce krzywdę tylko wyrządził (Polsce się na złych drogach szkodzi a nie służy) a siebie bezowocnie zgubił. Dziś już widzi

---

a) ***Rzecz o obrządkach katolickich wschodnich a schyzmie wschodniéj, miana w Paryżu w kosciele Wniebowzięcia*** (Paryż u Martinet, 1850.)

jak się ze śmiercią jenerała Bema rozchwiały mylne nadzieje pomagania Ojczyznie z utratą i przez utratę własnéj duszy. Bodajby Pan Bóg oświecił go, naprowadził i dał mu odpokutować złe które sobie i innym uczynił.

Ciężko nas Pan Bóg karze. Marnują się jeden po drugim ludzie użyteczni, zdolni, celujący rzadkością usposobienia. Strata dla sprawy autora tylu powieści narodowém natchnieniem jaśniejących, szczęśliwego wysłańca z emigracyi do Rzymu, jeszcze szczęśliwszego ajenta na wschodzie jest wielką z wielu miar klęską. Co powiedzą o Polakach w Rzymie gdzie tak długo Czajkowski u najwyższych osób był tłómaczem uczuć katolickiéj Polski?

Niepodobna nam w chwili obecnéj nie zwrócić myśli do księcia Czartoryskiego. W liczbie ciężkich i bolesnych prób jakie jego sędziwe lata zachmurzyły, ta jest pewnie jedną z najbardziéj gorzkich. Słyszeliśmy że książę postąpił sobie w téj sprawie jak katolik prawdziwy. Miło nam widzieć równie poważny przykład ku nauce, że trzeba zawsze obowiązek wyżéj jak względy świata lub własną skłonność stawiać.

OBRAZ STANU W. KS. POZNAŃSKIEGO W CIĄGU ROKU 1850 wedle dziennika krakowskiego *Czas*.

W numerze styczniowym roku zeszłego podaliśmy Czytelnikom zdanie sprawy z postępów moralnych i materyalnych w prowincyi naszéj. Z nieustającą troskliwością na wszystkie objawy dobrych dążeń, na poznaki nawrotu do pojęć zbawienniejszych patrząc, z zadowolnieniem zwróciliśmy uwagę kraju całego na wiele pocieszających faktów. Jesteśmy przekonani że u nas tak jak i w całym narodzie polskim budzi się coraz więcéj myśli czystych, żywiołów rzetelnéj wartości i tylko byśmy chcieli żeby zła wola lub zaślepienie ludzkie nie przeszkadzały ich rozwinięciu. Owoż za najlepsze do odsunięcia szkodliwych wpływów środki uważamy jawność i uczciwą dyskussyę. Dla tego mieliśmy zamiar w tym roku rachunek sumienia w Poznańskiém zrobić. *Czas* ubiegł nas i wyręczył, a że zresztą sami nie dawno o ważnych prowincyą naszą obchodzących zadaniach obszernieśmy mówili, odstępujemy od przedsiewzięcia. Cóżkolwiekbądź przepisujemy niektóre szczegóły z artykułów *Czasu* (a).

Pod względem materyalnym rok ubiegły nie dobre po sobie zostawi wspomnienia. Kilkoletnie wstrząśnienia polityczne; niekorzystanie dostateczne z korzystnych lat kilku ubiegłych i upadek zupełny kredytu i handlu; paroksyzma wojenne rządu w chwilach najważniejszych dla rólnika, jako to w roku obecnym przed Ś. Janem i w późnéj jesieni co zabiło ceny, pierwszą rażą wełny a powtórnie zboża; urodzaj mniéj jak średni, jak to dowodzą raporta szczegółowe o żniwach *Ziemianina*, bardzo szkodliwy wpływ wywarły na rolnictwo, jedyny nasz przemysł, jedyne źródło bogactwa. Na pochwalę jednak naszych posiedzicieli ziemskich przytoczyć trzeba że mimo najtrudniejszych okoliczności, wszelkich dołożyli starań by się na Ś. Jan z obowiązków swych uiścić, że rata towarzystwa kredytowego ówczesna jak najświetniéj wpłynęła b). Raporta towarzystwa kredytowego tegorocznie jak najświetniejsze wykazały nam rezultata.... Wartości dóbr nieruchomych i kredytowi ziemskiemu, najbardziéj w tym roku zagroziła dotąd stanowczo nierozstrzy-

---

a) Od dawna widzimy potrzebę napisania obszerniéj o całym kierunku *Czasu*. Już w numerze niniejszym miał być umieszczony artykuł pod tytułem *Czas, Goniec* i *Przegląd* i tylko brak miejsca zmusił nas do cofnięcia go z druku.

b) To samo powiedzieć można o racie grudniowéj.

(Przyp. Redak. *Przeglądu*.)

gnięta wątpliwość czy paragraf konstytucyi znoszący przywileje, znosi właściwość dóbr tak zwanych szlacheckich, że niżéj ⅔ taksy nie mogły być sprzedanemi, czy nie *a*) Od rozstrzygnięcia wątpliwości téj zależy materyalny upadek lub ratunek wielu naszych posiedzicieli ziemskich.... Różnorodne te klęski, dotąd dzięki Bogu mniéj wywarły wpływu na stan materyalny ludu wiejskiego, który dopiero ciężarami komunalnemi, kwaterunkiem, dostawą furażu, w ostatnich tygodniach roku tego wstrząśnionym został... Z robót publicznych oprócz fortecy poznańskiéj, nad którą wciąż usilnie pracują, a którą dziś przynajmniéj do robót naszych policzyć nie możemy, oprócz budowy kolei żelaznéj w okolicach Bydgoszczy i oprócz kilku szoss, które mimo że składki na ten cel krajowe, w znacznych w kasach rządowych zalegają sumach żółwim postępują krokiem, wymienić wypada pracę około osuszenia błot Oberskich... Znacznym téż ciężarem dla kraju są z każdym rokiem i jak np. w bieżącym o całą połowę zwiększające się składki kasy ogniowéj rządowéj, a tém są przykrzejsze, że z użycia ich niemasz żadnego raportu, żadnéj nad wydatkiem kontroli; nie wchodzą bowiem w budżet państwa, należą pod zarząd reprezentacyi prowincyonalnéj któréj niemamy i któréj dotąd i na przyszłość prawem wyjątkowém pozbawieni jesteśmy...

Rok 1850. zastał następujące ważniejsze stowarzyszenia na ziemi naszéj: *Ligę* największe stowarzyszenie jakie kiedykolwiek w Polsce było, *Naukową Pomoc*, pomnik tyle zasłużonego Marcinkowskiego. Wreszcie *Spółkę właścicieli Bazaru*. Liga krótko tylko w tym roku żyła: zabita została nowém prawem o stowarzyszeniach które zadając cios śmiertelny organizacyi na któréj *się opierała* samąż *Ligę* niepodobną uczyniło.... Po rozwiązaniu ogólnego stowarzyszenia kuszono się po kraju, drobne już to parafialne, już to powiatowe Ligi zakładać: ale próby te z małemi wyjątkami się nie udały; w powiatach jednak prawie wszędzie w miejsce Lig poformowały się kasyna, nie tak wprawdzie liczne, zawsze jednak pożyteczne jako punkta zbiorowe. Z ogólnéj ligi także pozostało kilka miejscowych kas oszczędności i wekslowych pożyczek dla ludu wiejskiego, bardzo dobrze prosperujących *b*); wreszcie komitet wyborny do kierowania wyborami na sejmy.. *Naukowa pomoc* przetrwała szczęśliwie trudne chwile i z nowém prawem o stowarzyszeniach pogodzić się dała; oby błogi jéj cel jak najszersze miał zasoby.... Z tegorocznych stowarzyszeń wymienić musimy bractwo świeckie Ś. Wincentego w Poznaniu założone, pomoc niosące biednym i chorym; w najświętszym więc celu i z widocznem błogosławieństwem dzieła wzrastające w liczbę i zasoby. Stowarzyszeniu *przemysłowemu* zawdzięczamy tegoroczną pierwszą wystawę. Stowarzyszenie *straży ogniowéj* Poznańskie nadzwyczajne oddało usługi miastu Poznaniowi, w czasie groźnéj powodzi téj wiosny Oprócz tego istnieją w Poznaniu dwa towarzystwa *Dobroczynności* z których jedno szczególniéj trudni się *ochronami*, i stowarzyszenie zwane *kołem towarzyskiém* z wielką liczbą miejscowych i zamiejscowych członków.

Przychodzę do wykazania dzieł dobroczynności księstwa w roku 1850, które co na pochwałę Poznańskiego powiedzieć trzeba, na téj drodze żadnéj innéj częścj kraju dotąd ubiedz się nie dało. Oprócz mnóstwa składek prywatnych miejscowych, utrzymania ochron w Poznaniu i kilka na prowincyi, zasilania 4ch zakładów Sióstr miłosierdzia, także bardzo tylko szczupłe stałe fundusze posiadających, a niezmiernie świetne rezultata przynoszących, oprócz składek które na początku roku jeszcze do kasy Ligowéj wpłynęły, złożyło księstwo:

---

a) W ostatnich czasach Sąd zatwierdził pomimo założonéj opozycyi przedaż dóbr szlacheckich Wielichowo w pówiecie kościańksim, niżéj dwóch trzecich części taxy landschaftowéj.

b) O kasach oszczędności nic wiemy nic. Co się zaś tyczy towarzystw wekslowych znamy jedno tylko w Śremie. Towarzystwo to jak najpiękniejsze po roku istnienia przedstawia rezultata. Raport z rocznych czynności który niedługo ma być ogłoszony, zachęci zapewne inne powiaty do naśladowania tak użytecznéj instytucyi. (Przyp. Red. *Przeglądu.*)

1. Do kasy Naukowéj Pomocy 45,000 złp.
2. Do kasy komitetu trudniącego się pomocą dotkniętych powodzią w Poznaniu 45,000 złp.
3. Dla pogorzelców krakowskich do komitetu do konsystorza, łącznie z przesyłkami wprost do Krakowa uczynionemi 60,000 złp. *c*)
4. Na potrzeby w nędzy zostających emigrantów w ciągu roku około 15,000 złp *d*)

Niezapominając jak ciężkie i trudne finansowo obecne czasy, sumy tych składek chlubnie zaświadczają o uczuciu chrześciańskiém mieszkańców księstwa, żywego współczucia na nędzę bliźniego, na klęski poniesione przez rodaków, dowodzą.

W dziedzinie życia religijnego nie zostaliśmy téż w tym roku bez postąpienia kroku naprzód. Pierwszym dowodem znaczne zwiększenie się liczby uczniów seminaryum poznańskiego, które pod dzisiejszą dyrekcyą najlepsze nam rokuje nadzieje.... Jubileusz ostatni nie może jak tylko silnie się przyczynić do rozwinięcia życia religijnego....

Dodatek do artykulu o zasługach literackich pana Jastrzębskiego.

Już po wydrukowaniu niniejszego numeru wyczytaliśmy w Gońcu (Ner 36) odpowiedź korespondenta paryzkiego na zarzuty pana S. M. Korespondent stwierdza wszystko to, cośmy wyżéj powiedzieli. Smaga przeciwnika dowcipem, a okłada uczonemi cytacyami. Słusznie utrzymuje, że co do wielkich archiwów i bibliotek można zaręczać tylko iż *coś jest*, nigdy zaś iż *czegoś niema*. Twierdzi przytem, iż Garampiemu nie chodziło bynajmniéj o to, aby powiedzieć Polsce, co dla niéj jest w Rzymie, ale Rzymowi co dla niego jest w Polsce. W jednym tylko punkcie nie zgadzamy się z korespondentem. Kościół N. Panny Żyrowieckiéj nigdy nie przestał być znanym i uczęszczanym przez Polaków. Ponieważ jest dziś spór względem niego, myślimy iż nie będą obojętnemi czytelnikom następujące szczegóły, równie o nim jak o czci cudownego obrazu w Żyrowicach, które po większéj części wyjmujemy z dzieła Michała Balińskiego i Tymoteusza Lipińskiego pod tytułem: *Starożytna Polska* (Tom III str. 689). Żyrowice leżą o 2 mile od Słonima w dawném województwie nowogrodzkiem. Była tu przedtem rozległa puszcza, w któréj pasterze odkryli roku 1480 na gruszy mały obraz Bogarodzicy, w tém miejscu właśnie gdzie dziś ołtarz Jéj poświęcony znajduje się w kościele. Pobożny właściciel téj okolicy, Aleksander Sołtan zbudował tu kościołek drewniany, który ozdobił i uposażył Jan Sołtan marszałek Słonimski, a po zgorzeniu zaczął nowy obszerny około r. 1560 murować. Reforma religijna przerwała na czas oddawanie czci obrazowi cudownemu i fundusze kościelne w obce dostały się ręce. Dopiero Jan Mieleszko, kasztelan Smoleński, wprowadzając w r. 1613 zakon Bazylianów do Żyrowic, znowu ożywił to miejsce. Znakomicie przyczynił się żarliwością swą i nauką do ściągnienia tu mnogiego napływu pobożnych, sprawując obowiązki przełożonego w Żyrowicach Józafat Kuncewicz, który z czasem został arcyb. połockim. Lew Sapieha hojnie kościół ten uposażył. W r. 1644 Władysław IVty z żoną, dwa dni tu na nabożeństwie przepędził. W 1651 Jan Kaźmierz pobożną pielgrzymkę odbył do Żyrowic. Sobieski w 1688 z synem swym Jakóbem,

---

c) Autor artykułu za niską w tém miejscu położył summę. My po dodaniu składek z dekanatów do summy ogólnéj na 72,000 złp, składki Poznańskie dla Krakowa rachujemy.

(Prz R. P.)

d) I tu przynajmniéj 10,000 złp. dopisać należy.

(Prz. R P.)

późniéj August IIgi, a w 1784 Stanisław August, uroczyście byli tu przyjmowanymi przez zgromadzenie zakonne. Bazylianie utrzymywali tu szkołę i założyli drukarnią. Nazwanie cudownego obrazu N. Panny Żyrowickiéj przeniesione zostało na początku 18go wieku do innego obrazu Bogarodzicy, znajdującego się w Rzymie, w kościele unickim ŚS. Sergiusza i Bacha. Nadał tę świątynię Bazylianom w r. 1639 na wstawienie się kardynała Barberini, Urban VIII, kardynał zaś stałym funduszem opatrzył. Znaleziony około r. 1719 malowany na murze w zakrystyi wizerunek N. Panny, zupełnie podobny do tego, jaki znajduje się w Żyrowicach, umieszczono z razu w pobocznym ółtarzu kościoła ŚS. Sergiusza i Bacha. Lecz za objęciem rządów zgromadzenia bazyliańskiego w Rzymie przez ks. Ignacego Kulczyńskiego w r. 1729, wystawiony został piękny marmurowy ółtarz wielki, do którego ów obraz P. Maryi 29go października t. r., przy nabożeństwie odprawioném przez Floryana Hrebnickiego, arcybiskupa unickiego połockiego, przeniesiono. Odtąd kościół ten zaczął lud rzymski nazywać kościołem N. Panny Maryi Żyrowickiéj, *della Madonna del Pascolo*, bo *pascolo* znaczy w języku włoskim paszę, albo *żer*. Kulczyński podczas swego rektorstwa w Rzymie wydał r. 1732 opisanie historyczne cudownych obrazów żyrowickich, pod tytułem *Jaspis cudowny*, (Il diaspro prodigioso). Rektorem kościoła tego w Rzymie roku 1794, a razem prokuratorem zakonu Bazylianów przy stolicy apostolskiéj, był ks. Jordan Mickiewicz, który największe poniósł zasługi, nie tylko najporządniéj utrzymując w całości, ale nawet powiększając pierwiastkowy fundusz tego zakładu. Przebudowanie tego kościoła odnosi się do r. 1741. Użytym ku temu architektem był Francesco Ferrari. Freski na sklepieniu są pędzla Sebastyana Ceccarini. W jednym z pobocznych ołtarzów znajduje się obraz Śgo Bazylego, w drugim obraz ŚŚ. Seryiusza i Bacha. Oba malował Ignacy Stern. Oprócz wprzód przez nas wymienionych w tym kościele grobowców, wspomnieć jeszcze wypada grób zmarłego w 1641 w Rzymie metropolity Rafała Korsaka, arcyb. kijowskiego i halickiego.

OBJAŚNIENIE.

Z wielu stron słyszymy, że pisma wydane pod nazwiskiem hr. Henryka Rzewuskiego, a noszące jeden tytuł: ***Łaska i Przeznaczenie*** są pióra utalentowanéj Polki, zmarłéj za granicą, i że p. Rzewuski tylko je przełożył z francuzkiego, przypiski także uwagi gdzieniegdzie dodając. My nie możemy wchodzić w tajemnice tego rodzaju i odpowiedzialność na wymienionego autora kładziemy. Zresztą w dwóch tomach, o ktorych mowa jest dosyć zdań zbyt wyraźnie do autora ***Mięszanin obyczajowych*** należących, byśmy jaką niespokojność czuć mieli powody.

Główniejsze pomyłki druku.

POSZYT IV. DRUGIEGO PÓŁROCZA 1850.

Str. 727	w. 10	*zam.*	jest,	*czyt.*	nie jest
— 736	— 20	—	pracę	—	pracy

POSZYT I. 1851.

Str. 22	w. 41	*zam.*	we twém	*czyt.*	w twém
— 35	uwaga (10) w. 9 od dołu	—	basentis	—	absentis
— 35	uwagi (8) wiersz ostatni	—	edissserunt	—	edisserunt
— 38	w. 10	—	*οδόϱ*	—	*ὅδοϱ*
— 43	— 2 od dołu	—	adhibuisemus	—	adhibuissemus
— 46	— ostatni	—	Bonacino	—	Bonacina
— 47	— 10	—	it	—	id
— 48	— 12 od dołu	—	Schmalegrubér	—	Schmalcgruber
— 56	— 24	—	kto się opiekę	—	kto się w opiekę
— 59	— 48	—	literatury	—	dla literatury
— 60	— 2 od dołu	—	jeżdżeniu	—	jedzeniu
— 61	— 20	—	pomysł	—	pomysłu.
— 71	— 5	—	epokę	—	opokę.
— 75	— 42	—	tam	—	sam
— 76	— 18	—	D'abort	—	*D'abord*
— —	— 51	—	po za granicę	—	po granicę
— 78	— 5	—	Accedun peltago	—	Accedunt pelago
— —	— 50	—	z nim istnienia	—	z niw istnienia
— 80	— 2	*po* 168 *dodaj* i			
— —	— 6	—	dwutomny	—	dwutomowego
— —	— 33	—	rozniecało	—	urozmaicało
— —	— 46	—	i	*połóż*	;
— 81	— 3	—	XVII	—	XVIII
— 95	— 27	*niepotrzebnie od ustępu się zaczyna*			
— 96	— 15	*zam.*	dworska	*połóż*	ludzka
— 100	— 9	—	pelny prosty	*czyt.*	pełny prostoty

SPIS RZECZY.

Prenumerować można na Przegląd na Pocztamtach państwa pruskiego: tę drogę przedewszystkiém się zaleca.

Przyjmują także prenumeratę:

w Poznaniu: Księgarnia katolicka;
„ Stefańskiego,
„ Kamieńskiego,
„ Nowa,
„ Żupańskiego

w Lesznie: księgarnia Günthera,
w Wrocławiu: księgarnia Hirta,
w Krakowie: księgarnia Czecha
we Lwowie: księgarnia Milikowskiego,
w Tarnowie: księgarnia Milikowskiego,
w Berlinie: księgarnia Schneidera, unter den Linden. 19.
w Paryżu: w księgarni Polskiéj, Rue de Seine St. Germain Nr. 20.

Prenumerata wynosi na rok złotych polskich 36, czyli talarów 6; półrocznie 18 złotych polskich czyli 3 talary.

Poczta tylko rocznie przyjmuje prenumeraty, przesyłka pocztą jest na koszt administracyi Przeglądu.

Wszystkie przesyłki do redakcyi uskuteczniać się mają pod adresem Księgarni Katolickiéj w Poznaniu, gdzie także nabyć można dawniejsze roczniki Przeglądu.

Redaktor odpowiedzialny A. Koczorowski

Poznań, Rynek Nowego Miasta Nr. 1.